

BARBARA STUHR: MOJE OSTATNIE LATA Z JURKIEM

NIGDY NIE SPYTAŁ: „CZY JA JUŻ ODCHODZĘ?”. WSPANIALE GRAŁ ZDROWEGO

W NUMERZE



40/2024 30.09-6.10.24 cena 12,90 zł
(w tym 8% VAT) Nr indeksu 36679X

POLSKA

Newsweek®

CO ZABIJA KLASĘ ŚREDNIĄ

UWIERZYLIŚMY, ŻE KAŻDY
JEST KOWALEM SWOJEGO LOSU
I ŻE BĘDZIE TYLKO LEPIEJ
I LEPIEJ. TERAZ ROŚNIE W NAS LĘK:
ŻEBY TYLKO MIEĆ PRACĘ,
ŻEBY CENY NIE ROSŁY,
ŻEBY WOJNY NIE BYŁO.
NASZE ŻYCIE SIĘ ROZPADA

D 9,50 €

W NUMERZE:

JAK FERAJNA
ZIOBRYSTÓW SZUKA
ZBLIŻENIA Z NOWĄ
WŁADZĄ

GDZIE SIĘ ZACZNIE
WOJNA ATOMOWA
I CZY MOŻNA
JĄ WYGRAĆ

KLUCZOWE DLA
ZDROWIA SKŁADNIKI,
KTÓRYCH BRAKUJE
W POLSKIEJ DIECIE

www.newsweek.pl



SKI team®

Kupuj wygodnie
na skiteam.pl



NOWA KOLEKCJA 2025

**JUŻ DOSTĘPNA
W SKLEPACH SKI TEAM**

**POZOSTAŁE KOLEKCJE
ROWERÓW CUBE**

DO -30% TAKŻE
ROWERY
HYBRYDOWE
DO -50%

Geny promocyjne obowiązują od pierwszej ceny na metce. Promocja nie obejmuje rowerów Cube z kolekcji 2025. Szczegóły promocji oraz rowery objęte promocją znajdziesz w regulaminie i na skiteam.pl.



SKI team®

Do 80x więcej punktów!

Płać Mastercard za zakupy w **Ski Team** i szybciej odbieraj nagrody w programie **Bezcenne Chwile!**

bezcennechwile.pl



CUBE

WARSZAWA: ul. KOR 36/38 | WARSZAWA: ul. Toruńska 107b
POZNAŃ: ul. Bułgarska 117a | KATOWICE: ul. Sportowa 20
NOWY SALON ROWEROWY WROCŁAW: *Grabizyńska 167*

Poniedziałek - Sobota 11:00 - 20:00
Niedziela: Nieczynne
Niedziele handlowe: 12:00 - 16:00

TEMAT Z OKŁADKI

- 6 / Łęki klasy średniej**
Jak hipsterzy stali się ciułaczami
- 10 / Biedni i bogaci**
Rozwarstwienie społeczne będzie się pogłębiać, najwięcej straci klasa średnia – ocenia dr Marcin Galent z UJ

POLITYKA

- 12 / Układy ziobrystów**
Dzięki znajomości z braćmi Ziobro zarobili miliony w Pekao i Aliorze
- 18 / Krawaty Błaszczaka**
Zaufany prezesa kupuje drogie garnitury, marzy o prezydenturze
- 24 / Marcin Kierwiński**
Były szef MSWiA wraca z Brukseli do krajowej polityki

SPOŁECZEŃSTWO

- 30 / Kierowcy mordercy**
Zabijają w całej Polsce, a sąd pośmiertnie poucza ofiary
- 36 / Barbara Stuhr**
Opowiada o odchodzeniu męża i jego ostatniej roli
- 41 / Przekręty w sieci**
Jak nie dać się oszukać
- 46 / Młodzi sfrustrowani**
42 proc. pokolenia Z walczy z depresją, a 23 proc. nie widzi nadziei na zmianę sytuacji
- 50 / Gdzie te kobiety**
Lewactwo zamąciło im w głowach – uważa 38-letni Marek z Tarnowa

HISTORIA

- 54 / Prasowa hrabina**
Cissy Patterson, naczelna „Washington Herald”

ŚWIAT

- 58 / Annie Jacobsen**
Wojny nuklearnej nie można wygrać, dlatego nie wolno jej zaczynać – mówi autorka książki „Wojna nuklearna. Możliwy scenariusz”
- 63 / Francja**
Mąż Gisèle Pélicot zapraszał do domu obcych mężczyzn, by ją gwałcili
- 66 / Po roku rządów Ficy**
Najgorszą cechą Słowaków jest egzystencjalna nienawiść, którą premier wykorzystuje – uważa słowacki pisarz Pavol Rankov



18 **POLITYKA**

DELFIN BŁASZCZAK

Skromność mojego kolegi – mogę chyba powiedzieć: przyjaciela – jest taka, że ręce opadają – mówi Jarosław Kaczyński o swoim najbardziej zaufanym człowieku

30 **SPOŁECZEŃSTWO**

POLSKIE DROGI ŚMIERCI

Pije, wsiada za kółko, dostaje wyrok, zawsze w zawieszaniu. I tak parę razy. Aż w końcu jedzie bez uprawnień i zabija

63 **ŚWIAT**

FRANCUSKA SZKOŁA GWAŁTU

Sprawcami koszmaru pani Pélicot nie były wynaturzone jednostki, lecz niemal bez wyjątku kiludziesięciu „zwykłych Francuzów”

108 **NAUKA I ZDROWIE**

STRZEŻ SIĘ ZAPALENIA PŁUC

Mało kto wie, że osoby po 65. roku życia, cukrzycy oraz ci z chorobami serca, płuc czy nerek mogą bezpłatnie zaszczerpić się przeciwko pneumokokom

BIZNES

- 72 / Intel się wycofuje**
Komputerowy koncern odwołał wielką inwestycję pod Wrocławiem

ZIELONY Newsweek

- 78 / Ekożycie**
Z Dominikiem Dobrowolskim
- 84 / Żarłoczna AI**
Ile energii pochłoną do końca dekady centra obsługi danych?
- 86 / Raportowanie ESG**
Do spowiedzi z wpływu na środowisko prawo zmusi wszystkie firmy w Polsce
- 90 / Ekobudownictwo**
Trzy razy się zastanów, zanim kupisz stary dom czy mieszkanie

NAUKA I ZDROWIE

- 108 / Zapalenie płuc**
Jedna z najczęstszych przyczyn hospitalizacji dorosłych
- 112 / Z bliska**
Ibis białooki
- 114 / Niedobory w diecie**
Czego brakuje na polskich talerzach

FELIETONY

- 4 / Dariusz Ćwiklak**
Lanie wody i robienie wałów
- 17 / Andrzej Stankiewicz**
Rak przed komisją śledczą
- 23 / Renata Grochal**
Już był w ogródku, już witał się z gąską
- 28 / Krzysztof Varga**
Profesor Matczak ratuje świat
- 76 / Katarzyna Kasia**
Nuda i Niemcy
- 118 / Katarzyna Janowska**
Tyłko tak znaczy tak



OKŁADKA: PROJEKT - DYREKTOR ARTYSTYCZNA MAGDALENA MAMAJEK-MICH
FOT. ORLA/ISTOCKPHOTOS, MIKE HILL/GETTY IMAGES, MIKKELWILLIAM/GETTY IMAGES (2)
FOT. DAWID ŻUCHOWICZ/AGENCJA WYBORCZA.PL



Po. redaktor naczelny **Michał Szadkowski**

WYMIJAJĄCO WPROST

Jedyna prawdziwa inwazja

Mam podejrzenie graniczące z pewnością, po której stronie w sporze mediów tradycyjnych z big techami stoją Władimir Władimirowicz i wszyscy populiści tego świata.

Uwierzcie lub nie, ale prawdę o współczesności znalazłem ostatnio na kartach przedwojennej powieści. Dodajmy: czeskiej powieści science fiction. „Inwazja jaszczurów” zaczyna się gdzieś na Oceanie Indyjskim. Rubaszny kapitan van Toch odkrywa tam płazy, które dłońmi, małymi i zręcznymi, potrafią dostać się do ostrzy i wydobyć perły. Van Toch znajduje sponsora, daje jaszczurom noże, by proces przyspieszyć, bo, co oczywiste, chce na perłach zarobić. Szybko okazuje się jednak, że ani van Toch, ani nikt inny płazów nie docenił – jaszczury zaczynają używać dzid, by bronić się przed rekinami, i budują tamy. Dynamicznie się rozmnażają, więc ludzkość wykorzystuje je także do innych zadań. Dzięki gazetom uczą się mówić, rozmnażają się ponad miarę. Do pewnego momentu ludzkość nad nimi panuje, aż płazy stają się samodzielne. I wywołują wojnę.

Karel Čapek, ten sam, który 100 lat temu wymyślił i spopularyzował słowo „robot”, twierdził, że nie stworzył utopii, tłumaczył, że pisze o swoich czasach. Obsmiewał kapitalizm, drwił z kolonializmu, przestrzegał przed faszyzmem i komunizmem, przedstawiał je jako zagrożenie europejskiej demokracji. Drugiej wojny światowej nie doczekał, zmarł niedługo po układzie monachijskim i aneksji części Czechosłowacji przez Hitlera.

„Chcesz zrozumieć zagrożenia, które niesie sztuczna inteligencja, sięgnij po czeską powieść z 1936 r.” – taki tytuł miała recenzja „Inwazji jaszczurów” w „The Economist”, która sprawiła, że sięgnąłem po tę książkę. Nawiasem mówiąc, trafiłem na arcydzielne wydanie Dwoch Siostr z ilustracjami Hansa Ticha, które tylko zwiększyło frajdę ze śledzenia, jak ludzkość zmierza w stronę samozagłady.

Po 100 latach można, jako się rzekło, „Inwazję jaszczurów” odczytywać jako alegorię zagrożeń, które niesie sztuczna inteligencja, lecz w czasie lektury zacząłem widzieć w niej także opowieść o mediach społecznościowych. Ktoś pamięta jeszcze zachwyty, jaki im towarzyszył na początku? Opowieści o tym, jaki będą miały zbawienny wpływ na demokrację? Albo na tzw. tkankę społeczną? A może ktoś potrafi wskazać moment, w którym przestaliśmy nad nimi panować?

Tydzień temu w Polsce zaczęła obowiązywać dyrektywa Parlamentu Europejskiego (zaraz uciekam od unijnej nomenklatury, obiecuję) dotycząca praw autorskich. A że

polska interpretacja nie jest zgodna z żądaniami Met i Al-phabetów, posty wydawców – także „Newsweeka” i innych redakcji Ringier Axel Springer Polska – zostały na Facebooku pozbawione obrazków. Oznacza to gigantyczne straty. Prościej? Dwa miesiące temu polscy wydawcy zaprotestowali przeciwko krwiożerczości big techów, władze wsłuchały się w te argumenty, więc Facebook się mści.

W czasie lipcowego protestu opisywałem całą historię – wliczając niedoskonałości tradycyjnych mediów – nie ma sensu jej przypominać. Ważniejsze jest zresztą coś innego.

To nie jest spór kilku korporacji. Koniec końców kluczowe jest to, że media społecznościowe to nie media. Pozwalają na publikację treści, których żadna redakcja by nie opublikowała. Nie przeprowadzą dziennikarskiego śledztwa, nie będą ślezczyć nad dokumentami, nie zadadzą politykom pytań, nie ujawnią tego, co funkcjonariusze publiczni chcieliby ukryć. Wszyscy pompujący ego lajkami i retlitami też tego nie zrobią – co najwyżej zwiększą podziały, na czym zresztą media społecznościowe tylko zyskują i do czego de facto służą. W końcu: media społecznościowe kie-

Dwa miesiące temu polscy wydawcy zaprotestowali przeciwko krwiożerczości big techów, władze wsłuchały się w te argumenty, więc Facebook się mści

rują się wyłącznie logiką zysku, media tradycyjne, choćby dlatego, że działają w zdecydowanie bardziej uregulowanej rzeczywistości, nie mogą się kierować tylko nią.

„Inwazja jaszczurów” kończy się rozmową autora z samym sobą. Čapek zastanawia się, jak skończyć książkę, żeby uratować ludzkość. Ja takiej władzy nie mam, choćbym chciał, bo nasza sytuacja jest niewesoła. Za niewiele ponad miesiąc obywatele mocarstwa nuklearnego wybiorą prezydenta bądź prezydentkę. O wyniku może zdecydować kilkadziesiąt tysięcy głosów w kilku stanach. To, kto i jak skalibruje algorytmy Facebooków i Twitterów, które posty/tłity wyeksponuje, a które ukryje, naprawdę może mieć znaczenie. Przy wajchach z algorytmami stoi m.in. Elon Musk, kibicujący temu samemu kandydatowi, którego wielbią Putin i wszyscy populiści tego świata. Są powody do paniki? **N**

spravia

PRY100RA

Wybierz
warszawski
Ursus
i żyj wygodnie
na 100%



- **Specjalna oferta cenowa**

Wybrana pula mieszkań w cenie:

11 900 zł/m²

www.spravia.pl, www.osiedleprystora.pl

Spravia biuro sprzedaży: ul. Ryżowa 48 (róg ul. Prystora), Warszawa, tel. 22 153 03 89

TYDZIEŃ Z...

Dariusz Ćwiklak

Lanie wody i robienie wałów



Dobry hipnotyzer w mówi człowiekowi wszystko. Ale czy Mariusza Błaszczaka nazwalibyśmy dobrym hipnotyzerem? Na konferencjach usypiającym głosem przekonuje, że „państwo Tuska się zawaliło”, ale uwierzyć w to mogą tylko najwięksi wyznawcy PiS, bo reszta ludzi co kilka godzin w telewizji widziała posiedzenia sztabu kryzysowego pod wodzą premiera – nie w Warszawie, lecz na miejscu katastrofy. Ministrowie, wojewodowie, szefowie służb i zaangażowanych instytucji po kolei zdawali meldunki, czasem zbierali ochrzan od premiera. Wszystko na żywo, przed kamerami.

Jackowi Żakowskiemu skojarzyło się to z naradami u Władimira Putina. Jak na człowieka żyjącego z pracy słowem, Jacek popłynął. Już choćby dlatego, że Putin, odpytuując generałów z postępów wojny, nigdy nie wybrał się na front. No i Tusk nie planował przed kamerami ludobójstwa w sąsiednim kraju, tylko koordynował akcję ratunkową w swoim. Pewnie, że był to medialny spektakl, ale też i zmiana stylu władzy: w kryzysie obywatela nie są skazani na drętwe briefingi i PR-owe fotki. Przypomnijcie sobie zdjęcie z wiosny 2020 r.: minister

zdrowia Łukasz Szumowski i prezydent Andrzej Duda w samych koszulach ślęczą nad jakimiś wydrukami. Cóż, wybuch pandemii zbiegł się z początkiem kampanii prezydenckiej.

PiS robi, co może, by wykazać, że powódź to „wina Tuska”. Jeśli już, to „wina Borysa”. Niż o tej nazwie to namacalny efekt zmian klimatu, które część polityków PiS neguje. Na Europie Środkową zwała się ściana deszczu. W Kotlinie Kłodzkiej w ciągu doby spadło miejscami ponad 200 litrów wody na metr kwadratowy, wielokrotnie więcej niż średnio w ciągu miesiąca! Wycinane w ostatnich latach lasy słabiej magazynowały opady, więc woda z gór uderzyła

ła z potężną siłą. Winą Tuska nie był też brak przygotowań, bo to nie on rządził przez poprzednie osiem lat, nie on ograniczył inwestycje w wały przeciwpowodziowe i nie on zrezygnował z budowy części zbiorników retencyjnych na Dolnym Śląsku.

Szczególnie ciężko musiało się oglądać w PiS obrazki z Wrocławia, do którego błyskawicznie przyjechała szefowa Komisji Europejskiej i premierzy Austrii, Czech i Słowacji. Dziękowali Tuskowi za zorganizowanie spotkania, na które Ursula von der Leyen nie przyjechała z pustymi rękami. Z 10 mld euro na odbudowę Polsce przypadło 5 mld. PiS narzeka, że to nie nowe pieniądze. Owszem, nie nowe. To te, których i tak nie udało się wykorzystać przez nieudolność poprzedniej władzy. No i można je brać od razu, bez wkładu własnego.

Oczywiście do otrąbienia sukcesu rządu jeszcze daleko – nie wiemy, jak szybko będą wypłacane odszkodowania, odbudowywane domy, drogi i mosty. Ale PiS na razie nie ma się czego czepić. Bo powtarzanie za internetowymi trollami spiskowych bzdur o ukrywaniu przez rząd setek ofiar powodzi to dowód politycznej bezsilności.

Chciałoby się zakrzyknąć: „dość lania wody, czas robić wały”, ale wiemy, że akurat na to drugie wezwanie politycy PiS reagowali ochoczo, tyle że metaforycznie. Wystarczy spojrzeć na dane GUS o modernizacji nabrzeży i na kolejną śledztwa prokuratury. **N**

Jackowi Żakowskiemu sztaby powodziowe Tuska skojarzyły się z naradami u Władimira Putina. Jak na człowieka żyjącego z pracy słowem, Jacek popłynął

KARTKA
Z...

2
PAŹDZIERNIKA
1944 R.

Po 63 dniach upadło powstanie warszawskie. Układ z Niemcami podpisali w imieniu Komendy Głównej AK płk Kazimierz Iranek-Osmecki i ppłk Zygmunt Dobrowolski

W GÓRĘ I W DÓŁ



MARCIN KIERWIŃSKI

Po niespełna trzech miesiącach złożył mandat eurodeputowanego i został pełnomocnikiem rządu ds. likwidacji skutków powodzi



JAN ŻARYN

Jako szef Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej w 2022 r. kupił od szwajcarskiego kolekcjonera pamiątki po Ignacym Paderewskim za ponad 300 tys. zł. Głównym elementem kolekcji był fortepian – okazało, że nie miał z Paderewskim nic wspólnego



3 WIADOMOŚCI
ZE ŚWIATA

... których nie wolno przegapić

NIUDANY TEST ROSYJSKIEJ RAKIETY

Spektakularną porażką zakończyła się wrześniowa próba rosyjskiej rakiety międzykontynentalnej Sarmat. Prezydent Putin od kilku lat zachwala ją jako broń, która ma dać Rosji przewagę technologiczną nad Zachodem. Sarmat miał wynosić na orbitę nawet 10 rakiet o mocy 750 kiloton każda, ale na razie próba jego odpalenia zakończyła się wybuchem, po którym został krater o średnicy 60 metrów.

SPD WGRYWA W BERLINIE

Partia kanclerza Olafa Scholza o włos wygrała wybory landowe w Brandenburgii: z 31 proc. głosów wyprzedziła skrajnie prawicową AfD, na którą głosowało 29 proc. wyborców. W berlińskim regionalnym parlamencie znajdują się też skrajnie lewicowy Sojusz Sahry Wagenknecht (13,5 proc.) i chadecka CDU (12 proc.). To zaskakujące zwycięstwo socjaldemokratów osłabia presję na kanclerza Scholza, ale nie wiadomo, czy jego rząd przetrwa rok, do końca kadencji.

MUSK KAPITULUJE W BRAZYLII

Kapitulacją Elona Muska skończyło się prawne starcie jego platformy społecznościowej X z brazylijskim wymiarem sprawiedliwości. Po wielu tygodniach uporu X zapłacił zasądzone grzywny, usunął wskazane przez sąd konta siejące dezinformację i ustanowił prawnego przedstawiciela w Brazylii.

HISTORIA Z OKŁADKI: INTERWENCJA USA NA HAITI



Kto tu rządzi?” – pytał „Newsweek” w październiku 1994 r. Karykatura na okładce przedstawia byłego prezydenta Jimmy’ego Cartera górującego nad schowanym za mównicą Billem Clintonem, urzędującym wówczas prezydentem USA. Jesienią 1994 r. dzięki misji dyplomatycznej Cartera świat uniknął kolejnego rozlewu krwi, na Haiti. USA – za zgodą ONZ – szykowały się wtedy do obalenia wojskowej junty Raoula Cédrasa, która przejęła władzę w 1991 r. Na fotel prezydenta miał wrócić Jean-Bertrand Aristide.

Przewrót na Haiti wywołał kryzys migracyjny: do 1992 r. amerykańska straż przybrzeżna przechwyciła 38 tys. uchodźców. Zachód nałożył na Haiti sankcje. W czerwcu 1993 r. Aristide i Cédras pod patronatem USA podpisali porozumienie o przejęciu władzy, ale wojskowi je zerwali. Wyznaczony rząd tymczasowy musiał się ukrywać. Rada Bezpieczeństwa ONZ zezwoliła na blokady morskie, a kiedy to nie przyniosło skutków, w lipcu 1994 r. dała zielone światło do interwencji zbrojnej. Gdy Amerykanie szykowali się do odbicia wyspy, z misją dyplomatyczną ostatniej szansy poleciał na Haiti były prezydent Carter. Towarzyszył mu były szef połączonych sztabów gen. Colin Powell, który znał Cédrasa osobiście. Obaj zdołali przekonać przywódcę junty, że nie ma szans w starciu z armią USA. I tu polski akcent: Clinton zaproponował prezydentowi Wałęsie, by Polacy wzięli udział w misji pokojowej na Haiti. Nasz kontyngent składał się głównie z operatorów GROM dowodzonych przez gen. Sławomira Petelickiego. Polscy komandosi wywiązali się z tego zadania wzorowo. Nie pozostało to bez wpływu na nasze starania o wejście do NATO. **N**

LICZBA TYGODNIA

23 MLD ZŁ

Tyle pieniędzy polski rząd zamierza przeznaczyć na likwidację skutków powodzi, wliczając w to środki z Unii Europejskiej z Funduszu Spójności, zapowiedziane przez szefową Komisji Europejskiej (z 10 mld euro połowa ma przypaść Polsce)

”

SIĘ RZEKŁO

Jeżeli ktoś mówi, że Andrzej Duda przez samą prezydenturę przejdzie do historii, to ja bym powiedział: jeśli przejdę do historii, to rzeczywiście, ale to przez to, że byłem prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej w okresie, kiedy Rosja napadła na Ukrainę. To możliwe, że tak

Andrzej Duda, prezydent RP, w Polsat News





TAK UMIERA KLASA ŚREDNIA

UGOTOWANI

A co, jeśli ci ludzie, którym obiecano dobre życie, jak będą pracować, rozwijać się, działać kreatywnie, wściekną się jeszcze bardziej i powiedzą: w dupie z ideałami liberalnej demokracji, gdzie są moje pieniądze?

TEKST DAWID KARPIUK

Tak właśnie musi się czuć żaba wrzucona do garnka. Siedzi w chłodnej wodzie i myśli: ale przyjemnie. Pływa sobie, pali papieroska i ma chill: mieszka na 60 metrach na Nowym Mieście za 2500 zł plus media. Rata kredytu za umiarkowane sfatygowane renault – sześć stów miesięcznie. A po jedzeniu nie trzeba chodzić do biedronki, bo to jednak spacer. Można kupować u tych miłych pań w spożywczym na dole, co mają wszystko o połowę drożej, ale kto by liczył. I tak tanio. W ogóle wszystko się wydaje tanie, bo pensja osiem tysięcy na rękę.

I tak było do pandemii, wspomina żaba, znaczy Przemek. 38 lat, pracuje w internetowym marketingu. Kiedyś każdy chciał pracować w internetowym marketingu.

Ale woda w garnku zaczyna się podgrzewać.

Najpierw drożeje jedzenie. Potem rachunki i czynsz. A po wybuchu wojny przychodzi córka właścicielki mieszkania, w którym Przemek mieszka od paru ładnych lat, i mówi, że jest nowa umowa do podpisania: 4000 plus media, plus opłaty administracyjne. W całej okolicy podnoszą, taniej pan nie znajdzie.

I

– ŻYŁAM W BŁOGIEJ NIEŚWIADOMOŚCI – uśmiecha się Mila nostalgicznie, wspominając czasy sprzed pandemii. Dziś jest pod

czterdziestkę, z pokolenia wolnych duchów, którym etaty zamieniono na projekty. O których mówiono „hipsterzy”, bo siedzieli na leżaczkach w centrum Warszawy cali odstawieni, a swoje zawodowe życie ogarniali za pośrednictwem macbooka. Najważniejsze to być kreatywnym, bo jak ktoś jest kreatywny, to sobie poradzi.

Mila ma wrażenie, że słowo „hipster” zestarzało się równie źle, co pomysł jej pokolenia na życie. Znaczący pomysł był dobry, tylko rzeczywistość się zmieniła.

– Do pandemii właściwie nie wiedzieliśmy z moim Krzyskiem, co to znaczy liczyć pieniądze. Nieustająco liczyć, na co nas stać, a na co nie. Szukać w sklepach tańszych produktów, upewniać się w aptece, czy mają tańsze zamienniki leków, jak się mała rozchoruje. Czekać na przelew, sprawdzanie stanu konta po kilka razy dziennie. Wkurwanie się na drożyznę. I na siebie, że nie mamy jak więcej zarobić.

Krzysiek, partner Mili (pracuje w teatrze, 42 lata), mówi, że jak się kończy kasa, to się zaczynają nieprzyjemne przemyslenia. Czy to moja wina? Czy inni mają lepiej?

– Myślisz: coś jest ze mną fundamentalnie nie tak. Zarabiam za mało. Nie sprawdziłem się jako ojciec, partner, mężczyzna. W ogóle się nie sprawdziłem. Jako człowiek. Normalnie na śmietnik – Krzysiek zawija nogę na nogę, ramię na ramię i zapala camela.

– Czasem, jak dziewczyn nie ma w pobliżu, chodzę po mieszkaniu i gadam do siebie: „Jak mogłeś do tego dopuścić?”. „Jak możesz mieć taki gówniany zawód, z którego są takie gówniane pieniądze”.

– Czasem próbuję bronić Krzyśka przed nim samym, przed tym jego surowym wewnętrznym krytykiem, który mu nie daje żyć – mówi Miła. – A czasem kłócimy się – choć oboje mamy temperamenty pluszowych misiów – żeby coś zrobić z tą koszmaroną frustracją, że życie jest coraz cięższe.

– Przez kilka lat żyliśmy w świecie, który był raczej optymistyczny. Finansowo mieliśmy górki i dołki, ale generalnie było stabilnie. Widzieliśmy jakieś perspektywy, mogliśmy robić plany, mogliśmy marzyć. A teraz taka przykra codzienność, bez fajerwerków. Mój stary jest filozofem, całe życie wykładają na uczelni. Kropka w kropkę Dustin Hoffman z „Opowieści o rodzinie Meyerowitz”. Od dziecka mi mówił, że „mieć czy być?” to nie jest żadne pytanie. Wiadomo, że być. Ci, co chcą tylko mieć, nie są. Teraz mówi, żebym się nie przejmował, bo jak babcia umrze, odziedziczymy mieszkanie na Starej Ochocie. To co, ja mam teraz czekać, aż mi babcia umrze? Może i jest pięć lat przed setką, ale przecież niech sobie żyje kobiecina kochana. Boże, co ja gadam. Dobrze, że nie mam rodzeństwa. Tam jest taki piękny widok z balkonu.

II

KONRAD MA DZIŚ 42 LATA I SAM JUŻ NIE WIE, JAK SOBIE DZIĘKOWAĆ, że w 2007 r., kiedy jego znajomi mieszkali po trzy osoby w wynajętych dziurach i żyli, jakby jutro miało nie być, zacisnął zęby i dogadał się z ojcem, żeby wzięli kredyt i kupili Konradowi mieszkanie. A on będzie spłacał każdą ratę, w terminie i co do złotówki.

Ojciec powiedział, że jest z Konrada dumny, ale pamiętaj, synu, że jesteś z tym sam, ja ci złotówki do raty nie dołożę, a jeśli stracisz pracę, to mieszkanie wynajmiesz, żeby mieć na kredyt, i zamieszkać z nami. Ale lepiej nie trać, bo my z mamą lubimy przestrzeń.

Kupił pięćdziesiąt z groszem metrów na Woli za 300 tysięcy złotych. Fakt, do remontu. Dziś jest warte ponad trzy razy więcej. A kredyt prawie spłacony.

– Znajomi się łapali za głowy, że młodość sobie niszczy na własne życzenie, że wiązanie się kredytem na 20 lat jest dla starych ludzi, nie dla naszego pokolenia, że to jakieś kapitalistyczne niewolnictwo.

Czasem zazdrościł im tej bez troski. A już najbardziej Paulinie, bo jej starzy tak bardzo docenili fakt, że zrobiła magisterkę, że jak wyszła z uczelni, to tego samego dnia weszła do

dwóch przestronnych pokoi z kuchnią w centrum. Dziś mieszka w domu pod miastem i problemy zwykłych ludzi jej nie dotyczą.

„Czy odebrałem sobie młodość?” – pytał sam siebie Konrad na początku tej historii z kredytem.

– Jestem z tych najstarszych milenialsów. Miałem siedem lat, kiedy upadł komunizm. Moje pierwsze świadome lata przypadły na czas turboliberalizmu. Miałem 22 lata, kiedy weszliśmy do Unii. Rośliśmy w poczuciu, że wszystko już zawsze będzie szło do góry, że będzie tylko coraz lepiej i lepiej. Nie dziwię się mojemu pokoleniu, choć to nie jest moje osobiste doświadczenie, że spróbowało zerwać z etosem rodziców: „Nie poświęcę życia na zarabianie na domy i mieszkania. Na jeden stały i nieszczęśliwy związek”. Bardzo długo myślałem, że to

oni mieli rację. Od kilku lat coraz bardziej nabieramy – i ja, i oni, tak zwana klasa komiejska i wciąż w miarę młoda klasa średnia – przekonania, że to było marzenie. I od paru lat przestało się spełniać. Mam farta, że nigdy tak do końca w to nie uwierzyłem.

Dziś mieszkanie Konrada spłaca się samo, bo ceny najmu wystrzeliły tak, że nawet stopy procentowe mu niestraszne. Mieszka z partnerką i dwójką dzieci w jednej z podwarszawskich sypialni. Życie jest w miarę spokojne, choć i tu rośnie w ludziach – w Konradzie też – jakiś lęk. „Żeby tylko praca była”, „żeby tylko inflacja nie rosła”, „żeby stopy spadły”. I ten najbardziej abstrakcyjny lęk, którego nikt już nigdy miał w tej części świata nie doświadczać: „żeby tylko wojny nie było”. Co, jeśli by ta chybotliwa konstrukcja, jaką jest życie Konrada, miała się rozpaść? Na kogo mogliby z Moniką liczyć?

III

– POLITYCZNIE NIKT MNIE NIE REPREZENTUJE – wzdycha Przemek. Pierwszy raz głosował w 2005 r. Na PO, a tak naprawdę

to przeciw wszystkim innym.

– Od zawsze głosuję sumieniem, a nie portfelem. Tak mnie wychowano, że wszystko jest w moich rękach, że każdy jest kowalem własnego losu i jak ten kowal się zaprze i będzie zapieprzał, to włos mu z głowy nie spadnie. I będzie miał dobry samochód, i własne mieszkanie, i oszczędności, i fajne wakacje – wszystko będzie miał, bo jeśli tylko zechce, to sobie na to zapracuje. Większość znajomych myślała podobnie. Głosowaliśmy za liberalnym światopoglądem, za Europą, za prawami mniejszości i tak dalej. A przez ostatnie 10 lat za tym, żeby PiS wypierdalał. I Kościół też.

Tylko, zastanawia się dziś Przemek, co z osobistym interesem ludzi takich jak on? Gdzie są ci, którzy w kółko powtarzają,



ZYŁAM W BŁOGIEJ
NIEŚWIADOMOŚCI
– MÓWI MIŁA.
SŁOWO „HIPSTER”
ZESTARZAŁO SIĘ
RÓWNIŹ ŹLE, CO POMYSŁ
JEJ POKOLENIA
NA ŻYCIE. ZNACZY
POMYSŁ BYŁ DOBRY,
TYLKO RZECZYWISTOŚĆ
SIĘ ZMIENIŁA

że klasa średnia to, klasa średnia tamto. Fundament demokracji liberalnej, tak gadają. Czy coś w tym stylu.

To teraz, myśli Przemek, zróbmy małe ćwiczenie intelektualne. Założmy, że rzeczywiście jest tak, że ta klasa średnia taka ważna. Że to od niej zależy stabilność Polski i Europy.

– Prawicowi populiści tę klasę jebią, aż boli, bo za mało nacjo i za mało kato. Lewicowi populiści nią gardzą, bo solidaryzuje się wyłącznie z czubkiem własnego nosa. A tak zwane polityczne centrum mówi to, co Rafał Trzaskowski w Warszawie: musicie na nas głosować, bo co? Każdy inny wybór was całkiem słusznie przeraża. No. To teraz wystawiać pupę wiadomo do czego.

Tak to w profesjonalnej – ostatecznie zrobił trzy lata politologii – opinii Przemka wygląda. A co, jeśli ci ludzie, którym obiecano dobre życie, jak będą pracować, rozwijać się, działać kreatywnie i tak dalej, wściekną się jeszcze bardziej? Co, jeśli część z nich powie: to dupie z ideałami liberalnej demokracji, gdzie są moje pieniądze?

– Konfiarze i pisowcy tylko na to czekają. Im się to super podoba. Docisnąć klasę średnią jeszcze bardziej, niech boli. A Platforma na to: nie da się żyć lepiej, sorry – mówi Przemek. A tak poważnie: co, jeśli duża część liberalnych, zarabiających te sześć do dziesięciu tysięcy miesięcznie ludzi powie: chcieliśmy żyć w pięknym świecie, w którym każdy może być sobą i nikt nikogo nie trzyma za pysk, ale okazało się, że ten świat istniał tylko przez chwilę, już go nie ma i nie wróci? Jak wtedy będzie wyglądać Polska i Europa?

IV

– W PEWNYM SENSIE POGARDZALIŚMY LUDŹMI, KTÓRZY GŁOSOWALI PORTFELEM. Zostali kupieni. My tylko chcieliśmy, żeby nam obniżono podatki – mówi Miła i zamawia sobie kawę z przelewem, przy okazji robiąc wielkie oczy. Wskazuje spojrzeniem na tablicę z menu nad barem i klnie pod nosem. Kawa – 16 zł. Piwo w butelce – 22. – Najwyraźniej ludzi stać – wzdycha. – Tak samo jak na mieszkania za 25 tysięcy za metr.

– Niepisana umowa między tak zwaną klasą średnią a państwem była taka: wy nam dajecie żyć i nie przygniatacie podatkami, a w zamian my nic od was nie chcemy – mówi Miła. – Zapłacimy za prywatne przedszkole, prywatnego dentystę, psychologa, a podstawową opiekę zdrowotną wykupimy sobie w pakiecie. Państwu nie można ufać, że cokolwiek zrobi dobrze, ja w tym nie chcę brać udziału, stać mnie. Państwo mówiło: okej.

– Ci o lewicowej wrażliwości robili sobie z tego order, że co prawda nic od państwa nie chcą, za to ich podatki idą na usługi państwowe dla tych, którym się gorzej wiedzie. A ci o bardziej konfiarskim spojrzeniu na rzeczywistość myśleli: a korzystajcie sobie z tych chujowych publicznych szkół i przychodni, wy robaki, co wam w życiu nie wyszło.

– Spora część mojego pokolenia, w ogóle ludzi takich jak ja – zarabiających nieźle, z wielkich miast, z perspektywami, z obietnicą, że wszystko będzie zawsze rosło – uwierzyła w to, że państwo jest potrzebne tylko nieudacznikom – irytuje się Krzysiek.

– Dlatego bardzo długo nikomu nie przeszkadzały beznadziejne zarobki w edukacji, beznadziejna opieka zdrowotna i tak dalej. Ja sobie zapłacę i mam wszystko w wersji premium. Zgodziliśmy się na to, że politycy mogą być nieudacznikami. Pisowcy mają bronić papieża i tańczyć u Rydzyka, platformersi mają się owijać we flagę Unii, a lewica może mądrze mówić i nic nie robić – dodaje.

V

– PRACUJĘ W NIEDUŻEJ AGENCJI, W SUMIE KILKANAŚCIE OSÓB – mówi Przemek. – Znamy się dobrze i lubimy. Większość z nas zarabia podobne pieniądze, a jednak nasze życia i perspektywy są od siebie kompletnie różne. Ci, którzy kupili mieszkania wcześniej, albo coś dostali czy odziedziczyli, wsiedli na wygodną łódeczkę i sobie płyną. Wartość ich nieruchomości rośnie, stają się coraz bogatsi, nie muszą nic w tym kierunku robić. A inni siedzą na tym dziurawym, ciasnym stateczku i się zastanawiają: zatonie czy nie? Kowale własnego losu, co im włos z głowy nie spadnie.

Z tym kowalem, śmieje się Przemek nerwowo, to jest pewna ironia. Bo on po trzydziestce prawie całkiem wyłysiał. **N**

dawid.karpiuk@newsweek.pl

REKLAMA



SZANSA NA ŻYCIE BEZ BÓLU

Prywatna Klinika Rehabilitacyjna Krojanty – od 1990 roku specjalizujemy się w nieoperacyjnym leczeniu ostrych i przewlekłych bólów kręgosłupa.

Leczymy również bóle głowy (migreny), dyskopatie, bóle stawów i zespół cieśni nadgarstka. Prowadzimy intensywną rehabilitację po wypadkach i kontuzjach, wylewach, zatorach oraz operacjach ortopedycznych i neurochirurgicznych. Efektem dwóch tygodni leczenia jest zwykle powót do pracy i życie bez bólu.

Zrób prezent swoim rodzicom

Przed rewolucją

Klasa średnia traci w astronomicznym tempie, ale wciąż obwinia samą siebie. Tak jest nauczona – mówi DR MARCIN GALENT, socjolog z Uniwersytetu Jagiellońskiego

ROZMAWIA DAWID KARPIUK



NEWSWEEK: Nierówności rosną w coraz większym tempie.

Klasa średnia rozwarstwia się, jej duża część biednieje.

Co dalej?

DR MARCIN GALENT: Jeśli pyta pan o doświadczenie historyczne, to najbardziej skrajnym skutkiem takich procesów jest rewolucja. Rewolucja francuska, lipcowa, październikowa itd. To, że społeczeństwa zaczęły dążyć do jakichś form egalitaryzmu, jest efektem tego, że co i rusz dochodziło do jakiejś rewolucji. Ta październikowa była największym straszakiem, bo była zwycięska i w skali globalnej rozpoczęła marsz przeciwko mechanizmom, które prowadzą do nierówności ekonomicznych.

Gdy komunizm upadł, Francis Fukuyama napisał o końcu historii. W dużej mierze chodziło mu o to, że wraz z upadkiem komunizmu wolny rynek stracił konkurentów. Uwierzyliśmy, że ten rynek najlepiej alokuje zasoby i przez to produkuje najwięcej bogactwa, a to bogactwo spływa z góry w dół. Przypląty podnosi wszystkie łódzie. Dziś Fukuyama publicznie przeprosza za to, że był neokonserwatystą.

Rewolucja w Europie w XXI w.?

– Trudne do wyobrażenia, to prawda. Jednak niech pan popatrzy na to, co się dzieje: po raz pierwszy od II wojny światowej wybory w niemieckich landach wygrywa AfD, a więc skrajna prawica. Mówią, żeby już skończyć z przypominaniem nazistów Hitlera i innych starych historii. I że nie każdy SS-man był zły. We Francji święci sukcesy Zjednoczenie Narodowe. W Holandii skrajnie prawicowa formacja Geerta Wildersa wygrała zeszłoroczne wybory. W Wielkiej Brytanii do parlamentu dostaje się Nigel Farage, jeden z autorów brexitu. Coraz większe poparcie notują Szwedzcy Demokraci. W USA nie wiadomo, czy za chwilę nie wróci do władzy Trump. 10 lat po krachu gospodarczym z 1929 r. wybuchła II wojna światowa. Rozmiary krachu z 2008 r. mogły być podobne, ale szczęśliwie do tego nie dopuszczono. Udało się ominąć rewolucyjne tendencje, ale radykalnie obniżył się poziom życia w Europie, podatnicy musieli płacić za bankructwo sektora finansowego.

I się wkurzyli, ale tylko trochę?

– Nikt pewnie dziś nie wyjdzie na ulicę z bronią w ręku. Ale nie dziwny się, jeśli się za sześć czy 10 lat okaże, że nie ma już Unii Europejskiej. A jakiś czas później – że nie ma już demokracji liberalnej, bo ją skrajna prawica przemieni w coś całkiem innego. Nierówności doprowadzają też do tego, co Jürgen Habermas nazwał kryzysem legitymacji. Ludzie przestają wierzyć w to, że świat jest fair, merytokratyczny, oparty na umowie społecznej, którą należy respektować, i że dobro każdego jest brane pod uwagę. Coraz częściej się okazuje, że ludzie biorą odwet na świecie polityki, głosują tak, żeby ukarać przywódców, bo zasady gry są nierówne, nieuczciwe. Elity finansowe i gospodarcze zaproponowały nam grę w orła czy reszka. Jak spadnie reszka, to one wygrywają, a jak spadnie orzeł, to ty przegrywasz. Thomas Piketty w wydanym w 2014 r. „Kapitale” udowodnił, że nierówności ekonomiczne szybują. Co można zrobić? Strajkować i wymuszać na politykach narzędzia, które powstrzymają to szaleństwo.

Ale czy polska klasa średnia potrafi się upominać o swój ekonomiczny interes?

– Jestem pesymistą. Przez wiele lat byłem działaczem związku zawodowego, z bliska widziałem, jak pracownicy uczelni – w zdecydowanej większości należący przecież do klasy średniej – nie potrafili rozpoznać własnego interesu, jaka tam jest atrofia więzi społecznych. Wiele osób uważa, że przynależność do związku zawodowego jest czymś wstydliwym, czymś, co by w jakimś sensie pokazywało ich słabość.

Inna rzecz, że w Polsce wciąż nie ma poczucia, że dochodzi do wzrostu nierówności, bo większość ludzi widzi, że jednak sytuacja się poprawia. Coraz więcej autostrad, coraz lepsze samochody, coraz więcej otynkowanych domów. Brak poważniejszego bezrobocia. To tworzy atmosferę oczekiwań, które będą zaspokajane. Nawet jeśli teraz jest trudniej, to musi być jakaś anomalia w ogólnie pozytywnym trendzie.

A może jest tak, że przystawiony Kowalski patrzy na miasto, w którym mieszka, i mówi: jest lepiej, a mnie jest gorzej. Znaczy: coś jest ze mną nie tak, lepiej o tym nie gadać, bo wstyd.

– Dokładnie. To jest efekt etosu protestanckiego, który przeszczepiono do Polski w czasach transformacji. Wtedy wszyscy podniecali się Friedmanem, Hayekiem i Balcerowiczem. Jeśli ktoś myślał inaczej, musiało być z nim coś nie tak. Lepper jakiś! Skoro na wolnym rynku wszyscy mamy równe szanse, to niepowodzenia są naszymi osobistymi porażkami. Oczywiście każdy człowiek jest odpowiedzialny za swoje decyzje, ale w Polsce, szczególnie wśród osób przynależących do klasy średniej, posunięto to do absurdu. Jeśli wyrzucili cię z pracy, to musiałeś nie dość dobrze pracować. Jeśli szybko nie znalazłeś drugiej, znaczy, że za słabo szukałeś. Jeśli zarabiasz za mało, to się pewnie lenisz. Klasa średnia jest wytrenowana w tym, żeby nie wątpić w neoliberalny porządek rzeczy. Żeby nie domagać się niczego od państwa, bo domaganie się czegokolwiek degradowuje do tych, którymi klasa średnia pogardza.

U mnie na uczelni, jak ktoś czegoś chce, to jest roszczeniowy, a roszczeniowy to prawie homo sovieticus. To prowadzi dalej: jak komuś się gorzej dzieje, to jest nieudacznikiem i lepiej się od niego odwrócić, bo to może zagrozić naszemu statusowi.

W latach 90. górnicy bali się, że będą zamykane kopalnie. Usłyszeli: to się musicie przekwalifikować. Jak nie, to się nie nadajecie do życia we współczesnym świecie. Potem to samo mówiono rolnikom. Nagle się okazuje, że klasa średnia, która obdarowała wszystkich swą pogardą, mówi: nie stać nas na kredyty, mieszkania, wakacje. Ale nie mówi głośno, bo się tego wstydzi?

– No tak. Bo to jest dalej ten wyobrażony wyścig, w którym wszyscy mają te same szanse. Milczenie klasy średniej w sprawie własnych trudności wynika też z paru innych faktów. Po pierwsze, mamy jeden z najniższych poziomów uzwiązkowienia w Europie. Przez dekady mówiono górnikom, rolnikom, że mają się przekwalifikowywać, że nie nadążają za współczesnością. I oni to robili. Ale kiedy w 2008 r. usłyszeli, że muszą się składać na ratowanie sektora finansowego, to przejrzeni na oczy. W Polsce ten krach nie był aż tak silny.

Jak widzę kolesi z Konfederacji, którzy dalej tłuką ekonomiczne bajeczki z lat 80., to nie wiem, czy mam się śmiać, czy płakać, że ktoś ich w ogóle traktuje poważnie. A raczej nie ktoś, tylko kilkanaście procent wyborców. Z nimi się w ogóle nie powinno rozmawiać. Powinno się powiedzieć: jesteście niedouczeni.

Cena wynajmu średniej wielkości mieszkania w Warszawie dogania średnią krajową. Cena za metr mieszkania, jeśli ktoś kupuje, średnio 16,5 tysiąca. I nic.

– Klasa średnia chyba wciąż nie wie, że może i powinna walczyć o swe interesy. Mamy nieustający wzrost, który dotąd nie został zakłócony świadomością, że to się może skończyć. Wciąż mamy ogólny optymizm, jeśli komuś się noga powinie, to trudno – jego sprawa, tak sobie pościelił. Nie przyszło w Polsce traumatyczne doświadczenie, że to nie jest kwestia indywidualnej odpowiedzialności, tylko system tak działa, że daje wszystkim w dupę. Jesteśmy w Polsce pomiędzy społeczeństwem tradycyjnym i nowoczesnym. Wielu ludzi jest przyzwyczajonych do tego, że rodzina się złoży, dołoży i kupi mieszkanie. A zbliża się kolejny moment transferu ogromnego bogactwa. Pokolenie baby boo-

mu, a więc ludzie urodzeni po II wojnie światowej, gdzieś do początku lat 60., będzie powoli odchodzić. Za 15, 20 lat pozostawią swoje bogactwo: domy, mieszkania, których wartość od lat 90. niebywale urosła. Ci, którzy coś odziedziczają, będą w nieskończenie lepszej sytuacji od tych, którym się nie poszczęści.

Co najbardziej truje klasę średnią?

– Przede wszystkim wzrost nierówności. One rosną cały czas, nie widać niczego, co mogłoby ten trend zastopować. To oznacza, że 10 proc. najbogatszych przejmując coraz więcej bogactwa, które w innej sytuacji mogłoby trafiać do klasy średniej i niższej. Ale nie trafia. Będziemy mieli do czynienia z postępującą pauperyzacją przynajmniej części klasy średniej. Zapewne w Polsce będzie to ta część związana z sektorem publicznym. Przepaść między klasą średnią a klasą średnią wyższą i wyższą będzie rosła. Bogactwo nie będzie spływało z góry do dołu, tylko będzie transferowane z dołu do góry. Jak patrzę na to, co dzieje się w różnych krajach UE, wiele wskazuje na to, że poziom bezpieczeństwa, który wpływał na to, że klasa średnia tworzyła stabilizację, będzie się radykalnie zmieniał. Przy czym może się okazać, że duża część klasy średniej dostanie olbrzymi zastrzyk kapitału, dziedzicząc bogactwo baby boomerów. Mówienie o wspólnym interesie klasy średniej będzie jeszcze trudniejsze do wyobrażenia. Bo jeśli w tej samej klasie średniej jest ktoś, kto nie ma mieszkania, ktoś, kto je dostał i ktoś, kto za chwilę coś odziedziczy, przy tak ogromnym wzroście cen, to praktyka życiowa tych osób, choć mogą pracować w jednej firmie czy instytucji, mieć te same kompetencje i zarabiać tyle samo, jest kompletnie inna. Oni żyją w innych rzeczywistościach, a te rzeczywistości coraz szybciej się od siebie oddalają.

Czyli przeżywający dziś trudności milenialsowi wcale nie muszą przejść przemiany wewnętrznej? Będzie można wrócić do etosowego „mam to w dupie”?

– Tak. Coraz mniej wspólnego doświadczenia. Co ja mam się przejmować tymi, co nie mają, kiedy ja mam? Zwiększające się nierówności oznaczają transfer kapitału do klasy wyższej. To jest bardzo szkodliwe dla rozwoju gospodarczego i społecznego. Będzie spadała siła nabywczą większości i będą zanikały inwestycje, co od lat jest widoczne. Zacznie spadać produktywność i będzie błędne koło. Tak jak w Wielkiej Brytanii. Ale na niektórych spadnie złoty deszcz. Szacuje się, że to będzie największy transfer bogactwa w historii ludzkości. Przy tym skoku cen nieruchomości one wszystkie zostaną dla następców. To wzmocni ich egoizm czy nawet narcyzm. Pojęcie solidarności, zbudowania wspólnego myślenia politycznego, nawet zbudowanie wspólnego obrazu sytuacji będzie niemożliwe.

Jaka jest polityczna przyszłość klasy średniej w Polsce?

– Zapewne przez jakiś czas ludzie będą próbowali dalej nie widzieć tego, co się dzieje. Będą głosować tak, jak do tej pory, licząc, że się poprawi. Ludzie wchodzą do sklepu, muszą zapłacić więcej. Muszą zapłacić więcej za mieszkanie. Ale nie czują, że mogą coś z tym zrobić. Bo jak, skoro ich aktywność polityczna w najlepszym wypadku ogranicza się do udziału w wyborach. Więc na razie tylko pielęgnują poczucie winy. Nie widzą, że w skali społecznej konsekwencje będą katastrofalne. **N**



An illustration of two men in dark suits, seen from behind, looking out a window. The window has a grid pattern and shows logos for 'OK' and 'Pekao' in red and blue. The background is dark.

Newsweek **POLITYKA**

ZIOBRYŚCI TRZYMAJĄ SIĘ RAZEM

FERAJNA WITKA, BRATA ZIOBRY

Dzięki znajomości z braćmi
Ziobro oraz protekcji
Bogdana Święczkowskiego

**zarobili miliony
w Pekao oraz Aliorze.**

Dla Prokuratury
Krajowej opiniowali
i obsługiwali narzędzie
do inwigilacji Hermes.
Dziś współorganizują forum
biznesu w Krynicy i szukają
zbliżenia z nową władzą

TEKST JAKUB KORUS

ILUSTRACJA PIOTR CHATKOWSKI



Bogdan Świączkowski i Zbigniew Ziobro na posiedzeniu komisji sprawiedliwości i praw człowieka, Warszawa, 14 lipca 2020 r.

Jak ustalił „Newsweek”, w działach bezpieczeństwa grupy PZU od lat ulokowani byli zaufani współpracownicy Zbigniewa oraz Witolda Ziobrów (dziś Kornicki) i prokuratora Bogdana Świączkowskiego. Część z nich – z przeszłością w ABW. Kolejny znajomy został wytypowany na szefa Inspektoratu Wewnętrznej Służby Więziennej, który miał być „prywatną służbą specjalną” Solidarnej Polski.

– Pieniądze ze spółek, narzędzia do inwigilacji oraz inspektorat miały być ich polisą na gorsze czasy. Wzmoczenie ich działalności to rok 2021, kiedy koalicja Zjednoczonej Prawicy wisiała na włosku. Ziobryści szykowali się na wypadek, gdyby na polityczną wojnę musieli iść sami – mówi „Newsweekowi” jeden z informatorów.

KORNICKI W ROLI HR-OWCA

PRZYPOMNIJMY. W lipcu tego roku „Newsweek” publikuje informacje na temat Witolda Ziobry, który pod zmienionym nazwiskiem (Kornicki) zarabiał pieniądze w państwowym banku. Pomimo gróźb procesów sądowych z jego strony ujawniamy, że choć w pracy pojawiał się rzadko, tylko w Alior Banku udało mu się zarobić ponad 700 tys. zł.

Śladem tych wiadomości idą inne redakcje. Na początku sierpnia dziennikarze TVP z programu „19:30” ujawniają szczegóły audytu przeprowadzonego w Grupie PZU. Jak z niego wynika, zarząd Banku Pekao zatrudniał aż 18 doradców, których pensje kosztowały 30 mln zł. Wśród wymienionych znowu jest brat Zbigniewa Ziobry. W państwowym banku Witold Kornicki zarobił 4,6 mln zł, choć brak danych, które potwierdzałyby jego obecność w miejscu pracy. „Jedynym śladem rzekomej aktywności pracowników są rozliczenia celów na potrzeby wypłaty premii sporządzone przez byłych prezesów zarządu” – można przeczytać w audycie.

Kornicki vel Ziobro znowu straszy pozwami i za pośrednictwem mediów braci Karnowskich publikuje oświadczenie. Uty-

skuje w nim, że stał się celem krzywdzącego ataku, uporczywego nękania i wiktania w polityczne spektakle. Przekonuje, że na polecenie przełożonych został „głównym architektem gruntownej reformy Departamentu Bezpieczeństwa Banku”, a zmiany objęły reformę struktury, zadań i podziału kompetencji. „Zostali zatrudnieni dodatkowi, kompetentni pracownicy. W szczególności wzmocniona została komórka obsługująca incydenty cyberbezpieczeństwa (SOC). Rekrutowałem dyrektorów departamentu, dyrektorów biur, w tym kolejnych dyrektorów Biura Cyberbezpieczeństwa” – pisze Kornicki w oświadczeniu. Jak się okazuje, nieprzypadkowych. O czym poniżej.

KORZENIE W ABW

WITOLD KORNICKI ZOSTAJE DORADCĄ DS. BEZPIECZEŃSTWA w Pekao w roku 2017, kiedy szefem banku jest Michał Krupiński, jego wieloletni przyjaciel i powiernik (więcej na jego temat pisaliśmy w tekście „Książ Witold, brat Zbigniewa”).

Zmiany faktycznie nadchodzą szybko. Jak ustalił „Newsweek”, do państwowego banku szeroką ławą trafiają wtedy ludzie niegdyś związani z poznańską delegaturą Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Szefem pionu zostaje Piotr Komosiński, jego zastępcą Bartłomiej Marcinkowski (nierozłączni współpracownicy, jak słyszymy, jeszcze w poznańskich czasach). Po jakimś czasie panowie przechodzą na pozycje doradców zarządu, a dyrektorem zostaje mianowany Zbyszko Nowak (wcześniej również związany z ABW w Wielkopolsce, ostatecznie ziobryści zrobią go szefem Inspektoratu Wewnętrznej Służby Więziennej).

Afiliacja zatrudnionych jest nieprzypadkowa. W decyzjach kadrowych ma wtedy pomagać – jak nieoficjalnie dowiedział się „Newsweek” – Bogdan Świączkowski, pierwszy zastępca prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobry, jego przyjaciel jeszcze z czasów studenckich. W latach 2006-2007 Świączkowski był szefem Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, doskonale zna ludzi z Poznania, których rekomenduje. Na szefa całego pionu bezpie-

prof. dr hab. PIOTR SUŁKOWSKI
Dyrektor Opery Krakowskiej

SPEKTAKL BALETU OPERY KRAKOWSKIEJ
DO MUZYKI GEORGE'A GERSHWINA

MOŹDŻER

...in Blue

fortepian - LESZEK MOŹDŻER
ORKIESTRA OPERY KRAKOWSKIEJ

TVP KRAKÓW
Studio S-3 Łęg

4, 5 i 6 PAŹDZIERNIKA
2024 roku

JAROSŁAW STANIEK
- reżyseria, choreografia

KATARZYNA NESTERUK
- scenografia, kostiumy

STEFAN SANDERS
- kierownictwo muzyczne



INSTYTUCJA KULTURY
WOJEWODZTWA
MAŁOPOLSKIEGO

MAŁOPOLSKA



www.opera.krakow.pl

REKLAMA

czeństwa poleca swojego doradcę z Prokuratury Krajowej oraz wieloletniego kolegę, Jarosława Zarzyckiego (z historią w Centralnym Biurze Śledczym oraz wydziale do walki z przestępczością gospodarczą Komendy Głównej Policji). Wśród zatrudnionych – co ważne z powodów, które przedstawimy dalej – są również zatrudnieni Święczkowski Daniel Formella, a nawet kilku kierowców z delegatury Służby Ochrony Państwa z Poznania.

Dla części z nich Pekao nie będzie jedyną działalnością. Na przykład Piotr Komosiński prowadzi wtedy wraz z żoną w Poznaniu detektywistyczną firmę Savet. W banku będzie się nawet spekulowało na temat tego, że wykonuje dla niego zlecenia już po tym, jak Komosiński został doradcą.

FUCHY W PROKURATURZE I KUPOWANIE HERMESA

WIOSNĄ 2020 R. PEKAO PRZECHODZI WSTRZĄS związany z rozgrywkami wewnątrz Zjednoczonej Prawicy. Po dymisji Michała Krupińskiego – i w ramach uzgodnień z ministrem Jackiem Sasim – nominację na fotel prezesa otrzymuje Leszek Skiba. W departamencie bezpieczeństwa zmienia się jednak niewiele – dalej pozostaje on w rękach Jarosława Zarzyckiego, choć wiele mówi się wtedy o tym, że znajomemu Ziobrow nie po drodze z nowym prezesem.

Poznańska ekipa zostaje w większości zwolniona z departamentu bezpieczeństwa Pekao dopiero w styczniu 2021 r. Ładowanie jest jednak miękkie – dzięki znajomości z Ziobrami oraz Święczkowskim trafiają do Prokuratury Krajowej oraz Ministerstwa Sprawiedliwości. Zatrudnienie znajdują tam między innymi Piotr Komosiński, Bartłomiej Marcinkowski oraz Zbyszko Nowak.

Dlaczego to tak istotne? Jak ustalił „Newsweek”, to właśnie protegowani Ziobrow na początku 2021 r. biorą udział z ramienia Prokuratury Krajowej w rozmowach o zakupie Hermesa. To zaawansowany program analityczny z Izraela umożliwiający tzw. biały wywiad z ogólnodostępnych źródeł, ale także wgląd w informacje prywatne na kontach społecznościowych oraz przeglądanie darknetu. Jego dystrybucją zajmuje się NSO Group – twórca Pegasus – ale rzeczywistym wytwórcą jest inna firma z Izraela. Jak wynika z naszych informacji, w rozmowach nie bierze udziału Witold Ziobro – strona dystrybutora wymaga, aby w negocjacjach brali udział tylko ludzie akredytowani przy Prokuraturze Krajowej, a brat Ziobry nie jest tam zatrudniony.

1000 ZŁ ZA OBSŁUGĘ

INFORMACJE „NEWSWEEKA” UZUPEŁNIAJĄ WIEDZĘ, którą na temat Hermesa mieliśmy dzięki publikacjom „Gazety Wyborczej”. Program zostaje zainstalowany i podłączony do systemu Prokuratury Krajowej w roku 2021, jego serwisowanie odbywa się w Izraelu. Formalnie zajmowała się tym podspółka NSO Group z Luksemburga o nazwie QCyber – ustalił „Newsweek”. Kwota, którą przeznaczono na zakup Hermesa, oscylowała wokół 12 mln zł, do tego doszły koszty corocznych licencji wynoszące około 2 mln zł.

Jak informowała „Wyborcza”, system nie został certyfikowany przez Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego (według jednej z teorii Ziobro oraz Święczkowski nie chcieli tego konsultować z Mariuszem Kamińskim), a jego „centrala” znajdowała się

w Kancelarii Tajnej Prokuratury Krajowej. Kancelarią zarządza wtedy Klaudia Kacperska, zaufana Święczkowskiego, niegdyś sekretarka w ABW, prywatnie mająca powiązania z zatrudnionym w Pekao przez Kornickiego Formellą – dowiedział się „Newsweek”.

Jak pisze w „GW” Wojciech Czuchnowski, bezpośrednio obsługą Hermesa zajmują się dwaj byli funkcjonariusze ABW: Robert B. z departamentu wsparcia operacyjno-technicznego oraz Piotr K. z departamentu zabezpieczenia technicznego ABW.

Ten drugi to nasz Piotr Komosiński. W Prokuraturze Krajowej miał pracować na umowę-zlecenie i dostawać 1000 zł za godzinę pracy. Obaj mieli przeszkolić w stosowaniu Hermesa grupę zaufanych prokuratorów. Zdaniem dziennika na celownika tego programu mieli się znaleźć między innymi prokuratorzy z LexSuperOmnia oraz sędziowie ze stowarzyszeń walczących o niezależność wymiaru sprawiedliwości. Ale nasz informator podsuwa jeszcze jedną hipotezę. – Hermes miał być polisą ubezpieczeniową Solidarnej Polski na wypadek rozpadu koalicji, dawał niezależność od reszty służb i miał pomóc w targetowaniu grup do prowadzenia kampanii wyborczej partii Zbigniewa Ziobry.

Sprawę zakupu oprogramowania prowadzi prokuratura w Rzeszowie. W ramach działalności komisji śledczej ds. Pegasusa o działalności „ekipy Ziobrow” jej zatrudnienie w PK oraz rolę przy kupowaniu Hermesa pytał poseł PO Witold Zembaczyński, wymieniając z nazwiska Piotra Komosińskiego, Krzysztofa Krełowskiego, Roberta Budka, Zbyszka Nowaka oraz Klaudii Kacperskiej.

MILIONY W ALIORZE I INSTYTUT KOŚCIUSZKI

JESIENIĄ 2021 R. – w ramach porozumień wewnątrz Zjednoczonej Prawicy – ludzie związani z Solidarną Polską przejmują Alior Bank. 10 listopada prezesem zostaje Grzegorz Olszewski (brat księdza Michała O., zatrzymanego w związku z aferą w Funduszu Sprawiedliwości), a na stanowiska dyrektorów i doradców ds. bezpieczeństwa trafia cała „ekipa Ziobrow”.

W należącym do Grupy PZU banku nie klepią biedy. Najkrócej pracuje w nim Zbyszko Nowak (zostaje szefem Inspektoratu Wewnętrznej Służby Więziennej), ale tylko od grudnia 2021 do grudnia 2022 r. zarobi blisko milion złotych. Najdłużej, bo do wiosny tego roku, Bartłomiej Marcinkowski (od grudnia 2021 do maja 2024 r. zarobi w banku ponad 2,7 mln zł!) oraz Piotr Komosiński (w tym samym okresie 2,1 mln zł!). Witold Ziobro (wówczas już Kornicki) zostanie umocowany w banku jako ekspert. Wszyscy wymienieni otrzymają tam – jak dowie się „Newsweek” – stawki znacznie wykraczające ponad rynkową średnią.

Dawni znajomi z poznańskiego ABW ciągle trzymają się razem. Kiedy Nowak zostaje szefem Inspektoratu Wewnętrznej Służ-

by Więziennej, w uroczystości biorą „przedstawiciele pionów bezpieczeństwa spółek państwowych działających w sektorach finansowych” – między innymi Komosiński oraz Marcinkowski. Wirtualnego „przecięcia wstęgi” IWSW dokona sam minister sprawiedliwości, prokurator generalny Zbigniew Ziobro (do sprawy IWSW będziemy jeszcze w „Newsweeku” wracać).

W 2022 r. koledzy z państwowych banków rozsiadają się w fotelach członków rzeczywistych założonego przez Ziobrow Stowarzyszenia Instytut Kościuszki. Podczas wyboru nowego prezesa, którym zostanie Jarosław Kożuch, na nadzwyczajnym walnym zebraniu członków 10-12 sierpnia 2022 r. są już na liście jako członkowie Marcinkowski, Komosiński oraz Nowak. – Witek Ziobro bał się wtedy utraty kontroli nad stowarzyszeniem, dlatego wykasował wszystkie osoby niepewne z punktu widzenia rodziny Ziobrow – mówi nasz informator.

KONFERENCJE, KONFERENCJE

DLACZEGO TO TAK ISTOTNE? Bo równoległe do działalności w pionach bezpieczeństwa banków oraz prokuratury znajomi ziobryści prowadzą też działalność konferencyjną. Instytut Kościuszki od wielu lat organizuje między innymi międzynarodową konferencję poświęconą cyberbezpieczeństwu CyberSec (jej partnerami było wiele spółek skarbu państwa, takich jak Orlen czy Polska Grupa Zbrojeniowa).

W czerwcu 2022 r. instytut powołał też spółkę Krynica Forum (ich współnikiem został wtedy jeden z podkarpackich biznesmenów). To ona jest organizatorem zakończonego niedawno forum biznesowego w Krynicy, z której – notabene – pochodzą i w której wychowali się Ziobrowie. Premie-

rowa impreza miała miejsce w roku 2022 r., pierwsza większa edycja odbyła się rok później.

W tym roku 18-20 września Małopolskę miało odwiedzić poza ministrami dwóch polityków, na których szczególnie miało zależeć organizatorom: prezydent Andrzej Duda oraz minister Władysław Kosiniak-Kamysz. – Krynica ewidentnie miała być miejscem zbliżenia obozu prezydenckiego i ludowców. Nie zdziwiłbym się, gdyby ekipa od Ziobrow chciała wykorzystać relacje z prezydentem oraz ministrem, aby na nowo wskoczyć na karuzelę posad w państwowych spółkach – przestrzega jeden z naszych informatorów.

Ostatecznie w Krynicy pojawił się w tym roku tylko prezydent. Oficjalnie przedstawiciele rządu od forum oderwała powódź. Nieoficjalnie – mieli wycofać swój udział po otrzymaniu informacji o powiązaniu Forum z grupą ziobrystów. Tak miało być m.in. z ministrem cyfryzacji Krzysztofem Gawkowskim – ustalił „Newsweek”. **N**

jakub.korus@newsweek.pl

”

HERMES MIAŁ BYĆ
POLISĄ SOLIDARNEJ
POLSKI NA WYPADEK
ROZPADU KOALICJI,
DAWAŁ NIEZALEŻNOŚĆ
OD RESZTY SŁUŻB I MIAŁ
POMÓC W PROWADZENIU
KAMPANII WYBORCZEJ

– MÓWI NASZ INFORMATOR

POLITYCZNE ZŁOTO

Andrzej Stankiewicz

Rak przed komisją śledczą



Na początek powiedzmy sobie kilka rzeczy. Po pierwsze, opinia biegłego stwierdza, że Zbigniew Ziobro jest leczony onkologicznie, że nie jest to wymysł, wybieg ani blaga. Po wtóre, stosowanie Pegasusa do inwigilacji opozycji to jeden z największych skandali rządów PiS i Ziobro powinien za to zapłacić.

Po trzecie, nigdy nie wierzyłem we wszechmoc specszużb, zwłaszcza bidaszużb polskich. Ale jednocześnie nie jestem naiwny, by nie dostrzegać, że służby załatwiają swoje interesy rękami polityków.

Wszystkie te myśli przebiegły mi przez głowę, gdy obserwowałem, z jaką ekscytacją członkowie komisji śledczej do spraw Pegasusa ogłaszają datę przesłuchania Zbigniewa Ziobry – 14 października, w wigilię wyborczej wiktorii nad Zjednoczoną Prawicą. Komisja dostała opinię biegłego, wedle której Ziobro jest w dobrej formie i może zeznawać.

Podczas gdy inne komisje śledcze (do spraw wyborów ko-pertowych oraz wizowa) praktycznie skończyły pracę, ta właściwie jej nie zaczęła. Dlatego za wszelką cenę potrzebuje sukcesu i uwagi. Z tego punktu widzenia wezwanie Ziobry to pomysł dobry, a przynajmniej tak uważają członkowie komisji. Bo w rzeczywistości to pomysł skrajnie głupi, który bardziej komisji zaszkodzi, niż jej pomoże.

Komisja niczego dotąd nie ustaliła, bo specszużby nie chcą jej przekazywać żadnych materiałów, w tym kluczowych dokumentów dotyczących wykorzystywania Pegasusa przeciwko politykom. Tak, tak, lista inwigilowanych, którą rzekomo ma speckomisja, to całkowity wymysł. Dla jasności – komisję bojkotują nowi szefowie służb, którzy mieli rozliczać rządy PiS. Szkopuł w tym, że w służbach poza rutynową miotłą na samej górze praktycznie nic się nie zmieniło. Wygrywa wewnętrzna lojalność, a podłości są tuszowane.

Dobrym przykładem jest nowa szefowa CBA Agnieszka Kwiatkowska-Gurda. Tajemnicą poliszynela jest to, że posadę dostała dlatego, że jako funkcjonariuszka zachowała się przyzwoicie, gdy poseł KO Krzysztof Brejza był inwigilowany Pegasusem za rządów PiS. Czy była sygnalistką, czy też po prostu wbrew rozkazom nie chciała dojeżdżać Brejzy, to w sumie bez znaczenia. Ważne, że właśnie za to została nagrodzona najważniejszym fotelem w CBA.

Dzisiaj to ona jest jedną z głównych hamulcowych w sprawie przekazywania dokumentów komisji śledczej. A to znaczy, że komisja nie ma nic, czym mogłaby przycisnąć Ziobrę do muru. W tej sytuacji komisji grozi kompromitacja jeszcze większa niż podczas przesłuchiwania Kaczyńskiego, na którego posłowie też nic nie mieli. Tym razem jednak emo-

cje, a przez to i koszty polityczne przesłuchania będą większe ze względu na to, że Ziobro zjawi się wychudzony, ledwo mówiący, schorowany, czyli na dzień dobry zyska współczucie i sympatię widzów.

Jarosław Kaczyński – inaczej niż ja – wierzy we wszechmoc służb i ich szemrane interesy. Tak się przy tym paradoksalnie składa, że to za rządów PiS służby kradły najbardziej beczelnie – i nawet ja to widzę. I widzę, jak bardzo to teraz kryją i rozmywiają.

Pod szczytnymi hasłami walki z pandemią dochodziło do gigantycznych przekrętów właśnie z inspiracji specszużb. Oto przykład: do wskazanej przez Agencję Wywiadu spółeczki zajmującej się handlem pędzelkami kosmetycznymi trafiło z dnia na dzień 2 mln dol. na zakupy sprzętu ochronnego. Spółka wzięła prowizję i przekazała zamówienie poddostawcy. Dziś już nie istnieje.

Słynny handlarz bronią Andrzej Izdebski, który podczas pandemii oszukał Ministerstwo Zdrowia na kontrakcie do-

W służbach praktycznie nic się nie zmieniło. Wygrywa wewnętrzna lojalność, a podłości i przekręty są tuszowane

tyczącym respiratorów, również miał rekomendację Agencji Wywiadu. Potwierdzają to materiały z inwigilacji CBA dotyczące Daniela Obajtki. W czasie pandemii Orlen kupował od Izdebskiego materiały ochronne, jednak Obajtek napotkał problemy, ponieważ Izdebski nie realizował zamówień. „To po prostu oszust, którego wskazały służby” – powiedział Obajtek do swojego zastępcy Adama Buraka. Izdebski zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach w Albanii w 2022 r.

Także w tym przypadku nie ma mowy o rozliczeniach.

W brytyjskim areszcie ekstradycyjnym siedzi Michał Kuczmierowski, przyjaciel Mateusza Morawieckiego, były szef Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych, gdzie złodziejstwo po wybuchu wojny w Ukrainie sięgnęło co najmniej pół miliarda.

Na rozprawy Kuczmierowskiego pielgrzymują z Polski delegacje. Była eksvicepremier Jadwiga Emilewicz, były dawny szef Kancelarii Premiera Michał Dworczyk. Ostatnio pojechał też wieloletni, wysokiej rangi oficer Agencji Wywiadu, który robił na odcinku wschodnim, gdy RARS dostarczała tam zakupiony w ustawionych przetargach sprzęt. Wnosząc z tego, że Kuczmierowski raczej nie przemówi. **N**

**NAJBARDZIEJ ZAUFANY
CZŁOWIEK PREZESA**

Syn PiS

Mariusz Błaszczak z brzydkiego kaczątka wyrósł na pierwszego po prezesie **i marzy o prezydenturze.**

Chodzi po drogich sklepach w Warszawie i kupuje garnitury, koszule i krawaty. Kolorowe

TEKST JACEK GADEK

Partia jest jak żona, a żony się nie oddaje. Jest się z nią aż do śmierci. W razie zaślubnięcia Jarosława zaopiekuje się PiS Mariusz Błaszczak, najbardziej zaufany człowiek prezesa. A gdyby miało zabraknąć Jarosława, to jasne jest jego wskazanie na Mariusza jako swojego następcę – mówi polityk PiS.

PO PRAWICY PREZESA

JEST DZIECKIEM PRAWA I SPRAWIEDLIWOŚCI. Spoważniał i zmężniał. Wyrósł na wiceprezesa PiS. Na ministra obrony narodowej. Na wicepremiera. Na tego, który zasiada po prawicy Jarosława Kaczyńskiego. Marzy nawet o prezydenturze, ale się z tym nie wychyla. Najważniejsza jest bowiem partia.



Poseł PiS Mariusz Błaszczak podczas konferencji prasowej w sprawie nielegalnego finansowania kampanii wyborczej przez PO, Warszawa, 26 sierpnia 2024 r.

A że partia to Jarosław, dla niego zrobi wszystko.

Jest dziś w PiS pierwszym po Kaczyńskim, najnowszym modelem delfina. Wcześniej był nim Mateusz Morawiecki, dziś w partii bardzo osłabiony, zwłaszcza aferą w Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych, w której ścigany jest jeden z bliskich ludzi byłego premiera Michał Kuczmierowski.

PIERWSZY SKRZYPEK

– KIEDYŚ MARIUSZ MOŻE ZAGRAĆ PIERWSZE SKRZYPCY – twierdzi polityk PiS, dobry znajomy Błaszczaka. Do tej pory zawsze gra tak, jak mu dyrygent wskaże.

Tuż po agresji Rosji na Ukrainę MON Błaszczaka na jednej z porad ścisłych władz państwa zaproponowało, by przekazać Ukrainie 130 czołgów T-72. Czas był krytyczny. Ukraina mogła paść. Jarosław Kaczyński, wówczas wicepremier, odpowiedział, że dałby ich dwa razy więcej. I Błaszczak dał dwa razy więcej. Jest lojalny wobec prezesa w każdej kwestii – od błahostek po rzeczy fundamentalne. Ale nie zawsze odczytywał w mig myśli swego mistrza.

PRZY UCHU

JAROSŁAW MA LECIWY TELEFON – Nokię, która wiecznie jest obiektem żartów. Pewnie bezpieczniejszą, bo tak prostą. Kaczyński zapamiętuje końcówki numerów i po tym często identyfikuje, kto do niego dzwoni. Tylko numery należące do najważniejszych ludzi, z którymi się kontaktuje bardzo często, ma wpisane do kontaktów z imieniem i nazwiskiem. Wedle naszych rozmówców Błaszczak jest w gronie docenionych.

Rozmawiają każdego dnia wielokrotnie. – No, może nie w niedziele – śmieje się nasz rozmówca z Nowogrodzkiej. – Jarosław zawsze od niego odbiera – dodaje inny.

Są na „ty” – tego zaszczytu dostąpił jeszcze przed czterdziestką, choć prezes zwykł uznawać ludzi z trójką z przodu za młokosów i co do zasady nie spoufala się, bo nie są dostatecznie poważni.

Błaszczak jest w stanie godzić frakcje w łonie Zjednoczonej Prawicy. Jego zaletą jest to, że wzbudza bardzo mało

złych emocji w PiS. Gorzej, że on w ogóle wzbudza mało emocji. W samym PiS z niego żartują, że jest jak flaki z olejem. Charyzmy nie ma.

Legendą obrosło już to, jak kojąco na prezesa wpływa Błaszczak. Gdy parę lat temu szef MON prezentował ustawę o obronie ojczyzny, a to przecież arcyważna, będąca oczkiem w głowie Kaczyńskiego ustawa, prezes PiS zmrzył oczy i przysypiał.

SUKCESJA

OD WIELU MIESIĘCY STOPNIOWO ZRZUCA NA BŁASZCZAKA coraz więcej spraw partyjnych. Nie strategicznych ani najważniejszych decyzji personalnych, bo te zawsze są w rękach prezesa. Ale drobniejszych już tak. – Prezes kiedyś przyjeżdżał na Nowogrodzką ok. godz. 11 i siedział do nocy. Teraz już tak późno nie wychodzi – mówi nam polityk PiS.

***Nie myśli sobą,
on myśli Kaczyńskim
– mówi Kazimierz
Marcinkiewicz.
Jeden z polityków PiS
dodaje: – Jeśli
zabraknie prezesa
i Mariusz zostanie sam,
partia się rozleci***

Działaczy, z którymi dotychczas się użerał osobiście, odsyła z mniej ważnymi sprawami do Błaszczaka. Nie ma czasu, energii ani cierpliwości, by zajmować się drobnostkami.

Ale Błaszczak nie jest niezawodny. Parę miesięcy temu, gdy w Sejmie ważyły się losy wicemarszałka Krzysztofa Bosaka, Błaszczak miał na polecenie Kaczyńskiego poinformować cały klub PiS, że posłowie mają głosować za odwołaniem konfederaty. Ale pisowcy zaczęli się buntować, i to głośno – przewodził im Przemysław Czarnek (obecnie w aliansie

z Błaszczakiem). – Musiał pojechać na Nowogrodzką i przekazać Jarosławowi, że nie dał rady. Widać było, jak bardzo go to bolało, bo nie wypełnił zadania – wspomina nasz rozmówca.

Teraz w PiS przekonują, że Błaszczak łąsi się do parlamentarzystów, chce budować dobre relacje. Rozmawia nie z wysokości, ale jak równy z równymi. – Trochę za późno zaczął – dodaje inny rozmówca z PiS.

ZAWSZE PRZY PREZESIE

CAŁĄ KARIERĘ OPARŁ NA RELACJI Z KACZYŃSKIM. – Ciągłe młody, a już stary druh prezesa. Jarosław nie ma żadnych wątpliwości co do jego lojalności – mówi poseł PiS. Inny dodaje: – Na koniec dnia dobrze wie, kto jest przy nim.

55-letni Błaszczak wszystko w polityce zawdzięcza Kaczyńskiemu. Bez niego pewnie by pozostał historykiem pracującym w urzędzie miejskim Legionowa albo w warszawskim samorządzie. Gdy ćwierć wieku temu był rzecznikiem Legionowa, lokalne media ochrzciły go „stalowymi ustami”. W latach 2002–2004 był zastępcą burmistrza warszawskiej Woli, a potem burmistrzem Śródmieścia. Chciał być w 2002 r. prezydentem rodzinnego Legionowa, miał poparcie PiS, ale nie wyszło – zgarnął za ledwie 11 proc.

Aż Kaczyński umieścił go – za namową nieodżałowanego w PiS, zmarłego w katastrofie smoleńskiej Przemysława Gosiewskiego – w fotelu szefa kancelarii premiera Kazimierza Marcinkiewicza. Tak wystrzeliła jego kariera.

– Został mi narzucony przez Kaczyńskiego – wspomina Marcinkiewicz. – Niczym specjalnym się nie wyróżniał, ale nie był niesprawny w tym, co miał do zrobienia. A oprócz tego oczywiście śledził i mnie pilnował. Do tego stopnia, że mój asystent był przez niego i jego ludzi nieustannie przesłuchiwany. Musiałem przenieść tego asystenta na inne stanowisko, żeby mu dali spokój.

Błaszczak był też w kancelarii Jarosława Kaczyńskiego w 2007 r. Spędzali wtedy całe dnie od rana do nocy. Do Sejmu wszedł w 2007 r. i od tego czasu trwa na Wiejskiej, obecnie jako szef klubu par-

lamentarnego PiS. Był szefem MSWiA, MON i wicepremierem. „Usta prezesa” – tak się o nim powszechnie mówi także na Nowogrodzkiej.

Marcinkiewicz: – Nie myśli sobą, on myśli Kaczyńskim. Jest najmłodszym zakonnikiem Porozumienia Centrum [poprzedniej partii prezesa – red.]. Nie dziwię się, że dziś jest najbliższym człowiekiem prezesa. Kaczyński też musiał to dostrzec i jest to w jego oczach wielką zaletą.

SPARTOLI, ALE NIE UKRADNIE

JAROSŁAW KACZYŃSKI MA ŚWIĘTE PRZEKONANIE, że Błaszczak, owszem, coś może i spartoli, ale nie nakradnie, bo osobiście jest jednak uczciwy. Co innego jego najbliższa współpracownica Agnieszka Glapiak, obecnie członkini KRRiT – usłyszała zarzut przekroczenia

„*Skromność mojego kolegi – mogę chyba powiedzieć: przyjaciela – jest taka, że ręce opadają*”

JAROSŁAW KACZYŃSKI
O MARIUSZU BŁASZCZAKU

uprawnień przy kupnie przez MON zegarka za ok. 6 tys. zł. Zegarek znaleziono w jej mieszkaniu, a miał być prezentem dla delegacji z Korei Południowej.

Błaszczak też zapewne dostanie zarzuty, ale za zupełnie inną sprawę. Ba, sam był gotów dla dobra partii się narazić. Otóż w kampanii wyborczej przed wyborami parlamentarnymi 15 października 2023 r. odtajnił fragmenty planu użycia sił zbrojnych w akcji „Warta” dotyczącej obrony Polski w przypadku hipotetycznej agresji Rosji i Białorusi. W lipcu szef Służby Kontrwywiadu Wojskowego złożył w prokuraturze zawiadomienie o popełnieniu przez Błaszczaka przestępstwa. Dzięki tym wyimkom z pla-

nów wojskowych PiS oskarżało Donalda Tuska, że chciał oddać Putinowi część Polski na wschód od linii Wisły, którą Błaszczak ochrzcił „linią Tuska”, a dzisiejszego premiera oskarżano wręcz o zdradę. Kwestią czasu jest to, że prokuratura postawi Błaszczakowi zarzuty. Na Nowogrodzkiej to jednak powód do dumy, a nie strachu.

TRAFIONY RUSKĄ RAKIETĄ

CO INNEGO SPRAWA ROSYJSKIEJ RAKIETY, która 16 grudnia 2022 r. spadła obok Bydgoszczy. Potencjalnie mogła mieć nawet głowicę atomową. Według ustaleń Najwyższej Izby Kontroli Błaszczak od co najmniej 2 stycznia 2023 r. wiedział o tym incydencie, ale nie poinformował prezydenta Andrzeja Dudy ani premiera Mateusza Morawieckiego. Szczątki odnalazła po kilku miesiącach kobieta jadąca konno przez las – dopiero wtedy Błaszczak zabrał głos i oskarżył dwóch najważniejszych dowódców armii o ukrycie incydentu z rosyjską rakieta. Zażądał też ich dymisji.

Generałów wybronił Andrzej Duda i uznał Błaszczaka za kłamcę, który ukrył przed nim incydent z rakieta. Od tego czasu w pałacu prezydenckim jest zniechęcony. Sam Duda milczy, ale szef jego gabinetu Marcin Mastalerek publicznie szydzi z Błaszczaka.

A generałów Rajmunda Andrzejczaka i Tomasza Piotrowskiego szef MON tak rozwścieczył, że na parę dni przed wyborami 15 października wbił PiS nóż w plecy, składając dymisje. Rosyjska rakietka boleśnie trafiła więc Błaszczaka i PiS. Ale go nie zatopiła.

AMBICJE

– **MARIUSZ** ŁADNY JEST I TAKI AMERYKAŃSKI. Nawet po angielsku coś powie – śmieje się nasz rozmówca z PiS.

W partii dostrzegają jego starania, aby być kandydatem na prezydenta. – Zabiega, ale przy tym nie fauluje. Przyjmie nominację, jeśli taka będzie decyzja Kaczyńskiego – słyszymy.

Sam prezes zagadnięty na konferencji prasowej o to, czy Błaszczak mógłby być kandydatem na prezydenta, chwalił go co prawda, ale dodał z uśmiechem:

– Skromność mojego kolegi – mogę chyba powiedzieć: przyjaciela – jest taka, że ręce opadają. Każdy inny by powiedział od razu, jakie mam świetne sondaże.

W elektoracie PiS jest popularny, ale ma marne szanse na wyjście poza jego rogatki. Wśród ankietowanych (w sondażu United Surveys dla WP), którzy deklarują poparcie dla PiS, najczęściej osób (29 proc.) wskazało na Błaszczaka – to właśnie były szef MON jest najbliższy modelowi opisanemu przez Kaczyńskiego w Radiu Maryja: „Wysoki, okazały, przystojny, znający języki i obyty międzynarodowo”.

Morawiecki zajął drugie miejsce (21 proc.), a 11 proc. stawiało na Przemysława Czarnka. – Pierwszą rzeczą, o jaką zapytam po konferencji, będzie właśnie pytanie o ten sondaż. I jeżeli to jest tak, że różne badania wskażą w tym kierunku, to będę ogromnie rad – dodawał Kaczyński.

Błaszczak ma w PiS podwójną rolę. Jest w partyjnym zespole, który szuka kandydatów na prezydenta i rozmawia z nimi, by przedstawić rekomendacje dla Kaczyńskiego. Ale jest też jednym z kandydatów na kandydata PiS.

NIE BYĆ JAK DUDA

– **MA OCHOTĘ**, ALE NIE MA PREDYSPOZYCJI – mówi polityk Zjednoczonej Prawicy. – Jeśli jednak będzie bezrybie i nie znajdzie się żaden młodszy człowiek z drugiego szeregu, to Błaszczak jest opcją dość bezpieczną dla partii.

Człowiek z PiS: – Błaszczak wciąż jest brany pod uwagę, nawet jeśli nie ma szans wygrać w tych wyborach. Jak nie znajdziemy nikogo dobrego, to start Mariusza może minimalizować straty nieudanej operacji szukania nowego Dudy.

Inny dodaje: – Jarosław ma dość ludzi takich jak Andrzej Duda. Takich, którzy

wykorzystali PiS, a potem stali się niewdzięczni i nieposłuszni. Prezes chce lojalnych.

ROŚNIE W PARTII

BŁASZCZAK W PARTII ROŚNIE W SIŁĘ. Stanąc ma na czele nowego ciała w PiS – komitetu wykonawczego złożonego z młodych polityków PiS, czyli rodzaju nowego zarządu, który ma być na pierwszej linii frontu walki politycznej.

Kaczyński namaszcza go na przyszłego następcę w fotelu lidera PiS. Kiedy kilka miesięcy temu mówił w gronie współpracowników, że myśli o rezygnacji z fotela szefa partii, Mateusz Morawiecki od razu wyrwał się z deklaracją. Błaszczak pokornie milczał. Dziś Morawiecki jest marginalizowany w partii, a Błaszczakowi prezes de facto wytycza ścieżkę do przejęcia władzy. Nie od razu, ale ten proces zainicjował.

REKLAMA

WORLD TOUR 2024

SEAL

CELEBRATING 30 YEARS OF THE CLASSIC ALBUMS SEAL I AND SEAL II

KONCERT

14 PAŹDZIERNIKA 2024
ATLAS ARENA ŁÓDŹ

SEALOFFICIAL.COM

Bilety: BILETSERWIS.pl



Mariusz Błaszczak i Jarosław Kaczyński podczas uroczystości z okazji 80. rocznicy wybuchu powstania warszawskiego, Warszawa, 31 lipca 2024 r.

Błaszczak na czele, bez Kaczyńskiego za sobą, to jednak za mało, by PiS przetrwało w jednym kawałku. Człowiek z PiS: – Jeśli zabraknie prezesa i Mariusz zostanie sam, to partia się rozleci.

Takie wizje nie przeszkadzają prezesowi opiewać go w Radiu Maryja: – Jest u nas od politycznego dzieciństwa, od młodzieżówki, przez całe ponad 30 lat dziejów naszej partii. W polityce samorządowej pełnił różne funkcje, był w rządzie jako wicepremier i minister obrony. Ma doświadczenie partyjne – był szefem klubu parlamentarnego. To prawda, ja proponuję takie rozwiązanie [by był szefem nowego komitetu wykonawczego PiS – red.]. Bardzo bym się cieszył, gdyby to był Mariusz Błaszczak, ponieważ cenię go i lubię. To nie jest jednak swoista dyrektywa seniora partii, żeby akurat jego wybrać jako następcę. Uważam, że byłaby to najrozsądniejsza decyzja, jaką kongres partii może podjąć, ale to już jest w gestii kongresu.

Kongres wyborczy PiS w Przysusze miał się odbyć w ostatnią sobotę września. Ale odwołano go na parę dni przed. Impreza partyjna w czasie, gdy południowo-zachodnią Polskę zalała powódź,

” Ma ochotę, ale nie ma predyspozycji. Jeśli jednak będzie bezrybie i nie znajdzie się żaden młodszy człowiek z drugiego szeregu, to Błaszczak jest opcją dość bezpieczną dla partii

POLITYK ZJEDNOCZONEJ PRAWICY

to chybiony pomysł. A ponadto trudno było dopiąć, jak ma wyglądać zmiana systemu władzy w partii i zwłaszcza idące jak krew z nosa rozmowy o połączeniu z Suwerenną Polską.

Błaszczak jako lider PiS, i to z błogosławieństwem Kaczyńskiego, to koszmar dla Mateusza Morawieckiego. Był premier ma bowiem ambicję bycia szefem PiS bądź partii, w którą przepoczwarzyć może się w przyszłości – to cel nr 1 byłego premiera. Człowiek z PiS: – Podskórnie ta walka już się między nimi toczy.

W PiS już dostrzegają, że Błaszczak nie tyle się zbroi, ile stroi. Bardziej dba o wygląd, bo to też cecha prezydencka. – Chodzi po drogich sklepach w Warszawie i kupuje garnitury, koszule i krawaty – mówi parlamentarzysta PiS. Kolorowe.

To od Kaczyńskiego na pewno go odróżnia. Prezes od katastrofy smoleńskiej nosi tylko czarne. **N**

jacek.gadek@newsweek.pl

CO TAM PANI W POLITYCE

Renata Grochal

Już był w ogródku, już witał się z gąską



B było tak blisko. Marzenie o wielkim powrocie do PiS miało się wreszcie ziścić. Zbigniew Ziobro, który w 2011 r. zdradził Kaczyńskiego i do spółki z Jackiem Kurskim uknuł plan, jak ukraść mu partię, za co z hukiem obaj wylecieli z PiS, miał wreszcie wrócić do macierzy. Zabiegał o to od kilku lat, ale nieufny prezes co raz dawał mu czarną polewkę. Niepyszny Ziobro odchodził więc z kwitkiem. Ale dziś – po ciężkiej chorobie – Kaczyński nie mógł już mu odmówić.

Plan był taki, że na kongresie PiS w minioną sobotę Ziobro po miesiącach nieobecności w życiu publicznym, spowodowanej terapią onkologiczną, stanie u boku prezesa, a ten ogłosi powrót syna marnotrawnego. Po połączeniu Suwerennej Polski z Prawem i Sprawiedliwością Ziobro miał zostać nawet wiceprezesem. To otworzyłoby mu drogę do walki w przyszłości o sukcesję po Kaczyńskim. Ale kongres nagle odwołano, jak wieść niesie, nie tylko z powodu powodzi, ale także dlatego, że negocjacje z partią Ziobry nie zostały jeszcze zakończone – i były minister sprawiedliwości znowu musi obejść się smakiem.

Na dodatek na plecach coraz bardziej czuje oddech komisji śledczej ds. Pegasusa, która – ku zaskoczeniu samego Ziobry i chyba całej politycznej gawiedzi – wykazała się nieoczekiwanym sprytem. Otóż komisja pod wodzą byłej policjantki Magdaleny Sroki wystąpiła do biegłego o opinię na temat stanu zdrowia Ziobry. Lekarz wyciągnął z placówek medycznych dokumentację z leczenia byłego ministra, wnikliwie ją przeanalizował i doszedł do wniosku, że nie ma żadnych przeszkód, by stanął przed komisją śledczą.

Z opinii biegłego – ujawnionej w szczegółach przez Kamila Dziubkę z Onetu – nie tylko wynika, że Ziobro „jest w tej chwili onkologicznie zdrowy, co potwierdziło ostatnie badanie”, ale – jak stwierdził medyk – „nie mieliśmy po zakończeniu leczenia do czynienia z niesprawnym, wycieńczonym człowiekiem”. Lekarz zapewnił, że nie bagatelizuje skutków ubocznych leczenia, ale przypomina, że Zbigniew Ziobro „jest młody, ogólnie zdrowy, bez wielochorobowości i chorób współistniejących”, może nawet lekko pracować. Tym bardziej nie ma więc przeszkód, by odpowiedział na pytania sejmowych śledczych pod warunkiem, że maglowanie potrwa nie dłużej niż dwie godziny, a Ziobro będzie mógł zeznawać w pozycji siedzącej, mając letnią wodę do picia.

Takiego obrotu sprawy były minister sprawiedliwości się nie spodziewał. Dowodem jest furia, w jaką wpadł, słysząc, że komisja wzywa go przed swoje oblicze, a dodatkowo dysponuje opinią lekarską, która burzy budowaną miesiącami narrację o jego ciężkim stanie zdrowia i tytanicznej walce o życie. Lider Suwerennej Polski chyba rzeczywiście wraca do zdrowia, skoro udzielił wywiadu Telewizji Republika, w którym grzmiał, że „Polską rządzi kryminalna szajka przestępcza” i dodał, że ma „mocną motywację, żeby szybko wrócić do zdrowia i walczyć o wolną Polskę”.

Czyżby to była zapowiedź rychłego powrotu do Sejmu? Niewykluczone. Bez niego Suwerenna Polska się sypie. Janusz Kowalski już się zameldował w PiS. Zaufany Ziobry Patryk Jaki pod nieobecność Ziobry pro-

Czyżby to była zapowiedź rychłego powrotu Ziobry do Sejmu? Niewykluczone. Bez niego Suwerenna Polska się sypie

wadził rozmowy zjednoczeniowe z PiS, ale coś musiało pójść nie tak, skoro w negocjacje włączył się były minister. Kaczyński przyznał publicznie, że rozmawiał z nim ostatnio dwa razy.

Trzeba przyznać, że Ziobro dał się zaskoczyć komisji. W Republice groził pozwami dziennikarzom i politykom, którzy ujawnili intymne dane dotyczące jego zdrowia i narzekał, że opinię wydano bez zbadania go. Perorował, że „to jest czysty kryminał, za to się idzie siedzieć!”. Swoją drogą, nie przypominam sobie, by jako prokurator generalny wtrącił za kraty kolegę z rządu ministra zdrowia Adama Niedzielskiego, gdy ten ujawnił, że lekarz, który skrytykował działania resortu, przepisał sobie określone leki. Wtedy też doszło do ujawnienia tajemnicy medycznej. Jednak prokuratura dopiero po zmianie władzy skierowała przeciwko Niedzielskiemu akt oskarżenia do sądu.

Zabawa w ciuciubabkę Ziobry z komisją śledczą i poływanie się na chorobę coraz bardziej trąci groteską. Przecież nie kto inny jak on sam kazał podległemu sobie prokuratorowi stawiać zarzuty nieprzytomnemu Romanowi Giertychowi, leżącemu w szpitalu.

Karma wraca. W polityce nawet częściej niż w życiu. **N**



KIERWIŃSKI W ŻYWIÓLE

Powódź go zatopi czy wyniesie wyżej?

FOT. MACIEJ KULCZYŃSKI/PAP



Donald Tusk i Marcin Kierwiński podczas spotkania z wojewodami z terenów zalanych przez powódź, Wrocław, 21 września 2024 r.

W Brukseli odpoczął, wyspał się i nagle do niego dotarło, że to jest kompletnie boczny tor, a on by jeszcze chciał pograć w polityce. I zaczął kombinować, jak wrócić – opowiadają w PO o Marcinie Kierwińskim

TEKST DOMINIKA DŁUGOSZ

Do Parlamentu Europejskiego nie można wysłać idiotów ani lunatyków. Wąsik i Kamiński szukają w europarlamencie złudnego bezpieczeństwa. My wysyłamy za nimi Kierwińskiego. Wybacz, Marcin, ten żart – tak Donald Tusk ogłosił, że jego minister spraw wewnętrznych rzuca rząd i jedzie do Brukseli. I okazało się, że to chyba naprawdę był żart, bo nie minęły dwa miesiące od zaprzysiężenia Parlamentu Europejskiego, a Marcin Kierwiński jest z powrotem w Polsce. Zrzekł się mandatu, europejskiej pensji (ok. 34 tys. zł miesięcznie na rękę) i świętego spokoju w zamian za bardzo niewdzięczną pracę przy sprzątanu skutków powodzi.

Dlaczego? To pytanie dręczy wielu jego kolegów, ale chyba jeszcze bardziej jego wrogów.

– Trudno mówić, że Marcin dostał nagrodę i kierownik go docenił. Przecież na pierwszy rzut oka widać, że ta robota to jest mina. Ale wiadomo, że nie mógł odmówić – opisują nam sytuację sekretarza generalnego politycy PO.

TO, ŻE KIEROWNIKOWI SIĘ NIE ODMAWIA, JEST OCZYWISTE. Tym bardziej że Kierwiński ma dług wobec Donalda Tuska.

– Chyba nie do końca sobie poradził z takim dużym resortem jak MSWiA. Naprawdę miał dość ministerstwa, był zarobiony i zmęczony. Dlatego prosił Tuska wielokrotnie, żeby go wysłał do Brukseli. No to go wysłał – opowiada nam warszawski polityk Platformy.

Inny tłumaczy: – W Belgii Marcin odpłynął, wyspał się i nagle do niego dotarło, że to jest kompletnie boczny tor. Jak powiedział to Bartek Sienkiewicz: europarlament to umieralnia politycznych słoni. A Kierwa jeszcze chce rozgrywać politykę i zaczął kombinować, jak wrócić.

Zgodnie z tą relacją wpadał do Warszawy, spotykał się z premierem i przekonywał, że może jednak by się przydał na miejscu. W końcu Tusk znalazł mu zajęcie.

– Większość, która dostaje się do europarlamentu, nie myśli o tym, żeby

po trzech miesiącach składać mandat i tracić różne przyjemne rzeczy związane z byciem tam, a po 15 minutach otrzymałem odpowiedź, że jest gotowy także do złożenia mandatu eurodeputowanego, czyli będzie członkiem rządu odpowiedzialnym za ten program odbudowy – tłumaczył premier 20 września.

Ale już kilka godzin przed oświadczeniem Tuska dostałam SMS od osoby biorącej udział w posiedzeniach sztabów kryzysowych na Dolnym Śląsku: „Kierwa kręci się tu od dwóch dni. Wygląda na bardzo szczęśliwego”.

– Znowu poczuł się potrzebny i chyba uznał, że tego zepsuć się zwyczajnie

” Jeśli mu się nie uda, to będzie jego wina, a jeśli się uda, to będzie zasługa Donalda. Przecież to nie jest żadne odkrycie, że tak to u nas działa

– ŚMIEJE SIĘ KOLEGA KIERWIŃSKIEGO

nie da – mówią jego koledzy z partii. Bo trudno ich zdaniem zepsuć coś, co polega głównie na rozdawaniu pieniędzy. I trudno potem nie wykorzystać sukcesu tak doświadczonemu w partyjnych rozgrywkach politykowi, jakim niewątpliwie jest Kierwiński.

Ale nie wszyscy w partii Tuska są takimi optymistami. Przyznają, że na posadzie pełnomocnika rządu do odbudowy po powodzi trudno o skrajną nieudolność, ale emocje wśród dotkniętych powodzią są ogromne, więc liczy się szybkość i efektywność pomocy. A czasu do zimy coraz mniej.

– Jeśli mu się nie uda, to będzie jego wina, a jeśli się uda, to będzie zasługa Donalda. Przecież to nie jest żadne odkrycie,

że tak to u nas działa – śmieje się kolega Kierwińskiego.

Były szef MSWiA doskonale wie, że kierownik Tusk publicznie ścina tych, którzy sobie nie poradzili, jeśli uważa, że przestali być mu potrzebni.

NAJWYRAŹNIEJ KIERWIŃSKI JESZCZE JEST MU POTRZEBNY, bo jednocześnie pojawiły się plotki, że jeśli Rafał Trzaskowski wygrałby wybory na prezydenta Polski, on może być kandydatem PO na prezydenta stolicy.

– To tylko plotki. Nie ma żadnych decyzji co do Marcina – ucinają nasi rozmówcy w Platformie. – Wszystko wskazuje na to, że w następnym rozdaniu postawimy w Warszawie na młodą, energiczną polityczkę.

Sam Kierwiński nigdy nie chciał być człowiekiem na pierwszej linii. Woli przesuwać pionki na planszy z cienia. I tu zdaniem rozmówców, którzy niekoniecznie są fanami sekretarza generalnego i szefa warszawskich struktur partii, pies jest pogrzebany.

– Nagle zrozumiał, że niezależnie od tego, ile razy w tygodniu przyleci do Warszawy, nie upilnuje swojego ogródka – opowiadają nam warszawscy politycy PO.

W dodatku można było usłyszeć, że w połowie października władze partii (czytaj: Donald Tusk) zdecydują, czy europoseł może być skutecznym i sprawnym sekretarzem generalnym. A wcześniej Rafał Trzaskowski zwolnił wiceprezydenta Tomasza Bratka, człowieka Kierwińskiego. Z relacji ze stołecznego ratusza wynika, że Trzaskowski długo czekał, bo od początku Bratka chciał się pozbyć, ale Kierwiński skutecznie próby prezydenta blokował.

– Wiadomo, że Warszawą rządził Marcin, a nie Rafał, ale pozycja Marcina po wyjeździe do Brukseli bardzo osłabła i w końcu Rafał odważył się to zrobić – mówią nam stołeczni politycy.

Kierwiński stracił w ratuszu człowieka, który pilnował jego politycznych interesów. Oboje zastępcy Trzaskowskiego – Renata Kaznowska i Tomasz Mencina (kolega prezydenta ze szkolnej ławki) – są z jego frakcji.

– To wszystko sprawia, że Kierwa zaczął poważnie obawiać się o swoją przyszłość i podejrzewać, że wszyscy w mieście, a także poza nim, knują przeciwko niemu i dosłownie każde działanie jest podszyte chęcią pozbycia się go z władz partyjnych struktur.

JEST JEDNAK TAKŻE TEORIA ODWROTNA. To nie Kierwiński wychodził u Tuska swój powrót, tylko kierownik pokazał mu, kto rządzi.

– Trzeba było nie latać po mieście i nie gadać, że Bruksela to doskonałe miejsce na dłuższy urlop i po roku wraca. Donald mu udowodnił, że to on decyduje, kiedy Kierwa ma wrócić, a nie kiedy sobie zaplanował – przekonują politycy nienależący do wielbicieli Marcina Kierwińskiego.

Jako europoseł zarabiałby co miesiąc prawie 8 tys. euro netto. Do tego 350 euro diety dziennej na pokrycie kosztów pobytu w Brukseli i jeszcze prawie 5 tys. euro miesięcznie na prowadzenie biura. Jako minister bez teki dostanie około 15 tys. zł.

– Taka odbudowa może trwać miesiącami, a nawet latami. Będzie miał co robić i zawsze jest to jakiś start do kolejnych rozdań w polityce – przewidują koledzy Kierwińskiego. I zapewniają, żeby nie wierzyć w historie, że Tusk ukarał Marcina. – Oni mają taki układ, że wszystko, co się dzieje, dzieje się za wiedzą i zgodą Kierwy. I przeważnie wychodzi tak, jak on chciał.

Marcin Kierwiński ma kilka zalet, które doceniają od lat wszyscy szefowie Platformy. Jest żołnierzem, ale w pełni świadomym tego, że nadaje się głównie do zakulisowych rozgrywek i wykonywania rozkazów, a nie do kreowania strategii. Typowy człowiek cienia, sekretarz generalny, organizator pracy struktur. To on dopinał najważniejsze deale partii w ostatnim roku – podstawy współpracy w koalicji 15 października czy pakt senacki jeszcze przed wyborami. To on przez lata dyscyplinował baronów partyjnych przy okazji układania list wyborczych. To w końcu on twardą ręką trzymał stołeczną Platformę.

Jeden z dawnych działaczy warszawskich tak opisuje początki Kierwińskiego w stolicy: – Zaczął budować swoje wpływy w 2010 r., gdy na listach samorządowych znalazło się ponad 70 osób z Mazowieckiej Jednostki Wdrażania Programów Unijnych, którą organizował jeszcze jako członek zarządu województwa mazowieckiego. Zorientowaliśmy się zbyt późno, by te listy przebudować przed upływem terminu ich rejestracji. Dziś te osoby są nadal nie tylko radnymi, ale i członkami zarządów w dzielnicach, we władzach kół PO. Także obecny wojewoda mazowiecki ma tam swoje korzenie. Lektura oświadczeń majątkowych samorządowców po-

Jest żołnierzem świadomym tego, że nadaje się głównie do zakulisowych rozgrywek i wykonywania rozkazów, a nie do kreowania strategii

kazuje, że często byli oni zatrudnieni w jednostkach wojewódzkich dzięki znajomości z Kierwińskim. Dlatego wszyscy obchodzili się z nim jak z jajkiem.

Zdaniem naszego rozmówcy po tylu latach aktywności Kierwiński ma swoich ludzi nie tylko w strukturach partii, ale także w ministerstwach i radach nadzorczych.

OFICJALNE WYPOWIEDZI POLITYKÓW PLATFORMY pytanych o nowe stanowisko dla byłego ministra spraw wewnętrznych są niemal identyczne: „doskonały wybór”, „właściwy człowiek na właściwym miejscu”, „świetny organizator”, „nikogo lepszego po prostu nie ma”.

Nawet Przemysław Czarnek, poseł Prawa i Sprawiedliwości, dobrze życzy przeciwnikowi politycznemu, wbijając jednocześnie szpilę premierowi. – Rozmiar strat wynikający z nieudolności

państwa polskiego pod rządami Tuska jest przeogromny. Nie poradzi sobie rząd bez pełnomocnika. Będę trzymał za niego kciuki, będę się za niego modlił, żeby sobie poradził, bo tego wymaga interes Polaków, którzy ucierpieli w czasie powodzi.

Powściągliwie wypowiadają się za to koalicjanci współpracujący z nim jeszcze przed powołaniem rządu.

– Na pewno będzie starał się wypełnić to zadanie najlepiej, jak potrafi. Jeśli tylko będzie umiał współpracować i jego celem będzie sprawczość, która ma pomagać ludziom, to jest szansa na to, że to będzie skuteczne. Aczkolwiek zagrożen jest wiele – mówi ostrożnie Mirosław Suchoń, szef specjalnej komisji, która będzie zajmować się ustawami powodziowymi.

Kiedy dopytujemy, czy to oznacza, że Kierwiński ma problemy ze współpracą i może mieć inne priorytety, poseł Polski 2050 odpowiada, że także po to jest jego komisja złożona z posłów z Dolnego Śląska i Opolszczyzny, żeby usuwania skutków powodzi przypilnować.

– Nie będzie taryfy ulgowej. Komisja ma żądać konkretnych efektów i pan pełnomocnik będzie miał do merytorycznej współpracy ludzi, którzy wiedzą, co zrobić – mówi Suchoń.

Marcin Kierwiński na razie na wszystkie pytania dotyczące swojej nowej roli odpowiada okrągłymi zdaniami: będzie spinał działania różnych resortów i instytucji, koordynował działania i liczenie strat, będzie w końcu prowadził audyt tego, gdzie infrastruktura przeciwpowodziowa zawiodła, a gdzie była niewystarczająca. Co to oznacza konkretnie?

OD TEGO, JAK SOBIE PORADZI, zależy jego polityczna przyszłość. Niektórzy w PO są pewni, że jak już wrócił, to więcej nie popełni błędów i od ucha kierownika odciągając się nie da.

– Jestem pewien, że jak znów sobie wszystko poukłada, zdemaskuje przeciwników i zrobi z nimi porządek, to zacznie myśleć o czymś większym. Może wicepremier? – zastanawia się nasz rozmówca. **N**

dominika.dlugosz@newsweek.pl

Krzysztof Varga

Profesor Matczak ratuje świat



Skoro Jarosław Kaczyński doskonale zna się na boksie, to prof. Marcin Matczak może wybitnie znać się na Biblii. Co prawda wypowiedź Kaczyńskiego na temat boksu („Boks to nie tylko masa ciała czy nawet siła, ale też umiejętności”) w wywiadzie udzielonym Anicie Gargas była krótka, zaś książka Matczaka „Jak zatrzymać koniec świata” jest długa, ale obaj myśliciele pokazali, że nie trzeba być komentatorem sportowym, by znać się na sporcie, ani bibliścią, by błysnąć wiedzą o Piśmie Świętym.

Ścisłej rzecz ujmując, „Jak zatrzymać koniec świata” nie jest książką prof. Matczaka, ale rozmową z nim, przeprowadzoną przez Marcina Makowskiego, ale bądźmy szczerzy: to opowieść Matczaka i dla Matczaka ją przeczytaliśmy w wielkim podnieceniu. Trudno się zresztą nie podniecić, bo to głębokie refleksje prof. Matczaka – prawnika, eseisty, felietonisty, moralisty, doradcy duchowego, znanego także jako ojciec rapera Maty.

Makowski wypytuje Matczaka o kwestie cywilizacyjne, prawnicze, polityczne, obyczajowe, o wszystko, czym przejmują się współczesny człowiek, ale na pierwszy plan wysuwa się kwestia wiary chrześcijańskiej oraz Kościoła. Prof. Matczak jest wierzącym i praktykującym katolikiem, co dzisiaj stało się niemodne, więc tym większy szacunek dla Matczaka za tę żarliwą obronę religii. Punktem wyjścia do tej obrony jest przekonanie Matczaka, że skoro „nauczyciel matematyki jest palantem, to nie znaczy, że matematyka nie jest potrzebna w życiu”, więc to, że biskup, ksiądz czy katecheta jest palantem, nie znaczy, że religia jest zła. Reszta wyводу jest równie błyskotliwa, bo prof. Matczak odpowiada na pytania, jak sobie radzić z cierpieniem, umieraniem, a nawet z życiem.

Co zrobić z powszechną alienacją, rozpadem rodziny i więzi społecznych, z utratą poczucia bezpieczeństwa? Jakie jest na to remedium? Oczywiście religia! – powiada postępowy konserwatysta Matczak. Powrót do wiary chrześcijańskiej nas uratuje, a innego ratunku niż pogodzenie się z Bogiem nie ma. A świat wokół nas stał się nieprzewidywalny i przepelniony chaosem: laicyzacja postępuje, kościoły pustoszeją, cierpimy na bóle fantomowe po religii, ludzie tracą kontakt z kodem kulturowym, tzn. tradycją judeo-chrześcijańską, a też z dziedzictwem antyku, a w ich miejsce wchodzi indywidualizm i ateizm.

Świat nam się rozjechał, nawet fizyka i metafizyka nie znaczą tego, co kiedyś. Żyjemy zawieszani w pustce wypełnionej miliardem komunikatów oraz idei trwających mgnienie oka. Za to ze wszystkich stron czyha-

ją opresję, nawet istnienie autorytetu stało się opresją dla ludzi. Człowiek współczesny jest przewrażliwiony na swoim punkcie, bo brakuje mu punktu oparcia, jakim były religia i filozofia. Niszcząc jednorodną wizję świata, zniszczyliśmy etos autorytetu, czyli Kościoła.

„Nie mogę sobie wyobrazić przyszłości, w której Kościół funkcjonuje, ale nie jest obecny w przestrzeni pozareligijnej. Taki Kościół nie ma żadnego sensu” – bije na trwogę Matczak. Dopowiem więc: biskupi też tego sobie nie mogą wyobrazić, proboszczowie też, stąd wszystkie problemy Kościoła. Już w X w., gdy my dopiero przyjmowaliśmy chrześcijaństwo, w papieżwie szalała pornokracja, czyli rządy kochanek papieża, o najbardziej plugawych wybrykach Ojców Świętych nie wspominając. O papieżach czasu renesansu nie ma nawet co mówić, doprawdy mało które dwory królewskie były tak zdemoralizowane jak Watykan.

Problem polega na tym – powiada Matczak – że coraz więcej ludzi chce wracać do Karola Marksa zamiast do Tomasza z Akwinu. To, że Matczak jest erudyta, to

Uparcie wolę żyć w bezcelowym 2024 r. niż, powiedzmy, w czasie wojny trzydziestoletniej, gdy moralnie ogarnięci protestanci i katolicy obrócili w zgłiszczą kawał Europy

wiemy wszyscy, ale tutaj przeszedł samego siebie, enumerując nazwiska filozofów, politologów oraz świętych, dokładając do tego Nietzschego i Freuda, tworzących z Marksem upiorną trójcę. I kiedy już się zdaje, że wszystkiemu jest winna lewica ze swoim obłąkańczym neomarksizmem, Matczak woła: postmodernizm! To on, do spółki z rewolucją seksualną i marksizmem, zdemolował uporządkowany świat, gdzie przez dwa tysiące lat wszystko działało jak trzeba. A teraz okazało się, że „nakazy moralne nas niewolą, a cel nie istnieje, bo samo jego stawianie stanowi opresję”.

Doprawdy, dwa tysiące lat porządku i norm moralnych, dwa tysiące lat zdrowych psychicznie społeczeństw, którym wiara chrześcijańska wyznaczała cele w życiu, moralność nie była zniewoleniem, a miłość bliźniego dawała poczucie bezpieczeństwa i spełnienia. Co prawda czasami chrześcijanie wyrzynali innowierców albo wyrzynali się między sobą w wojnach o dogmaty teologiczne, i to zanim pojawili się protestanci, z którymi katolicy wyrzynali się niezależnie od

wyrzynania współbraci oraz wyrzynania pogańskich ludów na zdobytach przez chrześcijańskich kolonizatorów terenach, ale to drobiazg. Świat był spokojny i uporządkowany, nie było populistów ani obłąkanych postępowców. Człowiek, czytając Matczaka, wpada w rozpacz, że przyszło mu żyć dwa tysiące lat po Chrystusie zamiast w epoce wypraw krzyżowych.

XXI w. – mówi Matczak – to „epoka bezcelowości” i na tym polega jej dramat. Ja to rozumiem, podobnie jak argument, że psychoterapia nigdy nie uleczy człowieka tak jak religia. Uparcie jednak wołę żyć w bezcelowym roku 2024 niż, powiedzmy, w czasie wojny trzydziestoletniej, gdy moralnie ogarnięci i wyznaczający sobie cele protestanci w walce z moralnie ogarniętymi i wyznaczającymi sobie cele katolikami obrócili w ruiny i zgłiszczą kawał Europy, przy okazji ekspedując do życia wiecznego parę milionów Bogu ducha winnych ludzi. I to na długo przed Marksem i postmodernistami. O średniowiecznym moralnym wycinaniu odstępców od chrześcijańskiej ortodoksji oraz o krucjatach i konkwistach nie wspominam, bo obraziłbym inteligencję Matczaka, a tego bardzo bym nie chciał.

Naturalnie nie tylko chrześcijanie wyrzynali innych chrześcijan, ludzie wyrzynali się, od kiedy nastąpiła ludzkość, choć mając na podorędziu argument religijny, wyrzynali się chętniej, szczególnie przedstawiciele religii

głoszących pokój i miłość. Postmodernizm z tym straszliwym oświeceniem nie zaciukały tyłu milionów ludzi, co nasi, z profesorem Matczakiem, bracia w wierze.

„Jezus ludzi nigdy nie wykluczał” – Matczak odgrzewa stary komunał. No, ale jego wyznawcy jak najbardziej. To wyznawcy Chrystusa od zarania zajmowali się głównie wykluczaniem ludzi, zaś sam Zbawiciel nie ma w tej kwestii nic do gadania. Nie jestem mocny w teodycei (gałęzi filozofii próbującej pogodzić istnienie dobrego Boga z istnieniem powszechnego zła), ale widzę, że więcej okropieństw uczynili wierzący w Boga niż postmoderniści.

Bez wiary nie da się żyć – tak powiada Matczak i oczywiście ma rację. Każdy przecież w coś wierzy: jedni wierzą w Kaczyńskiego, inni w polską reprezentację piłkarską, obie wiary nie mają najmniejszego sensu, ale na tym polega fenomen wiary jako takiej: na irracjonalności, na oderwaniu od empirycznego doświadczenia. Kaczyński nie zbawi Polski, a polska reprezentacja nie nauczy się grać w piłkę, choćby wciąż 30 proc. społeczeństwa wyznawało kult Kaczyńskiego, a miliony Polaków siadały przed telewizorami ubrane w plemienną barwy omotane biało-czerwonymi szalikami i łopocząc skrzydłami husarskimi. Ja z kolei wierzę, że kiedyś umrę, a po śmierci nie będzie nic, i ta wiara trzyma mnie przy życiu. **N**

Krzysztof Varga jest pisarzem, publicystą, a także autorem tekstów piosenek zespołu Dr Mizio

Newsweek

od 2001 roku

Adres redakcji tygodnika: 02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 49. Kontakt z czytelnikami www.newsweek.pl, redakcja@newsweek.pl

P.o. redaktor naczelny: Michał Szadkowski / Zastępca redaktora naczelnego: Dariusz Ćwiklak / Redaktorzy prowadzący: Łukasz Ramlau, Andrzej Olejniczak / Dyrektor artystyczna: Magdalena Mamajek-Mich /

Sekretariat redakcji: Katarzyna Klejnocka, Magdalena Jarco /

Redaguje zespół: Katarzyna Burda, Dominika Długosz-Gierszewska, Jacek Gądek, Dawid Karpiuk, Renata Kim, Jakub Korus, Piotr Milewski, Maciej Nowicki, Radosław Omachel, Jacek Pawlicki, Karolina Rogaska, Dorota Romanowska, Grzegorz Rzeźkowski, Konrad Sadurski, Dominik Szczepański, Małgorzata Święchowicz, Jacek Tomczuk, Elżbieta Turlej, Katarzyna Wężyk, Agnieszka Żądło /

Felietoniści: Dariusz Ćwiklak, Renata Grochal, Katarzyna Janowska, Katarzyna Kasia, Mikołaj Kunica, Henryk Sawka, Andrzej Stankiewicz, Krzysztof Varga /

Newsweek.pl: Emilia Stawikowska (szefowa wydawców) / Wydawczynie i wydawcy: Karolina Brzezińska, Aleksandra Mijakoska-Siemion, Łukasz Ostruszka, Anna Podlaska, Marcin Więczorkowski, Mateusz Wojtalik, Rafał Wójcik, Beata Minkiewicz (product manager) / Grafika: Michał Bieniek / Media społecznościowe: Igor Iwaniuk / Foto: Ewa Fatkiewicz, Jacek Gruszecki, Mikołaj Starzyński, Marek Szczepański /

Studio graficzne: Grzegorz Brodowski, Urszula Gardy, Izabela Królikowska, Aleksandra Kuc, Sylwia Niedaszkowska, Michał Peas / Korekta: Ewa Leszczyńska-Al-Khafagi, Małgorzata Tamitowska, Iwona Trzaskoma /

Asystentka redaktora naczelnego: Kamila Skowron, kamila.skowron@newsweek.pl

Wydawca: RINGIER AXEL SPRINGER POLSKA Sp. z o.o., Członek Izby Wydawców Prasy i Związku Kontrolni Dystrybucji Prasy, www.ringieraxelspringer.pl / Adres: ul. Domaniewska 49, 02-672 Warszawa, recepcja główna tel.: (22) 232 00 00, 232 00 01 / Prezes zarządu: Aleksander Kutela / Prezes honorowy: Wiesław Podkański / Dyrektor generalny: Marcin Biegłuk / Dyrektor finansowy: Krzysztof Stopa / Dyrektor wydawniczy treści premium: Jakub Makulski

Dyrektorka ds. rozwoju projektów wydawniczych treści premium: Bernadetta Byrska / Menedżerka wydawnicza: Joanna Skolimowska / Dyrektor personalna: Monika Remiszewska /

Dyrektor ds. komunikacji korporacyjnej: Karolina Sznajder /

Dyrektor marketingu: Emil Nowiński / Head of Press Monetization Hub: Anna Dygasiewicz, zespół: Marcin Czyż, Elżbieta Jung, Ryszard Koriak, Aneta Kulesz, Marta Mikiel, Ewelina Milczek, Agnieszka Skiba, press@ringieraxelspringer.pl

Biuro reklamy: Piotr Kupis, tel. 695388021, piotr.kupis@ringieraxelspringer.pl / Marketing: Agata Surmacz-Mocko /

Prenumerata: Ilitera.pl, zakładka PRASA / Zamówienia B2B: Menedżer ds. sprzedaży bezpośredniej i trade marketingu: Agnieszka Ślusarczyk-Salicka (agnieszka.salicka@ringieraxelspringer.pl) /

Menedżer ds. prenumeraty: Sylwia Kowalska (sylwia.kowalska@ringieraxelspringer.pl) /

Księgowość: Mirosław Mikos (dyrektor) / Kolportaż: Rafał Kamiński (dyrektor) / Produkcja: Mariusz Gajda (dyrektor), Jarosław Sokołowski / Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

Sprzedaż internetowa wydań pojedynczych i archiwalnych: Ilitera.pl, zakładka PRASA Kontakt: <https://ilitera.pl/kontakt> e-mail: sklep@ilitera.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo redagowania nadesłanych tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja ponosi odpowiedzialność w granicach wskazanych w ust. 2 art. 42 ustawy Prawo prasowe. Zabroniona jest bezumowna sprzedaż czasopisma po cenie niższej od ceny detalicznej ustalonej przez wydawcę.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po innej cenie jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Newsweek magazine Published by Newsweek LLC, EDITORIAL STAFF: Editor in chief: Jim Impoco / Deputy Editor: Bob Roe / International Editor: Nicholas Wapshott /+ Managing Editor: Kira Bindrim / BUSINESS STAFF: Chief Content Officer, IBT Media: Johnathan Davis / Chief Executive Officer, IBT Media: Etienne Uzac





Newsweek SPOŁECZEŃSTWO

KIEROWCY MORDERCY

POLSKIE DROGI ŚMIERCI

Zabijają adwokaci, kibole, emeryci i żołnierze. Starzy i młodzi. W każdym zakątku Polski. Pijani i trzeźwi. Z prawkiem i bez. A sąd pośmiertnie poucza ofiary, że trzeba było uważać na pasach

TEKST DOMINIK SZCZEPAŃSKI

FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

Miejsce tragicznego wypadku przy ul. Jana Pawła Woronicza w Warszawie. Samochód osobowy wjechał w przystanek autobusowy. Jedna osoba nie żyje, dziewięć zostało rannych, 13 sierpnia 2024 r.



Warszawa, Bielany, ul. Sokratesa. Dwa pasy w jedną stronę, dwa w drugą. Adam wchodzi na zebra, żona pcha za nim wózek. Auto zwalnia i się zatrzymuje. Pogoda jest dobra. Dozwolona prędkość: 50 km/godz. Drugim pasem pędzi 130 km/godz. pomarańczowe bmw po tuningu. Biegli orzekną, że po takich przeróbkach w ogóle nie powinno znaleźć się na drodze.

Ojciec Adama w „Uwadze”: – Miazga, żaden organ nie był cały. Uderzenie takie, że poleciał do pierwszego piętra.

Widzieli się chwilę wcześniej. Wracali do Włocławka. Dostali telefon i zawrócili. – Ciągle na zegarek spoglądałam i mówię do męża: „Boże, jedź szybciej”. A z tyłu syn siedział drugi, mówi: „Mamus, tata nie może szybciej jechać”. Strasznie krzyczałam całą drogę. Myślałam, że oszaleję – mówi w tym samym programie matka Adama.

Minęły cztery lata i sześć miesięcy, a w nich to ciągle siedzi, bo uważają, że doszło do morderstwa. Prokuratura myśli tak samo, a ściślej, że było to zabójstwo w zamiarze ewentualnym, za co grozi nawet dożywocie. Sąd miał inne zdanie – wypadek ze skutkiem śmiertelnym, bo kierowca bmw starał się hamować, a potem wyraził skruchę. Za to można pójść siedzieć maksymalnie na osiem lat. We Francji na 14, w USA w zależności od stanu, nawet na zawsze.

Stańto na siedmiu latach i dziesięciu miesiącach, ale sąd apelacyjny skrócił karę o cztery miesiące. Dał też Adamowi pośmiertne pouczenie, że na pasach trzeba zachowywać szczególną ostrożność.

Ojciec Adama zapamiętał, że sędzia zwrócił też uwagę na wzrost syna. Skoro był wysoki, mógł wyjrzeć nad dach tego pierwszego samochodu, który się zatrzymał. Może wtedy dostrzegłby pomarańczowe bmw. Miał też szansę zobaczyć je chwilę wcześniej, jak napisano w uzasadnieniu wyroku sądu apelacyjnego, bo szedł chodnikiem i spojrzał w tamtą stronę, a samochód był jaskrawy i prowadzony agresywnie.

Widocznie nie zobaczył. Bmw zaczęło hamować 30 metrów przed pasami. Adam usłyszał pisk opon na ok. 1,2 sekundy przed potrąceniem. Mniej więcej tyle wynosi czas reakcji kierowcy od momentu, kiedy coś zobaczy, do chwili wciśnięcia hamulca.

Za zabójstwo drogowe skazano w Polsce tylko raz. Osiem lat temu w Jeleniej Górze 18-latek ukradł samochód, a uciekając przed policją, na czerwonym świetle potrącił śmiertelnie pieszego i uciekał dalej. Za to dostał 12 lat. Razem 15, bo złamał jeszcze kilka przepisów.

– Kiedy dzieje się coś złego, rządzący zaczynają mówić o wypadkach, ale po miesiącu zapominają i znów robi się cisza – mówi emerytowany policjant Wojciech Pasieczny. Był wiceszefem wydziału ruchu drogowego Komendy Stołecznej Policji i wzywano go do wypadków śmiertelnych tyle razy,

że stracił rachubę. – Trzeba zmienić prawo, ale to nie po myśli wyborców, bo każda taka zmiana wywołuje larum.

Marek Konkolewski, który bezpieczeństwem na drogach zajmował się w Komendzie Głównej Policji i kierował Centrum Automatycznego Nadzoru nad Ruchem Drogowym, ma inne zdanie: – Nie można w emocjach tworzyć przepisów. Mądre prawo nie lubi fleszy i „biegunki legislacyjnej”.

Po wypadku na Sokratesa długość wyroków nie została podwyższona. Prawo uległo jednak pewnej zmianie – kierowcy muszą zatrzymać się przed pasami, jeśli widzą pieszych, którzy chcą na nie wejść. Przebudowano też ulicę. – To jedno z pierwszych spośród kilkuset miejsc, które znalazły się w naszych planach. Wytypowaliśmy je po trwającym pięć lat audycie, w trakcie którego zbadaliśmy 4092 przejścia dla pieszych w Warszawie. W 2024 r. rozwiązaliśmy połowę problemów, drugą rozwiążemy do 2028 r. – deklaruje Jakub Dybalski, rzecznik Zarządu Dróg Miejskich.

Liczba śmiertelnych wypadków spada w całej Polsce. – Kiedy zaczynałem pracę w policji w 1991 r., na drogach co roku ginęło ok. 8 tys. osób. Teraz – 1,8 tys. Za kilka lat zejdziemy poniżej tysiąca. Nie wywołujemy psychozy strachu – mówi Konkolewski.

– Na mapie stolicy nie ma już czarnych punktów. Coraz częściej zdarzają nam się natomiast wypadki nietypowe, którym trudno zapobiec – dodaje Dybalski.

I.

MINĄŁ ROK OD CHWILI, GDY SEBASTIAN M.jechał co najmniej 253 km/godz. (a może nawet 315 km/godz.) po autostradzie A1 i uderzył w tył auta, którym z urlopu wracała trzyosobowa rodzina. Martyna, Patryk i 5-letni Oliwier spłonęli, a Sebastiana M. przesłuchano w charakterze świadka. Śledczy nie zakazali mu opuszczać kraju i nie zatrzymali na 48 godzin. Wyjechał legalnie, mieszka w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, ma złotą wizę, co utrudnia ekstradycję. Rodzina Sebastiana M. czuje się pomawiana, żona miała stracić pracę. Współpracuje z fundacją wysyłającą pozwy do portali internetowych, na których pojawiają się zniesławiające ją treści.

– Jeśli nie uda się ściągnąć Sebastiana M., będzie to plama na honorze polskiego wymiaru sprawiedliwości – mówi „Newsweekowi” reprezentujący rodzinę ofiar mecenas Łukasz Kowalski. I dodaje: – Moi klienci pozostają w zawieszaniu i głębokiej żałobie. A właśnie wrócili do nich demony przeszłości, potęgając najgorsze koszmary.

Niemal dokładnie rok po wypadku na A1 volkswagen arteon wbił się na Trasie Łazienkowskiej w Warszawie w auto, którym podróżowała rodzina. Zginął 37-letni mężczyzna, jego żona i dzieci są ranni. Mężczyźni z arteona nie udzielili pomocy poszkodowanym. Byli pijani, mieli odganiać osoby, które chciały też pomóc ich współpasażerze.

Kobieta niedawno wybudziła się ze śpiączki. To dziewczyna Łukasza Ż., który prawdopodobnie kierował. Miał pięć zakazów prowadzenia samochodów. Gdyby je zliczyć, powinien stracić prawo jazdy na 27 lat. Sądy, które je wydawały, nie wiedziały o toczących się równoległe sprawach. W Polsce nie ma bazy orzeczeń, które nie zdążyły się jeszcze uprawomocnić.

– Pamiętam sporo takich przypadków – mówi Pasieczny. – Pije, wsiada za kółko, dostaje wyrok, zawsze w zawieszaniu. I tak parę razy. Aż w końcu jedzie bez uprawnień i powoduje wypadek śmiertelny. Co można zrobić? Dać takim tzw. obrączkę, czyli dozór elektroniczny. Wiadomo byłoby przynajmniej, gdzie się przemieszczają.

Łukasz Ż. wypożyczył samochód od kolegi Kamila K., z którym pił tamtej nocy wódkę. Potem obaj wsiedli za kółko, a po wypadku odjechali samochodem K. Po wszystkich dzwonili do bliskich i przekazywali różne informacje, żeby zgubić trop.

– Sama ucieczka była tak zorganizowana, że na pierwszy rzut oka wydawało się nam, że możemy mówić o scenariuszu filmu gangsterskiego – opowiadał rzecznik Prokuratury Okręgowej w Warszawie Piotr Skiba.

Ż. uciekł do Niemiec. Policja zatrzymała go w szpitalu w Lubecie.

Po Trasie Łazienkowskiej w nocy jeździ się bardzo szybko. Dlaczego nie ma fotoradarów? – Może byśmy tam chcieli postawić, ale to nie leży w naszych kompetencjach. Decyzję podejmuje Generalny Inspektorat Transportu Drogowego. To źle, że samorządom przed dekadą odebrano tę możliwość – mówi Dybalski.

II.

KONKOLEWSKI: – ZNAKOMITA WIĘKSZOŚĆ KIERUJĄCYCH i pieszych to uczciwi ludzie, których nie musimy się obawiać. Są bohaterami, o których nie mówi się w środkach masowego przekazu, a codziennie dokładają malutką cegiełkę na rzecz poprawy bezpieczeństwa na polskich drogach.

W 2022 r. najwyższy wskaźnik zabitych na 100 wypadków drogowych odnotowano w UE na Cyprze – 9,9 i w Polsce – 8,9. Do końca nie wiadomo dlaczego. Eksperci od ruchu drogowego, z którymi rozmawiał „Newsweek”, mają dwie tezy.

Pierwsza – jeździmy za szybko i nie ma co zbierać.

Druga – jest za mało szpitali, a służby przyjeżdżają za późno.

– Polacy nie zatrzymują się, gdy widzą wypadek – mówi nam ratownik z 20-letnim stażem w pogotowiu. – Nie chodzi o niechęć, tylko o lęk, że zrobimy coś źle. Brakuje specjalnych zespołów ratunkowych, które byłyby wysyłane do wypadków. Zajmujemy się wszystkim naraz.

Czy to prawda? Nie ma badań na ten temat. Służby publikują za to wiele innych wyliczeń. Najczęściej giniemy na drogach w sierpniu. Najwięcej rannych w wypadkach samochodowych



LICZBA WYPADKÓW ŚMIERTELNYCH SPADA. – KIEDY ZACZYNAŁEM PRACĘ W POLICJI W 1991 R., NA DROGACH CO ROKU GINĘŁO OK. 8 TYS. OSÓB. TERAZ – 1,8 TYS.

MAREK KONKOLEWSKI

w przeliczeniu na 100 tys. mieszkańców jest w Łódzkiem. Najspokojniejsze są niedziele.

Sierpień. Województwo łódzkie. Niedziela, 10 rano. Citroen zjeżdża na drugi pas i uderza czołowo w jadące z naprzeciwka audi. W citroenie ginie pasażer, w audi babcia dwóch dziewczynek, które jadą obok. Dopiero co ruszyli, przejechali sześć kilometrów. Jej mąż szybko był na miejscu, ale nie zdążył się pożegnać. Kierowca citroena miał 2,5 promila alkoholu i dożywotni zakaz kierowania pojazdami mechanicznymi. Grozi mu 16 lat więzienia.

Kolejne dane: najwięcej wypadków i rannych jest we wrześniu. Najwięcej osób traci życie na Mazowszu. Po godz. 21 ginie prawie dwa razy rzadziej niż po godz. 19.

Wrzesień. Kwadrans po 21. Magnuszew na Mazowszu. Ford wjeżdża na pobocze i uderza w dwie grupy pieszych. Ginią trzy osoby. Kierowca ma 1,5 promila. W przeszłości prowadził już pod wpływem – w 2010 r. odebrano mu za to prawo jazdy na rok. Gdyby złapano go dziś i wydmuchałby 1,5 promila, nie wsiadłby za kółko wcześniej niż za trzy lata.

Dwa tygodnie po tym wypadku. Znowu niedziela, 130 km na północ. Jest po 20. Nissan leży w rowie. Dachował, dwóm osobom udało się przeżyć, jednej nie. Policjanci ustalają, że nissan został uderzony w tylny zderzak i zepchnięty z drogi. Sprawcę znajdującą po trzech dniach dzięki kierowcom, którzy zgłosili, że widzieli

prowadzonego w niebezpieczny sposób seata. Zatrzymany tłumaczy, że uciekł, bo nie miał pewności, czy skończył mu się zakaz prowadzenia pojazdów mechanicznych. Nie skończył się i nie był to jego pierwszy zakaz.

– Zatrzymywani przeważnie mówili, że uciekali, bo byli w szoku. Na co ja im odpowiadałem, że w szoku to były rodziny ofiar – mówi Pasieczny.

Po zepchnięciu nissana kierowca seata miał jeszcze jeden wypadek. Uderzył czołowo w opla, spisał oświadczenie i zadbał o odholowanie swojego auta na lawecie pod dom, gdzie kolejnego dnia przystąpił do napraw. Grozi mu 16 lat.

Październik 2023. Torzym (woj. lubuskie). 30-latek potrąca golfem 65-letnią kobietę. Ona umiera w szpitalu, on jedzie do domu. Godzinę po wypadku jest kompletnie pijany, ma dwa promile. Miał dożywotni zakaz prowadzenia. Grozi mu 20 lat więzienia.

III.

NAJRZADZIEJ GINIEMY W LUTYM – 90 z 1893 ofiar w 2023 r.

Luty. Żołnierz 10. Opolskiej Brygady Logistycznej potrącił śmiertelnie przechodzącego prawidłowo przez pasy operatora TVP3 Opole, który realizował program „Za kierownicą”.

Najspokojniej jest między 3 a 4 nad ranem, ale już nawet o północy mamy trzykrotnie większą szansę na przeżycie niż

REKLAMA

prenumerata



**PRENUMERATA
ROCZNA FORBES**
+ walizka  dostępna
w różnych kolorach

Teraz także z dostępem
do subskrypcji  onet premium



Zeskanuj i zamów z bezpłatną dostawą za 229 zł.

Oferta limitowana

w najbardziej zabójczej godzinie między 18 a 19. Mniej ludzi niż w Opolskiem ginie na drogach tylko w Lubuskim.

Luty. Tuż przed północą. Lubuskie. Dzieci wchodzą do autokaru, który ma zawieźć je do Zakopanego. 10-letni Mateusz chce coś wrzucić do luku bagażowego, gdy potrąca go bmw. Krzysztof P. nie zatrzymuje się, przejeżdża po Mateuszu i ucieka z dużą prędkością. Chłopiec tego nie przeżyje. Policja zatrzymuje kierowcę dzień później. Do lipca w ogóle nie powinien prowadzić. Stracił uprawnienia za jazdę po alkoholu. Był też karany za posiadanie narkotyków. Auto, którym przejechał Mateusza, wypożyczyła inna osoba. W chwili zatrzymania Krzysztof P. był na haju. Grozi mu do 20 lat.

W 2023 r. policja przebadła alkomatem kierowców prawie 14 mln razy. Blisko 100 tys. było po spożyciu. Najwięcej na Śląsku.

„Jazda na kacu? Zatrzymanie po alkoholu? Utracone prawo jazdy? Skontaktuj się z nami i uzyskaj pomoc” – to reklama jednej z kancelarii adwokackich specjalizujących się w sprawach karnych związanych z wypadkami po alkoholu.

Nagłówek strony: „Kancelaria adwokacka – jazda po alkoholu”.

Niżej opis: „Klient zgłosił się z prośbą o pomoc w sprawie po jeździe po alkoholu. Główna prośba klienta to było uzyskanie wyroku nieskazującego, ponieważ klient z uwagi na bycie prezesem zarządu spółki nie mógł być karany. Druga prośba to skrócenie zakazu prowadzenia pojazdów. Obie prośby udało się zrealizować”.

– Pracujemy na dwie ręce. Jedną pomagamy rodzinom ofiar wypadków, drugą szukamy prawnych wytrychów, które złagodzą karę dla jeżdżących na podwójnym gazie – mówi „Newsweekowi” znany adwokat.

Końcówka września 2021 r. Mecenaz Paweł Kozaniecki przejeżdża podwójną ciągłą i swoim mercedesem uderza czołowo w audi. Giną dwie kobiety. Grozi mu osiem lat więzienia. Nie przyznaje się do winy.

– Do mediów przebijają się wypadki spowodowane przez pijanych kierowców i to tylko im chcemy przykręcać śrubę. Tymczasem nie możemy zapominać też o innym typie: niekarany, wykształcony, z dobrej rodziny, trzeźwy – mówi Konkolewski. – Prokuratura i sądy w takich wypadkach miękną, są bardziej liberalne. Trzeźwość, która jest naszym obowiązkiem, traktowana jest jako przepustka do łagodniejszej kary.

Po wypadku Kozaniecki wrzuca do sieci nagranie: „Wszyscy mówią o tym, że nadmierna prędkość, że brawura, że telefony komórkowe, że pijani kierowcy. Ale zapominamy o tym, moi drodzy, że po naszych drogach poruszają się trumny na kółkach. To była konfrontacja bezpiecznego samochodu z trumną na kółkach. I między innymi dlatego te kobiety zginęły”.

Za te słowa został skazany na dwa lata zawieszenia w czynnościach zawodowych i na pięć lat pozbawiony prawa patronatu adwokackiego.

IV.

NAJMNIEJ WYPADKÓW DROGOWYCH ZDARZA SIĘ NA PODLASIU. Są jednak najgroźniejsze – ginie tam co piąta osoba.

Brańsk. 52-latek przyjechał na przesłuchanie samochodem. Policjantka wyczuła od niego alkohol. Miał promil. Białystok. 36-latek uderzył w latarnię. Wiózł córkę. Miał dwa promile. Płoski. Dwa promile, jechał ponad setkę, dwa razy za szybko, uderzył w most na Narwi. Stracił rękę i zabił pasażera, z którym pił, zanim wsiadli razem do auta. Przed sądem mówił, że był mu jak brat. Mógł dostać 12 lat. Wyrok: trzy lata i miesiąc. Sędzia tłumaczył, że zważywszy na okoliczności, mężczyzna część kary już poniósł, bo stracił przyjaciela, poza tym to co innego, jeśli pijany kierowca potrąca pieszego, a co innego, jeśli piją razem i potem zgodnie wsiadają do auta.

Białystok. Emerytka zjechała na chodnik i zabiła kobietę. 2,5 promila. Kiedy w organizmie mamy od dwóch do trzech promili, czujemy silną senność i coraz mocniej tracimy kontrolę nad swoim zachowaniem.

Na rozprawie mówiła, że nie nadużywała alkoholu, a po wypiciu nie wsiadała za kółko. Dlaczego wsiadła? Nie pamięta. Dostała pięć i pół roku więzienia i dożywotni zakaz prowadzenia.

V.

NAJMNIEJ GROŹNE WYPADKI SĄ W MAŁOPOLSCE, gdzie życie traci co dwudziesty ich uczestnik.

Kraków. Mężczyzna potrąca pieszego i znika. Dzięki monitoringowi policjanci znajdują samochód. Pochodzi z wypożyczalni, a osoba, która go opłaciła, nie jest tą, która prowadziła auto w chwili wypadku. Trop wiedzie do kiboli. Policjanci jadą do Tarnowa, próbują zatrzymać czterech mężczyzn, a tamci próbują uciec. W ich samochodzie leżą maczety, karczownik i narkotyki. Poszukiwany mężczyzna przyznaje się, że potrącił pieszego i nie udzielił mu pomocy. Nigdy nie miał prawa jazdy.

– Na koniec moje ulubione pytanie, proszę spróbować na nie odpowiedzieć – mówi Pasieczny. – Jadę 50 km/godz., czyli tyle, ile mówią przepisy, a obok drugie auto jedzie 60 km/godz., bo przecież panuje u nas przekonanie, że 10-20 km/godz. szybciej można sobie pojechać i niczym to nie skutkuje. Jesteśmy w tym samym miejscu, w tym samym czasie. Wychodzi pieszy, oba auta hamują. Ja zatrzymuję się przed pieszym. Z jaką prędkością ten samochód uderza pieszego?

– 30 km/godz? – strzelam.

– 41 km/godz.

Przy 40 km/godz. pieszy ma 70 proc. szans na przeżycie. Przy 60 – już tylko 25 proc.

– Robiłem kiedyś badania instruktorów i egzaminatorów. Tylko jeden znał prawidłową odpowiedź na to pytanie. Ale wszyscy twierdzili, że mówią o tym w trakcie wykładów – mówi Pasieczny. **N**

„JAZDA NA KACU?
ZATRZYMANIE PO
ALKOHOLU? UTRACONE
PRAWO JAZDY?
**SKONTAKTUJ SIĘ Z NAMI
I UZYSKAJ POMOC**”
– REKLAMUJE SIĘ
JEDNA Z KANCELARI
ADWOKACKICH





N



Newsweek^{POLSKA}

Prenumerata roczna:

- Nowe wydanie prasowe co tydzień w Twoim domu.
- Plecak  dostępny w trzech modelach do wyboru
- W prezencie subskrypcja cyfrowa  onet premium



Zamów za 464 zł
z bezpłatną dostawą na [Literia.pl](https://literia.pl)

Prenumerata do potęgi

Newsweek^{POLSKA}



JERZY STUHR DO KOŃCA AKTOR

Wspaniale grał zdrowego

Nikt nie wierzył, że Jurek jest ciężko chory. Sama nie zauważyłam, że zaczęła się demencja, że ma depresję – **Barbara Stuhr** opowiada o odchodzeniu męża, życiu na marginesie rodziny i jego ostatniej roli

ROZMAWIA BEATA NOWICKA ZDJĘCIE ADAM GOLEC

NEWSWEEK: Siedzimy w waszym domu. Dziwnie pustym...

BARBARA STUHR: Trudno przyzwyczaić się do tej pustki. Najgorzej jest rano, kiedy trzeba zebrać się do życia. Potem dzień przynosi różne sprawy, zawsze coś się wydarza, więc jakoś funkcjonuję. Całe życie byłam zadaniowa: robota mnie lubi. Poza tym spotykałam się z ludźmi i ten żal gdzieś się ulatnia. Wieczorem powraca. Pustka domu znowu mnie osacza. W łóżku szukam jego dłoni... Myślę, że muszę przeprowadzić jakieś zmiany, stworzyć ten dom na nowo. Już tylko dla siebie.

Będzie ci trudno.

– Wiem, ale nie mam wyboru. Dużą część rzeczy Jurka – cały jego gabinet, księgozbiór, notatki, rodowe obrazy – oddam do Muzeum Podgórze. Przodkowie Jerzego właśnie na Podgórzu osiedlili się po przybyciu z Dolnej Austrii. Dawniej nie było tu tak pusto, ciągle coś się działo. Ale od czasu udaru Jurka, kropla po kropli, dom robił się coraz bardziej smutny. Właściwie niepostrzeżenie. Nawet nie wiem, kiedy to się stało, bo jego udar zbiegł się z pandemią.

Życie towarzyskie zamarło w całej Polsce. Nie chodziłam nawet na moją ukochaną jogę. Nie chciałam przywlec do

domu żadnej choroby. Jurek miał słabe serce, po dwóch zawałach. I byliśmy tylko we dwoje – Jurek i ja. Sklep i telewizor. Nie zwróciłam uwagi, że właśnie wtedy, pomalutku, zaczęła się jazda w dół.

Co masz na myśli?

– Po pandemii były wyjazdy do Włoch, miał jakieś propozycje filmowe, z teatru. Ale już nie powróciło żywe życie. Co chwilę pojawiały się nowe wyzwania związane z jego zdrowiem. Miał coraz większe problemy z połykaniem. To było szalenie uciążliwe dla niego i dla mnie. Brał kęs i nigdy nie było wiadomo: połknie czy nie, zakrzusie się czy nie. Z początku lepiej sobie z tym radził, potem wyglądało to tak, jakby walczył o życie, o każdy oddech. **Nie miał świadomości, że jest chory, że dzieje się coś złego?**

– Wypierał to. Mówił, że to nic takiego, daje sobie radę, jest fantastycznie. Po kolejnym ataku już nie odpuściłam. W szpitalu zrobiono mu poszerzenie przełyku, a przy okazji pobrano wycinek do badania. Po dwóch tygodniach poszliśmy po wynik, nie spodziewając się niczego złego, bo Jurek – poza tym – nie czuł się najgorzej. Siedzieliśmy w poczekalni, jakbyśmy czekali na rutynowe wyniki morfologii. Dość długo to trwało. W końcu

lekarz zaprosił nas do gabinetu. Wrócił nowotwór w przełyku, tylko w innym miejscu. Tym razem operacyjny. Szok. Jurek trafił do szpitala w Zakopanem, w ręce znakomitego chirurga, który uratował go za pierwszym razem. Po powrocie do Krakowa przejął nas profesor Wysocki. Zalecał immunoterapię. Wtedy nie potrafiłam na to właściwie zareagować. Dziś widzę, że trzeba było włączyć tę immunoterapię, ale najpierw należało męża dożywić. Jurek tak bał się jeść cokolwiek, że nie jadł prawie nic i strasznie schudł. Słabł z dnia na dzień. Przestał jeździć na rowerze, na spacerze po paru metrach musiał usiąść na ławce, nie potrafił szybko przejść przez ulicę. Nie udało mi się namówić go na żywienie pozajelitowe, żeby go podreperować. Jurek strasznie tego nie chciał. Nie dziwiłam się. Włączono mu to przy pierwszym raku, co o mały włos nie skończyło się śmiercią. Oboje mieliśmy ogromny uraz. Kasia, synowa, mówiła: „Mamo, trzeba ojcu włączyć żywienie pozajelitowe. Minęło 10 lat, wszystko się zmieniło, to jest już bezpieczne”. Gdybym sama byłam bardziej przekonana, może udałoby mi się przekonać Jurka. To był ostatni moment, kiedy można było coś zrobić.

Chcesz powiedzieć, że gdyby włączono immunoterapię, Jerzy wciąż by żył?

– Nie wiem tego. Może? Opowiadałam o moich rozterkach młodej lekarce, która była z nami do samego końca i z którą oboje z Jurkiem bardzo się zżyliśmy. Pytałam: „A gdyby go dożywić, może miałby więcej sił na to, żeby walczyć”. Bo psychicznie był bardzo waleczny. A ona odpowiedziała: „Niewykluczone, że wtedy rak zacząłby się szybciej rozwijać. Nie ma sensu gdybać”.

Jerzy umarł czy odszedł?

– Wolę – odszedł.

Czy wiedział, że odchodzi?

– Myślę, że nie. Tosamopowiedziała nasza pani doktor. Jego odchodzenie było tak dziwne, że miał prawo tego nie dostrzeżać. Przed ostatnim przedstawieniem „Geniusza” w Krakowie, w poniedziałek 10 czerwca, Jurek był w tak marnym stanie fizycznym, że ktoś z ekipy mnie zapytał: „Pani Barbaro, czy pan Jerzy na pewno może wejść na scenę?”. Odpowiedziałam: „Zapytajcie Jurka. Nie podejmę decyzji, żeby zerwać przedstawienie, kiedy publiczność jest na sali”. Sala była pełna. Jurek powiedział im, że zagra. Pamiętam, że wtedy pomyślałam: „Najwyżej coś się stanie, ale nie odbiorę mu tego wyjścia na scenę”. Zagrał, a po spektaklu powiedział, że nie wie jak. Na drugi dzień o 7 rano zawołał mnie do łazienki. Siedział wsparty o wannę, pomogłam mu wstać, ale osunął się na ziemię. Zadzwoiłam po pogotowie. W szpitalu usłyszałam: „Stan męża jest nierokujący”. Słyszałam to już wiele razy w życiu. Niby nie da się do tego przyzwyczaić, ale podświadomie człowiek jest przygotowany na wszystko. Po trzech dniach lekarz oznajmił, że jest coraz lepiej. Jurek został przygotowany do wypisu. Dostałam od nich „wyprawkę”: materac przeciwodleżynowy i wózek, wciąż mam go w domu, nie zdążyłam nikomu oddać.

Właśnie patrzę na ten wózek...

– Potem, kiedy przyjechałam do szpitala, żeby odebrać Jurka, dowiedziałam się, że ma zapalenie płuc, przewieziono go na pulmonologię, bo się dusił. Tam usłyszałam: „Stan bardzo ciężki, proszę przygotować się na najgorsze. Czy pani

sobie życzy terapię podtrzymującą?”. Nie życzyliśmy sobie. Po trzech dniach nastąpiła poprawa. Cudowna pani doktor przygotowała nam cały plan działania na wypadek, gdyby wyszedł do domu. Po śmierci Jurka powiedziała, że nigdy nie miała pacjenta, który umierając, co chwilę rokował nadzieję. Kiedy przyszedłam czwartego dnia, przewieźli Jurka na intensywną terapię. Ta sama procedura: „Czy życzy pani sobie terapię podtrzymującą?”. Nie. Po paru dniach wrócił na oddział... Zapytałaś mnie, czy wiedział, że nadchodzi koniec. Ilekroć był w szpitalu, zawsze chętnie przyjmował wizyty księdza, lubił z nimi porozmawiać o Bogu, diable, świecie, życiu. Ale gdy tym razem przyszedł ksiądz, Jurek powiedział mi: „Nie, dziękuję”. Nie był gotowy albo nie chciał być gotowy na głębszą rozmowę (*milczenie*). Co chwilę wysiadało mu coś innego. Na koniec nerki. Jeszcze raz wrócił na intensywną terapię. Już wiedziałam. Wszyscy wiedzieli. Poprosiłam lekarzy, żeby miał komfort odchodzenia, nie chciałam, żeby cierpiał. Zadzwoiłam do dzieci. Marianka przyleciała z Niemiec, spóźniła się dwie godziny, Maciek zdążył. Myślę, że Jurek go poznał, choć dostawał bardzo silne środki. Był spokojny, widziałam, że już nie walczy. Czuł, że przy nim jestem. Zmarł we wtorek o 8 rano.

Po 55 latach zostałaś sama...

– Po pierwszym zawale Jurka lekarze szykowali mnie na wdowę. Potem przyszedł drugi zawał. Przy pierwszym raku diagnoza była druzgocąca – trzy miesiące życia. Trzeba było wziąć się z tym za bary. W każdej sytuacji umiałam się zbierać: teraz to, potem tamto, szukam rozwiązania. Czas choroby uczy człowieka cierpliwości, przeżycia dnia. Wtedy nie myśli się abstrakcyjnie, tylko najbliższymi obowiązkami. Zostaje też w człowieku jakiś rodzaj uporządkowania. Musisz być straszliwie uporządkowany, żeby to samemu przeżyć i jeszcze pomóc drugiej, bliskiej osobie. Ale Jurek odszedł... (*milczenie*). Teraz uczę się przeżyć każdy dzień sama.

Pamiętasz waszą ostatnią rozmowę?

– To nie były rozmowy. Nie miał siły. Przez to długie, wielomiesięczne cho-

rowanie czułam, że brakuje mu słów i nie potrafił precyzyjnie – jak kiedyś – wyrazić tego, co myśli. Nigdy się do tego nie przyznał. Ale ja to widziałam. Któregoś dnia, kończył wtedy pisać swój dziennik, zadzwoniła pani redaktor z wydawnictwa z prośbą, żeby więcej napisał o tym, jak tworzył „Geniusza”. Też go namawiałam: „Opisz, jak wymyśliłeś tego Stalina, gdzie wyczytałeś, że miał jedną rękę niesprawną, to jest szalenie ciekawe”. Oponował: „Nie. Nikt tego nie będzie czytał”. Napisał kilka zdań, bardzo ładnych oczywiście, ale wiem, że gdyby umiał formułować swoje myśli tak jak zawsze, napisałby esej na ten temat. Przytaczam tę historię, bo zażytałaś, o czym rozmawialiśmy. Jurek ze mną mało rozmawiał, właśnie dlatego, że przy mnie czuł się spokojnie, bezpiecznie. Nie musiał grać. Tak więc nie prowadziliśmy żadnych zasadniczych rozmów. Nigdy nie pytał: „Czy ja już odchodzę?”. Pytał, co u Maćka, co u Marianny. Co się dzieje w jego ukochanym domu na wsi, czy remont basenu skończony? Kochał ten basen. Mówiłam, że basen czeka na jego przyjazd. Mówił jeszcze: „Jak dobrze, że teatry mają teraz urlop, nie muszę nigdzie się śpieszyć. Nic nie muszę”. Ciągłe to powtarzał.

Czym dla Jerzego była rola w „Geniuszu”?

– Wszystkim. Życiem. Kiedy zaczynał mówić o teatrze, to był zdrowy facet. Wspaniale grał zdrowego. Był przecież świetnym aktorem. Potrafił przerobić każdego lekarza, który pytał: „Coś panu dolega?”. „Nie!”. „Jak pan się czuje?”. „Znakomicie!”. Nikt nie wierzył, że Jurek jest ciężko chory. Sama nie zauważyłam, że zaczęła się demencja, że ma depresję...

Spektakl wymyśliła Krysia Janda. Wcześniej dużo rozmawiali o tym, co Jurka interesuje. Los albo Ktoś Inny chciał, że padło na rolę Stanisławskiego w „Geniuszu”. Jurek był wyznawcą jego metody. Dla niego rola Stanisławskiego była podsumowaniem drogi aktorskiej, a przede wszystkim pedagogicznej.

Tylko ja wiem, ile go to kosztowało. Widziałaś spektakl, wiesz, ile tam jest tekstu.

Jerzy i Barbara Stuhrowie, 31 maja 1998 r.



Mnóstwo.

– Musiał wykonać ogromny wysiłek, żeby to zapamiętać. Rano w łóżku potarzał dwie-trzy godziny. Potem po południu, wieczorem. On, który jeszcze cztery lata temu potrafił jednocześnie oglądać film czy Teatr Telewizji i... uczyć się roli. Kiedy w końcu przyswoił cały tekst, poczuł strach, czy go zapamięta. Nigdy o tym nie mówił, ale ja wiem, że strasznie się bał, że stanie na scenie przy pełnej widowni i będzie miał pustkę w głowie. Z jednej strony ten strach go zżerał. Z drugiej teatr, granie, oklaski sprawiały, że był szczęśliwy. Tam był z sobą. Pomagał mu cały zespół. Ci ludzie go kochali, a on czuł się wśród nich jak w rodzinie. Zapewnili mu cudowne warunki, próby odbywały się w takich godzinach, żeby Jurek był w najlepszej formie. Adaś Kasjaniuk przyprowadzał

go i odprowadzał, kupował gazety. Jurek kochał prasę papierową. Zawsze czytał „Wyborczą”, „Politykę”, „Newsweek”. I brukowiec. Mówił, że musi mieć jedną „szmatę”. Był też cudowny, niezastąpiony Jacek Braciak. Dziękowałam mu za cierpliwość. Mówiłam: „Wiem, że Jurek już nie jest łatwym partnerem”, a Jacek z uśmiechem mnie zapewniał: „Basia, ale co ty opowiadasz, on jest uroczy”.

W jednej ze swoich książek Jerzy napisał: „Całe moje dzieciństwo to była samotność. Musiałem się jej uczyć, zagospodarowywać ją”.

– Tak było. W genach miał tę wewnętrzną samotność. Przez 50 lat w jakimś sensie żył na marginesie rodziny, ale musiał ją mieć obok siebie. Gdyby ktoś miał mu zawsze siedzieć na głowie, nie wytrzymałby tego. Po sukcesach fil-

mów Kieślowskiego jego kariera błyskawicznie nabrała rozpędu. Więcej go w domu nie było, niż był. Wyjeżdżał na kilka miesięcy, a jak przyjeżdżał, całymi dniami był zakopany w swoich rzeczach: graniu, reżyserowaniu, uczeniu się nowej roli, spotkaniach... Godzinami siedział w swojej pieczarze, czyli gabinecie. Tam się chował i bardzo tego potrzebował. Wtedy pisał, czytał, często po trzy, cztery książki naraz. Wracał do swojego ukochanego włoskiego kina: Visconti, Fellini. Nie musiał się do mnie odzywać, ale lubił, jak byłam obok. Kiedyś wyjechałam na kilka dni. Zadzwoił po godzinie, że czuje się „samotny jak pies”.

Maciek Stuhr mi powiedział: „Bardzo możliwe, że ojciec zatraciłby się bez mamy. To zawsze była kotwica i stały niezmiennie port. Pochodzą z dwóch

różnych światów, które tworzą zupełnie nową galaktykę”.

– Cieszę się, że tak myślał. Coś w tym jest. Ja z chłoporobotniczej rodziny, Jurek z wysokiej inteligencji. Ale nauczono nas tych samych wartości, mieliśmy te same punkty odniesienia. Jerzy był niesłychanym indywidualistą. Dzięki niemu zyskałam inne spojrzenie na sztukę, życie, pracę. Przeżyliśmy razem 55 lat i nie pozabijaliśmy się. Mało jest takich par. W miłości dajesz i bierzesz, ale musi być w tym równowaga. Na festiwalach w Wenecji, Berlinie czy Cannes rozwijali przed Jurkiem czerwone dywany, składali hołdy, były owacje na stojąco. W domu wchodził w tryb rodzinny. Mówiłam: „Wynieś śmieci”.

Wynosił?

– Tak. Kiedy był w domu, dużą wagę przykładaliśmy do wspólnych obiadów lub kolacji. To było ważne. Ja gotowałam, ale Jurek zawsze potem sprzątał bez gadania. I robił kawę. Od początku naszego małżeństwa podzieliliśmy się rolami. On grał, ja pracowałam i zajmowałam się domem oraz dziećmi. Nie miałam poczucia, że się poświęcam. To było codzienne wydeptywanie swojej ścieżki, szukanie kompromisów. Raz kłótnie, raz uległość, kiedy indziej opór i rewolta.

Jurek miał poczucie misji, wszystkie inne sprawy schodziły na drugi plan. On mnie tym zaraził. Moja mama i moja teściowa nie rozumiały, dlaczego ja gram na skrzypcach, założyłam własny kwartet i jeżdżę po świecie na koncerty. Mówiły: „Wystarczy w domu jeden artysta. Po co dwóch?”. W wieku 50 lat poczułam się na tyle zrealizowana jako muzyk, jako skrzypaczka, że przestałam grać. Nie była to najłatwiejsza decyzja w moim życiu, ale musiałam sobie z tym poradzić. Do głowy mi nie wpadło, żeby mieć do Jurka pretensje, że on ma misję, a ja w wieku 50 lat zakończyłam karierę, żeby zostać kierowniczką systemu zwanego „rodzina Stuhrów”. Ja mu w tej misji na swój sposób służyłam. Czułam, że to jest ważne. Przez 55 lat jeden jedyny raz postawiłam na swoim. Byliśmy razem na wakacjach w Karwi nad morzem i Jurek nagle dostał telefon, że Konrad Swinarski robi film na podstawie „Sędziów” Wyspiańskiego.

I proponuje mu rolę. Powiedziałam kategorycznie: „Albo film, albo ja”. Był załamany: „Basia...! Rany boskie! Przecież nie odmawia się Swinarskiemu”. Odmówił, ale widziałam, jak cierpi. Nigdy więcej niczego mu nie zabroniłam. Zrozumiałam, że jak będę tak robiła, on będzie nieszczęśliwy. Życie z nieszczęśliwym człowiekiem jest bez sensu.

Powiedziałaś, że cierpiał na demencję i depresję.

– Myślę, że od dwóch lat. Jedno wiązało się z drugim. Tracił stopniowo kontakt z rzeczywistością. Ty pytasz, czy smaku-

„Gdzie on teraz jest? W szpitalu mówił: „Jak tylko stąd wyjdę, pojedziemy na wieś, zrobimy sobie makaron, napijemy się winka. Poczytam sobie na leżaku, wykąpię się w basenie”. To była jego wyspa szczęśliwości

je mu zupa, a on odpowiada, że deszczuk pada. Nie rozumiał wielu mechanizmów. Kiedy potrącił motocyklistę i zalała go fala nienawiści, był przerażony skalą tej napaści. Mówił: „Przecież przeprosiłem, poniosłem karę, zabrali mi prawo jazdy, dlaczego wciąż o tym pisałeś?”. Nie rozumiał, na czym polega hejt. Nie rozumiał, dlaczego prokuratora, który chciał szybko wydać wyrok, odsunięto od sprawy w ciągu godziny. Czuł się zaszczuty i nie rozumiał, dlaczego tak się dzieje. Facet, który wywindował się swoją postawą moralną na piedestał, nagle został z tego piedestału zrzucony w błoto. Mogę się tylko domyślać, jak strasznie się czuł. To wszystko sprawiło, że coraz bardziej zamykał się w sobie, a jego choroba onkologiczna przyspieszyła. Udał się na

emigrację wewnętrzną. Widziałam, jak bardzo cierpi, ale trudno się było do niego przebić.

Poskarżył się kiedyś?

– On, taki men? Nigdy! Jakakolwiek słabość nie mieściła się w jego kategoriach bycia mężczyzną, mężem. Tylko raz pękł w ciągu naszych wspólnych lat. Dowiedzieliśmy się, że Marianna ma guza ułożonego przy kręgosłupie, nikt nie chciał jej operować. Leżeliśmy razem przytuleni i płakaliśmy oboje. Nigdy więcej nie widziałam, żeby płakał. Myślę, że gdyby pozwolił sobie być chorym, gdyby choć raz powiedział: „Basia, boli mnie. Basia, źle się czuję”, byłoby mu łatwiej. Gdyby pozwolił sobie na słabość, łatwiej byłoby mu pomóc. Zorientowałam się, że ma demencję i depresję bardzo późno, bo cały czas przede mną grał. A on już nawet nie wiedział, że gra. Raz udało mi się niemal siłą zaciągnąć go na rozmowę z profesorem. Po wizycie powiedział: „Nigdy więcej”. Nie lubił psychiatrów, mówił, że maglują człowieka i nic z tego nie wynika. Choroba Jurka była filtrem. Wstydził się, że nie jest na tak wyśrubowanych obrotach jak kiedyś. Ale nie potrafił się z tym zmierzyć, więc to wypierał. Do końca nie wiedziałam, co czuł, o czym myślał...

Gdzie on teraz jest?

– Na wsi. Uwielbiał uciekać na wieś. W szpitalu o tym marzył. Mówił: „Jak tylko stąd wyjdę, pojedziemy na wieś, zrobimy sobie makaron, napijemy się winka. Poczytam sobie na leżaku, wykąpię się w basenie”. To była jego wyspa szczęśliwości. **N**

Beata Nowicka



TEKST
POCHODZI
Z „NEWSWEEKA
EXTRA
– JERZY STUHR.
WSZYSTKIE
ROLE JEGO
ŻYCIA”.
DO KUPIENIA
OD ŚRODY
2 PAŹDZIERNIKA



JAK NAS OSZUKUJĄ W INTERNECIE

Niesamowita okazja

W takich internetowych sklepach wszystko jest piękne i tanie. Tyle że czasem przychodzi coś, co w niczym nie przypomina zamówionego towaru. Albo paczka nie dociera wcale

TEKST RENATA KIM ILUSTRACJA JACEK GAWŁOWSKI

Małgosia ma misję: ostrzega kogo tylko może przed internetowym sklepem Franka's Boutique. „Zamiast pięknej dżinsowej sukienki, dostałam chińską tandetę” – pisze.

Albo: „Oddaj kasę, złodzieju! Naciągacze i tyle”. „Ilu jeszcze ludzi oszukacie?” – dopytuje, choć zdaje sobie sprawę, że jej komentarz zaraz zniknie. – Usuwa ją wszystkie opinie, bo boją się prawdy o swojej działalności – tłumaczy.

O tym, co przysłał jej sklep Franka's Boutique, Małgosia nie mówi inaczej niż „szmata”. Brzydzi się jej, nie chce nawet dotykać.

– Kupiłam rozmiar M, a przyszło coś, co nawet na 10-latkę nie wejdzie. Krój zupełnie inny niż na zdjęciach, a przede wszystkim to nie był dżins. Sztuczna szmata, cienka, z nadrukiem imitującym dżins. W niczym nie przypominała sukienki z reklamy – opowiada.

Napisała na infolinię sklepu, że żąda zwrotu pieniędzy. Po dwóch tygodniach przysłała odpowiedź: obsługa butiku Franka dziękuje za zaufanie i informuje, że średni czas dostawy wynosi od trzech do pięciu dni. A jej zamówienie zostało już przetworzone i zostanie wysłane tak szybko, jak to możliwe.

– I wtedy już wiedziałam, że wtopiłam. Żał kasy. I żał innych poszkodowanych – wzdycha Małgosia. Wie, że takich jak ona jest więcej, bo na którymś z facebookowych forów widziała opinię osoby, która opisała identyczny przypadek: zamówiła sukienkę i dostała coś, co w niczym jej nie przypominało.

ZANIM ZNIKNA

FRANKA'S BOUTIQUE POJAWIŁ SIĘ NAGLE. Pewnego wiosennego dnia Facebook zaczął wyświetlać reklamy tego sklepu z damską odzieżą. Ogromny wybór, wszystko w pięknych fasonach i kolorach, i niezwykle tanie, bo była wielka wyprzedaż i rabaty sięgały nawet 70 proc.

W środku lata na Facebooku pojawiło się łzawe oświadczenie, z którego wynikało, że właścicielka musi zamknąć prowadzony od wielu lat sklep, by skupić się na wychowywaniu nastoletnich córek.

Bo nie da się połączyć prowadzenia własnego biznesu z życiem rodzinnym.

Chwilę później poinformowano jednak, że trwają przygotowania do otwarcia nowego, stacjonarnego sklepu w Zabrzu. „Mamy nadzieję, że w ciągu najbliższych tygodni uda nam się uzyskać niezbędne pozwolenia, aby jak najszybciej rozpocząć działalność” – obiecywano.

Pod koniec sierpnia sklep ogłosił, że zamyka kolekcję letnich sukienek. „Śpiesz się, zanim znikną!” – ponaglał niezdecydowanych klientów. I nadal usuwał komentarze, mimo że Małgosia niestrudzenie prowadziła swoją akcję ostrzegawczą.

We wrześniu w butiku pojawiły się sweterki, „szykowne i przytulne”. I tanie, bo z 50-procentową zniżką. Pod informacją ostał się jeden, za to wymowny komentarz: „żenujące”.

Swetry były w ofercie już w lutym, tuż po tym, jak Franka's Boutique wystartował na Facebooku. Co ciekawe, sklep niemal od początku zmagał się z problemami: a to przestawała działać jego strona internetowa i powiązany z nią e-mail, a to posłuszeństwa odmawiała aplika-

cja BLIK. „Niektóre płatności zostały pobrane z waszego konta, ale z nieznanego powodu nie dotarły do nas żadne zamówienia” – tłumaczono. Wiosną sklep przeproszał za opóźnienia w dostawach, a potem z radością informował, że „wszystkie zaległe zamówienia zostały zrealizowane w zeszłym tygodniu”.

Kiedy teraz chciałam dopytać o tamte sytuacje, okazało się, że na stronie butiku nie ma żadnego numeru telefonu. A na e-maile z prośbą o kontakt do właścicielki odpowiada kanał obsługi klienta. Wymijająco pyta: „Jak możemy pomóc?”. Po kolejnym e-mailu jest stanowczy – niestety nie może zapewnić kontaktu.

Podany na stronie adres jest niekompletny: Suite C, Level 7, World Trust Tower, 50 Stanley Street, Central. Mapy Google pokazują, że to w Hongkongu, ale nie ma tam firmy o nazwie Terra Group Limited, do której ma należeć butik. Owszem, można ją znaleźć w brytyjskim rejestrze przedsiębiorstw, ale po pierwsze, zajmowała się nieruchomościami, a po drugie – zakończyła działalność w 2018 r.

SZKODA, ŻE ZA PÓŻNO

TAKICH FAŁSZYWYCH SKLEPÓW JEST W SIECI MNÓSTWO. Zaczęło ich gwałtownie przybywać w czasie pandemii COVID-19, bo to właśnie wtedy Polacy odkryli zalety kupowania online. Po pierwsze, było bezpieczne, a po drugie – tanie. I wygodne, bo zamówione towary można było odbierać w coraz popularniejszych paczkomatach. Tylko w 2022 r. ok. 30 mln Polaków, czyli blisko 80 proc., choć raz kupiło coś w internecie.

Błyskawicznie zareagowali przestępcy: w 2021 r. CERT Polska działający w strukturach Państwowego Instytutu Badawczego NASK zgłosił pięciokrotny wzrost internetowych oszustw w porównaniu z rokiem poprzednim, a w 2022 r. już siedmiokrotny. Najczęściej atakowane były popularne platformy sprzedażowe, takie jak Allegro, OLX czy Vinted, a najpowszechniejszą metodą oszustwa było wyłudzenie danych logowania i publikowanie reklam mających wprowadzić w błąd klientów. No i oczywiście tworzenie fałszywych sklepów internetowych.

[JAK BEZPIECZNIE KUPOWAĆ ONLINE?]

Sprawdź, czy na stronie jest telefon do sklepu.

Jego brak powinien wzbudzić czujność. Zwróć również uwagę na adres internetowy – jeśli zawiera błędy lub literówki, to wyraźny sygnał ostrzegawczy. Przeczytaj regulamin sklepu i sprawdź, czy jest w nim NIP lub REGON, a także jasno określone zasady zwrotów, reklamacji i polityki prywatności.

Upewnij się, czy

sprzedawca oferuje popularne metody płatności. Fałszywe sklepy bardzo rzadko to robią, rozpoznaś je też po braku możliwości zapłacenia przy odbiorze towaru. Sprawdź, czy nie ma skrajnych opinii na temat sklepu. Zweryfikuj także, czy zamieszczone oceny nie wydają się sztuczne i czy nie powstały wszystkie w jednym czasie. Zawsze płać kartą.

Źródło: CERT Polska, CyberRescue

towych sprzedających fikcyjne towary lub wyłudających dane dostępne do kont bankowych. O ile w 2020 r. wykryto niespełna 400 takich sklepów, to już w 2022 r. prawie 600.

Ofiarą jednego z nich padła 15-letnia Zośka z Warszawy, która za zaoszczędzone z kieszonkowego pieniądze pod koniec roku szkolnego postanowiła kupić modne buty znanej marki. W dużych sklepach, internetowych i stacjonarnych, model był już jednak niedostępny.

– Poprosiłam o pomoc „wujka Google” i okazało się, że buty można dostać w sklepie jokercycle.pl – mówi Zośka. Cena była dość atrakcyjna, 350 zł, ale nie odbiegała znacząco od cen na wyprzedających w renomowanych sklepach sieciowych. Zastanawiający był jedynie czas realizacji zamówienia – kilkanaście zamiast kilku dni. Sprzedający zapewniał, że buty przyjdą na czas.

***Ktoś zapytał,
jak długo się czeka
na zamówienie.***

***Odpowiedź była ponura:
wieczność***

– Po odebraniu przesyłki nie miałam pewności, czy buty są oryginalne. Ale nawet jeśli były, to o dwa numery za małe – mówi Zośka. Napisła w sprawie wymiany na większy rozmiar, potem kolejne pisma, ale sprzedawca zamilkł. – Dopiero wtedy poszukałam w internecie opinii o tym sklepie. Szkoda, że tak późno – mówi. Buty leżą w szafie, a ona chodzi w starych trampkach.

– W pierwszym półroczu 2024 r. tylko samo Centralne Biuro Zwalczenia Cyberprzestępczości odnotowało niemal 1 tys. różnego rodzaju oszustw. W ubiegłym roku takich zdarzeń było ponad 3 tys. – mówi podkomisarz Marcin Zagórski. I od razu zaznacza, że CBZC nie jest jedyną jednostką, która prowadzi tego typu postępowania. – Skala ogólnopolska jest zdecydowanie większa – dodaje podkomisarz i podrzuca kilka historii z ostatnich miesięcy.

Na początku lipca funkcjonariusze łódzkiego zarządu CBZC zatrzymali siedem osób, które założyły profesjonalnie wyglądające sklepy internetowe i sprzedawały markowe perfumy i kosmetyki oraz urządzenia elektroniczne. Sprawcy działali z rozmachem: wykupili reklamy na portalach społecznościowych, zatrudnili influencerów. A potem zamiast zamówionego towaru wysyłały produkty

REKLAMA

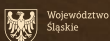
PILOT i MAŁY KSIĄŻĘ

CYBER MUSICAL

BROADWAYOWSKA
PRODUKCJA

ŚWIATOWA PREMIERA 5 PAŹDZIERNIKA
KATOWICE MIASTO OGRODÓW

bilety na: **eBilet**



Honorowy patronat
Marszałka Województwa Śląskiego
Wojciecha Saliugi



Patronat Honorowy
Przewodniczącego Miasta Katowice
Marcina Krupy



gorszej jakości albo podrobione. Kiedy już klient zapłacił i odebrał przesyłkę, kontakt się urywał. Oszukali w ten sposób ponad 6 tys. osób na 1,7 mln zł.

Wcześniej trzy osoby zatrzymali funkcjonariusze z Krakowa. Oszuści zakładali fikcyjne konta na portalu społecznościowym i wyszukiwali oferty sprzedaży limitowanych wersji butów sportowych znanych firm. Oferowali przesyłkę za pobraniem, którą zamówią i opłacą sami. Ofiary miały podać tylko adres e-mailowy, na który zostanie wysłana etykieta do nadania paczki. Wiadomość była jednak fałszywa, a przesyłki przestępcy mogli odebrać bez żadnej opłaty. Wyłudziły buty o wartości ponad 400 tys. zł, a potem ponownie sprzedawały je w sieci.

Jeszcze bezczelniej działali przestępcy rozpracowani przez gdański CBZC: wystawiali fałszywe ogłoszenia sprzedaży m.in. elektronarzędzi, trampolin, domków dla dzieci. Kupujący, skuszani atrakcyjnymi cenami, wpłacali pieniądze na wskazane konta bankowe lub płacili kodami BLIK. Zamówione przedmioty nigdy do nich nie docierały. Oszukanych zostało co najmniej 300 osób.

CZY KTOŚ ZNA?

KLIENCI PRÓBUJĄ SIĘ BRONIC SAMI. Na facebookowej „Czarnej liście sklepów internetowych” niemal codziennie pojawiają się ostrzeżenia przed kolejnymi sklepami. Padają konkretne nazwy, a społeczność ocenia: ten to ewidentny przekręt, a tamten OK, uczciwy.

O Franka's Boutique ktoś napisał: „To jedno wielkie oszustwo. Uważajcie!”.

Inny internauta wrzucił zdjęcie błękitnej sukienki z witryny Mokosz Piotrkowska z pytaniem, czy ktoś zna ten sklep. Zwrócił też uwagę, że dokładnie taka sama sukienka przez wiele tygodni była oferowana przez butik Franka. A teraz można ją znaleźć w ofercie sklepu Franlieen. Kolejny zauważył, że Mokosz ma w adresie błąd: zamiast Piotrkowska, co ma się zapewne kojarzyć z reprezentacyjną łódzką ulicą, jest Piotrkowska – z przestawionymi literami.

Podobny błąd jest w nazwie sklepu Janina Warszawa: jainawarszawa.sto-

re. „Oszuści!!!! Zamówiłam i zapłaciłam za sukienkę. Od tamtej pory nie otrzymałam żadnej odpowiedzi, maila, nic” – ostrzegła internautka. Kolejna sprawdziła, że podany na stronie adres firmy w Warszawie po prostu nie istnieje.

Na czarnej liście znalazł się także sklep Kowalczyk Moda – Złote Tarasy, który niedawno z żalem poinformował, że po 25 latach musi zakończyć działalność i z tej okazji oferuje ogromne rabaty. Pod postem ktoś zapytał, jak długo się czeka na zamówienie. Odpowiedź była ponura: wieczność.

Nazwa sklepu miała się zapewne kojarzyć ze znanym warszawskim centrum handlowym Złote Tarasy. W reklamach pojawiały się nawet zdjęcia firmowego salonu, który miał się rzekomo tam mieścić.

W 2021 r. liczba internetowych oszustw wzrosła w porównaniu z rokiem poprzednim pięciokrotnie. W 2022 r. było ich już siedem razy więcej niż w 2021 r.

– Nigdy takiego sklepu u nas nie było – słyszę na infolinii galerii.

Kiedy piszę e-maila, prosząc o rozmowę z właścicielem Kowalczyk Moda, odzywa się obsługa klienta. Twierdzi, że taka droga komunikacji „pozwała zapewnić dokładną i przemyślaną pomoc ze szczegółowym przegłędem naszych interakcji”. Numeru telefonu nie podaje.

MOŻNA SIĘ USTRZEC

O SPRAWDZENIE, CZY SKLEP JEST PRAWDZIWIY, można poprosić ekspertów CyberRescue, usługi dostępnej dla klientów mBanku, ING, Santander oraz sieci Play. Reklamują się jako straż pożarna w sieci i pomagają odzyskać skradzione konto w mediach społecznościowych, udzielają porad, co zrobić, gdy ktoś się włamie

do naszej skrzynki e-mailowej albo wydłuzi kredyt na nasze nazwisko.

Na prośbę klientów przyjrzeni się m.in. witrynie wyspamalucha.com, która na pierwszy rzut oka wyglądała jak profesjonalny sklep z artykułami dla dzieci. Estetyczna strona internetowa, dobrej jakości zdjęcia produktów i mnóstwo zapewnień o bezpiecznej wysyłce i zadowolonych z obsługi klientach. A do tego agresywny marketing w internecie. Wszystko po to, by wprowadzić kupujących w błąd. Bo kiedy już zrobili zamówienie, paczki nigdy nie przychodziły.

Eksperci CyberRescue odkryli, że sklep działa od tego samego dnia, gdy zarejestrowana została prowadząca go spółka. Tak krótki czas działalności może – ich zdaniem – wskazywać na próbę oszustwa. Poza tym produkty były sprzedawane dużo poniżej ceny rynkowej. Wyglądało to jak niesamowita okazja, ale było haczykiem, na który miał się złapać łatwowierny klient.

– Co ciekawe, nie zawsze te sklepy kuszą mocno obniżonymi cenami. Internauci nauczyli się już, że jeśli cena jest zbyt korzystna, może to być oszustwo. Fałszywe sklepy wystawiają więc swój asortyment w cenach często tylko trochę niższych – zwraca uwagę Łukasz Grzmot, analityk cyberbezpieczeństwa w portalu niebezpiecznik.pl.

Dodaje, że aby ustrzec się przed tego typu oszustwami, należy korzystać z renomowanych, oficjalnych sklepów danej marki. Dobrze jest również używać porównywarek cen, ponieważ wtedy kupujących obejmuje tzw. program ochrony, a pracownicy porównywarek sami weryfikują sklepy przed dodaniem ich oferty.

– Warto też płacić za produkt kartą płatniczą, nie ma znaczenia czy Visa, czy Mastercard, debetową czy kredytową, bo wtedy mamy możliwość skorzystania z procedury chargeback, jeśli nie otrzymamy produktu lub różni się on od oferowanego w sklepie. Na pewno nie należy natomiast podejmować decyzji zakupowej jedynie po sprawdzeniu, jakie opinie ma dany sklep, bo przestępcy coraz częściej kupują pozytywne opinie dla swoich fałszywych sklepów – mówi Łukasz Grzmot.

ZGŁOŚ OSZUSTÓW

FRANKA'S BOUTIQUE KILKA DNI TEMU uruchomił na Facebooku całkiem nową stronę – Franka. Tym razem właścicielka z głębokim smutkiem zawiadomiła, że sklep zostanie wkrótce zamknięty, bo trudno pogodzić prowadzenie biznesu z „rzeczywistością starzenia się”. Czas więc na emeryturę. Ale zanim to nastąpi, jest jeszcze jesienno-zimowa kolekcja butów, z rabatem 65 proc.

Na grupie „Czarna lista sklepów internetowych” ktoś ostrzegł, żeby omijać z daleka butik Franka. Wrzucił ku przestrodze dwa zdjęcia: na pierwszym, katalogowym jest gustowna lniana koszula w biało-błękitne paski. Na drugim przysłana przez sklep paczka, a w niej niezgrabna tunika w szarobure paski o zupełnie innym fasonie.

„Masakra” – współczuli mu internauci.

Chwilę później pojawił się wpis osoby, która po długich przepychankach w sprawie zwrotu towaru dostała wiadomość, że w ramach zadośćuczynienia może dostać kupon o wartości 44 zł na kolejne zakupy w sklepie Franka. Gdyby jednak upierała się przy zwrocie produktu, będzie musiała sama ponieść koszty. Adres do zwrotu? W Chinach. Pod postem zaroilo się od komentarzy, z których najczęstszy brzmiał tak: znajdź więcej poszkodowanych osób i zgłoś oszustwo na policję.

Tyle że policja często bagatelizuje podobne sprawy. Przekonała się o tym 53-letnia Ewelina z Warszawy, która kupiła w internetowym sklepie buty (aż dwie pary, bo tak jej się podobały), a dostała zupełnie do nich niepodobne bucior. Poszła zgłosić sprawę do komisarzatu, ale oficer dyżurny nie potraktował jej poważnie. – Dał do zrozumienia, że to moja wina, bo kto kupuje w interne-

cie? Bardzo mnie zniechęcał do składania zeznań, ale uparłam się – opowiada.

Dlatego eksperci ds. bezpieczeństwa informacji z firmy Zaufana Trzecia Strona radzą, by ominąć policję i udać się prosto do prokuratury. Wystarczy wysłać list z wyjaśnieniem, co się wydarzyło i załączyć dowody. Jeśli prokurator uzna, że mogło dojść do przestępstwa, zleci zbadanie sprawy policji.

– Zawsze należy zgłaszać próby skutecznych i nieskutecznych oszustw. Dzięki temu CBZC może odnotować trend i lepiej ostrzegać nas wszystkich przed tym, co aktualnie stanowi największe zagrożenie w internecie. Czasem też oszuści są łapani, więc jest szansa, że odzyskamy pieniądze – mówi Łukasz Grzmot z niebezpiecznik.pl.

Wszyscy przyznają jednak zgodnie: te szanse są naprawdę niewielkie. **N**

renata.kim@newsweek.pl

REKLAMA



Zamów za 79 zł
z bezpłatną dostawą
na **Literia.pl**

N

Newsweek

HISTORIA

Prenumerata roczna.
Sprawdź, co zyskujesz:

- 6 wydań prasowych dostarczanych pod wybrany adres.
- Wydanie specjalne Newsweeka Historii do wyboru: „Tajemnice Słowian” lub „80. rocznica Powstania Warszawskiego”
- Roczny dostęp do treści kilkunastu tytułów w pakiecie **onet premium**

Prenumerata do potęgi **Newsweek**

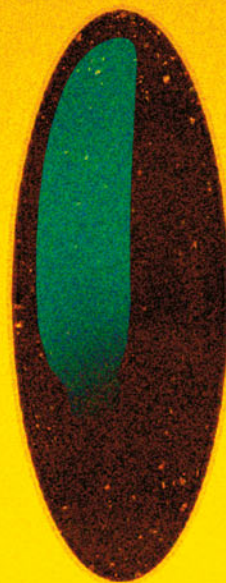


WYPALENI, SFRUSTROWANI, ZESTRESOWANI

Kryzys wieku młodego

Filmy, na których 20-latkowie
kupują drugie mieszkanie i trzeci
samochód, podnoszą Kasi ciśnienie.
Jest w ich wieku, ciężko pracuje,
nie stać jej nawet na wakacje

TEKST KAROLINA ROGASKA ILUSTRACJA PRZEMEK KOTYŃSKI



Zacęła działać już w czwartej klasie podstawówki. Za lepszą ocenę z jednego z przedmiotów uczniowie mieli się zapisać do Polskiego Czerwonego Krzyża i zaangażować w wybraną akcją. Kasię pomaganie spodobało się na tyle, że została w PCK na kolejne sześć lat. Zrezygnowała, bo czuła, że jej pomysły na lokalne inicjatywy nie były brane pod uwagę. A bardzo chciała robić coś dla swojej społeczności. Chociaż poświęcała na to większość wolnego czasu, nigdy nie usłyszała nawet „dziękuję”.

– To jasne, że nie poszłam tam, by zbierać pochwały. Ale dobrze, gdy ktoś od czasu do czasu powie ci, że robisz dobrą robotę. Inaczej masz wrażenie, że twoje działania nie mają znaczenia, więc szybko się wypalasz – mówi 23-latk.

KOSZT SAMODZIELNOŚCI

DOŁĄCZYŁA DO AMNESTY INTERNATIONAL, co jednak wiązało się z częstymi dojazdami do Warszawy z małego miasta pod Łodzią, byciem w ciągłym pogotowiu, gdyby któryś z projektów zaczął się sypać. Tam czuła, że ją cenią, ale fizycznie było to zbyt przytłaczające. Szczególnie że w wieku 16 lat poszła pracować w gastronomii, żeby na siebie zarabiać.

– W domu się nie przelewało, marzyłam, by jak najszybciej pójść na swoje – wyjaśnia. Od 19. roku życia utrzymuje się sama. Obecnie pracuje w branży finansowej i studiuje dziennie. Aktywizm odpuściła zupełnie, bo choćby stanęła na głowie, nie miałyby czasu. Z jednej strony czuje dumę, że jest dużo bardziej samodzielna niż większość rówieśników. Cieszy się ze swojej zaradności. Z drugiej ma wrażenie, że młodzieńcze lata przeciekają jej przez palce.

– Trochę zazdroścę znajomym, którzy jeżdżą do Grecji czy Włoch, gdy ja siedzę przy biurku i od lat nie miałam urlopu. I nie mam perspektyw, że to się zmieni, bo odkładamy z chłopakiem na jego operację, którą musi niestety zrobić prywatnie – opowiada Kasia.

WIELKA ŚCIEMA

FRUSTRUJE JĄ TEŻ TO, CO WIDZI W MEDIACH społecznościowych, dlatego

znacznie je ograniczyła. Filmy, na których 20-latkowie kupują drugie mieszkanie i trzeci samochód i opowiadają, jak to dorobili się na kryptowalutach czy współpracy z markami, podnoszą jej ciśnienie.

– Pewnie w wielu przypadkach to ich wspaniałe życie to ściema pod publikę, ale i tak psują mi nastrój. Ja nie wiem, czy kiedykolwiek będę w stanie kupić mieszkanie, a jeśli już, to z wielkim kredytem. I to mimo że ciężko pracuję od lat – podkreśla.

Nie robi planów na przyszłość, woli się nie rozczarować. Wystarczająco rozczarowuje ją to, że nie potrafi się w pełni cieszyć z tego, co już osiągnęła. Nie wie, co – poza unikaniem social mediów – mogłaby zrobić, żeby się tych myśli pozbyć.

42 proc. Polaków między 16. a 35. rokiem życia stresuje się brakiem pomysłu na siebie. 48 proc. zetek uważa, że zarabiają za mało

INNI MAJĄ LEPIEJ

EKSPERCI Z FIRMY JABRA pod koniec ubiegłego roku przebadali pracujące osoby z pokolenia Z (urodzeni po 1995-1997 r.) z Polski, Francji, Niemiec, Hiszpanii, Włoch, Wielkiej Brytanii, Australii, Chin, Japonii i USA. Aż 52 proc. z nich odczuwa wypalenie zawodowe oraz trudny do zniesienia stres. Fundacja Walton Family informuje, że 42 proc. tego pokolenia zmaga się z depresją, a 23 proc. nie widzi nadziei na zmianę sytuacji.

Jednocześnie wiele zetek uważa, że nie jest w dobrym miejscu w życiu. Badanie IRcenter przeprowadzone na grupie młodych dorosłych Polaków między 16. a 35. rokiem życia pokazało, że 42 proc. z nich stresuje się brakiem pomysłu na siebie. Młodzi wierzą, że inni podejmują korzystniejsze wybory i lepiej sobie radzą.

Czują, że są z tyłu, także jeśli chodzi o kwestie finansowe – z badania Credit Karma wynika, że uważa tak 48 proc. zetek. Uważają, że zarabiają za mało i że jeden nieuczynny ruch, może je wpędzić w poważne kłopoty finansowe. O ile w pewnych przypadkach to może być prawda, o tyle znacznie częściej wynika to z „pieniężnej dysmorfii” (z ang. money dysmorphia), którą według badaczy odczuwa znaczna część zetek.

Nie są w stanie realistycznie ocenić, jak wypadają na tle społeczeństwa albo ile byliby w stanie przeżyć ze swoich oszczędności. To wynik słabej edukacji ekonomicznej, ale też wpływ influencerów, którzy przekonują, że żyją „standartowym życiem”, kiedy w rzeczywistości ten standard przekracza możliwości finansowe większości ludzi.

ŁATKA NIEUDACZNIKA

PIERWSZE, CO PRZYCHODZI DO GŁOWY 28-LETNIEJ MALWINIE, gdy myśli o swojej pracy, to nuda i męczarnia. Zajmuje się badaniami rynku i, jak mówi, „klepaniem Excela”. Ma poczucie, że gdyby nagle jej zawód zniknął z powierzchni ziemi, to nic by się nie stało. – Sprawdzam na przykład, co zrobić, by ludzie kupowali więcej majonezu. Nie ratuję komuś życia, nie walczę z niesprawiedliwością, nikogo nie wspieram. Ten brak celu mnie rozwała – mówi.

Mimo że nie odczuwa większego sensu tego, co robi, to regularnie bierze nadgodziny i pracuje w weekendy. W jej rodzinie mocno obecny był kult sukcesu. Dziadkom, wujkom i ciotkom udało się zbudować dochodowe biznesy. Dobrze poszło właścicielom wszystkim, tylko nie jej rodzicom, którzy zyskali status nieudaczników. Malwina bardzo nie chciała, żeby o niej też tak mówiono.

– W wieku 16 lat zamieszkałam z dziadkami. Zobaczyłam na własne oczy, że żyją dużo lepiej niż moi rodzice. I sporo się nasłuchałam o tym, jak ważne są dobre zarobki i wspinanie się po korporacyjnej drabinie albo tworzenie czegoś swojego. Tyle tylko, że ja się nigdzie nie wspinam, nie widzę za bardzo szansy na awans. Zarobki mam nie najgorsze, ale wyższych nie będzie, bo w tej firmie

doszłam najdalej, gdzie się dało – wzdycha Malwina.

CHOMIK W KOŁOWROTKU

MOGLĄBY ODPUŚCIĆ, POŚWIĘCIĆ więcej czasu na zadbanie o siebie, ale strach przed „nieudacznictwem” jej nie pozwala. – Biegam jak chomik w kołowrotku – stwierdza. Czasem się zastanawia, czy nie rzucić tego wszystkiego i nie spróbować od nowa. Strach, że by się nie udało, jest jednak zbyt duży.

Bywa też, że fantazjuje o poznaniu bogatego męża, który wyzwoli ją z kieratu bezsensownej pracy. – Widzę czasem na Instagramie dziewczyny, które mają bardzo majątnych partnerów i żyją jak w bajce. Rano pilates, potem lunch z koleżankami, zakupy i nagrywanie filmików. Może i takie życie też nie ma głębszego celu, ale przynajmniej nie muszą przesiadywać w biurze i liczyć każdej złotówki – opowiada Malwina.

Z tyłu głowy kołocze jej też myśl o katastrofie klimatycznej. Ma odkładać i się zajeżdzać tylko po to, by finalnie zginąć w wojnie o wodę albo umrzeć z powodu przegrzania? A może czekać na emeryturę, która będzie groszowa, jeśli w ogóle jakąś dostanie? Dodaje: – Już nawet nie jest mi smutno. Jestem zwyczajnie zła, że życie jest tak niesprawiedliwe.

WIĘCEJ I LEPIJ

PSYCHOŁOŻKA I PSYCHOTERAPEUTKA Katarzyna Kucewicz zauważa, że zetki weszły w świat mediów społecznościowych jeszcze jako dzieci i dlatego tak trudno im się powstrzymać przed porównywaniem z tym, co widzą. – I nie chodzi tylko o porównywanie wyglądu, bo to działa też na innych płaszczyznach. Widzimy ludzi studiujących za granicą, pracujących w światowych korporacjach albo będących spadkobiercami fortun. I choćbyśmy nie wiem jak chcieli pewnych rzeczy, warunków ekonomicznych, w jakich dorastaliśmy, nie przeskoczymy. Jednak poczucie, że tyle osób ma „lepsze życie”, będzie nas drenować – mówi.

Wpływ na poczucie wypalenia i bezradności ma też wychowanie. Rodzice zetek często czuli presję, by robić więcej i lepiej, i przenieśli ją na swoje dzieci. One

albo w ten model weszły, albo nie chcą tak jak rodzice oddać życia pracy. – Jednocześnie trudno im znaleźć posadę, w której nie będą musiały tego robić i zarabiać tyle, by nie martwić się o pieniądze – podkreśla Kucewicz.

Psycholożka uważa, że dobrze jest się przyjrzeć, kogo się obserwuje w social mediach i czy te osoby nie sprawiają, że czujemy się gorzej. Warto też rozpoznać schematy, jakie przekazali nam rodzice. Zastanowić się, czy chęć bycia najlepszą pracownicą korporacji jest nasza, czy została nam wdrukowana, gdy dorastaliśmy.

NAUKA ODPOCZYNKU

GDY PRZYJDZIE KRYZYS WYPALENIA, dobrze poszukać odpowiedzi na pytanie: co konkretnie mnie wypaliło? – Eliminacja

Zetki weszły w świat mediów społecznościowych jeszcze jako dzieci i dlatego tak trudno im się powstrzymać przed porównywaniem z tym, co widzą

tego czynnika prawdopodobnie sprawi, że będzie nam lepiej. Może nie umiemy się relaksować? Wracamy po ośmiu godzinach pracy i scrollujemy social media przez kilka godzin? Raz na jakiś czas to nic złego, ale jeśli to norma, to tylko dalej się bódzujemy, zamiast odpocząć. Nasze ciało i mózg potrzebują różnorodności, ruchu, pobudzających intelektualnie aktywności – wyjaśnia Kucewicz.

Ale jeśli wypalenie sprawia, że coraz trudniej nam wyjść z łóżka, to warto poprosić o pomoc specjalistę. Im szybciej to zrobimy, tym mniejsze będą niszczące konsekwencje. – Nielezione wypalenie może w nas na przykład wytworzyć taką awersję do pracy, która kiedyś była naszą pasją, że już nigdy nie będziemy w stanie do niej wrócić – mówi psychoterapeutka.

KLUCZOWA DIAGNOZA

MATEUSZ OD KILKU MIESIĘCY NIE MA NUDNOŚCI, kiedy wstaje rano. Wcześniej, gdy studiował prawo, właściwie co drugi dzień było mu niedobrze. Męczyły go też zawroty głowy, często się przeziębiał. Wolny czas spędzał w łóżku, bo na nic innego nie miał siły. Widział w mediach społecznościowych, jak jego znajomi imprezują, dobrze się bawią. Dręczył się, że niszczy relacje przez lenistwo. Ale wyjście z domu go przerastało.

Po blisko roku takiego funkcjonowania poszedł do lekarza rodzinnego. Ten odesłał go do psychiatry. Diagnoza: depresja i zaburzenia lękowe. – Okazało się, że to stres mnie tak połam – mówi 22-latek.

Rodzice są prawnikami. Od dziecka mówili, że powinienem skończyć prawo, zrobić aplikację adwokacką i przejąć po nich kancelarię. Mateusz dawał z siebie wszystko. – To ciśnienie mnie w końcu przygniotło – mówi. Za radą lekarza wziął dziekanę i zaczął chodzić na terapię grupową na dziennym oddziale psychiatrycznym.

WYBRAĆ SZCZĘŚCIE

– **ZROZUMIAŁEM**, ŻE JA WCALE NIE CHCĘ BYĆ PRAWNIKIEM. Że moim marzeniem jest praca ze zwierzętami. Zacząłem grzebać w temacie i okazało się, że jest kierunek studiów, który nazywa się stosowana psychologia zwierząt. Idealna sprawa dla mnie – uśmiecha się Mateusz.

Obawiał się, co na te zmiany powiedzą jego rodzice, ale przyjęli to zaskakująco dobrze. Mateusz ma wrażenie, że przestraszyła ich diagnoza i mieli poczucie winy, że się do jego stanu przyczynili. – Jak im mówiłem, że zmieniam kierunek, to ręce mi się trzęsły z emocji. Tata powiedział, żebym robił tak, żeby mi było dobrze. A mama się popłakała i mnie przytuliła – opowiada.

Czasem jeszcze nachodzą go myśli, czy aby sobie życia nie utrudnił. Po prawie miałby gwarantowaną posadę, względny spokój. – Ostatecznie wolę jednak mieć nieco mniej pieniędzy i być szczęśliwym. **N**

karolina.rogaska@newsweek.pl

NIE MAM CZASU
ODGRZEJ SOBIE:

PROMOCJA



KARTACZE
Z MIĘSEM

9⁹⁹



ŻYCIE SAMOTNEGO MĘCZYZNY

Przywyknać do bezkobiecia

W 2019 r. pojechałam do miejscowości, w których był największy w porównaniu z pannami odsetek kawalerów. Teraz sprawdzam, jak potoczyły się losy moich bohaterów

TEKST ELŻBIETA TURLEJ ILUSTRACJA JOANNA RUSINEK

Witamy we wsi Od-męt, gdzie kończy się rozum, a zaczyna szczęście – mówi Grzegorz, rolnik na ponad 50 hektarach, hodowca 40 byków. Szczęście Grzegorza polega na tym, że przez ostatnie pięć lat udało mu się wydać córkę za męża, a syna ożenić.

O to, że córka znajdzie sobie drugą półkę, się nie martwił. Dziewczyna dobrze się uczyła i bez problemu ukończyła administrację. Myślała o powrocie na ojcowiznę, ale nie po to, żeby brać się za

byle małorolnego. Na studiach poznała chłopaka z Trójmiasta. Pobrali się. Po magisterce wskoczyła na etat w kancelarii prawniczej w pobliskim mieście powiatowym. Mąż znalazł świetnie płatną pracę w Niemczech. Zjeżdża do Polski na kilkanaście dni w miesiącu. Tęsknią za sobą, ale wiedzą, że są rzeczy ważne i ważniejsze: na razie muszą zarobić na budowę domu. Działkę w sąsiedniej wiosce dostali od Grzegorza. Jak wszystko się ułoży, pojedą na swoje w przyszłym roku.

– A Marcin? – pytam o syna. – Kiedy ostatni raz rozmawialiśmy, skarżył się na samotność. Mówił, że współczes-

ne kobiety nie chcą rolników, bo na wsi brakuje im nie tylko rozrywek, ale też męskiej adoracji. Podkreślał, że jego kobieta miałaby się zająć gotowaniem, praniem i dziećmi, ale też musiałaby być religijna.

– Cztery lata temu udało mu się taką znaleźć w sąsiednim miasteczku – cieszy się Grzegorz. – Syn w tym roku skończy 29 lat. Żona jest młodsza o sześć. Doczekali się już trzech córek. Czwarte dziecko jest w drodze.

To rekord na skalę gminy, w której z roku na rok spada liczba urodzeń. Pięć lat temu było ich 38. W ubiegłym roku – 23.



ROŚNIE WE MNIE ZŁOŚĆ

– **MARCIN Z ŻONĄ** MIESZKAJĄ na wsi? Pięć lat temu mówił, że nie widzi życia poza gospodarką – dopytuję.

– Wynajęli piętro domu w Szczucinie, rodzinnym miasteczku jego żony – mówi Grzegorz. – Wszedł w spółkę z kolegą, mają specjalistyczne maszyny, wynajmują się do robienia sianokiszonek. Teraz jest sezon na prace polowe, więc kończy robotę o pierwszej, drugiej w nocy. Synowa nie musi pracować, ma zajmować się domem, odprowadzać i odbierać z przedszkola najstarszą córkę. Kiedyś może przeprowadzą się do Odmętu, ale na razie wybrali życie w mieście.

– Marcin ma szczęście. Bogaty z domu, to nic dziwnego, że znalazł sobie kobietę – mówi 35-letni Krzysztof, właściciel kilkunastu hektarów ziemi w sąsiedniej wiosce. Pięć lat temu był singlem podobnie jak dwóch na trzech rolników w jego wieku. Niewiele się zmieniło. Nie pamięta, kiedy ostatni raz rozmawiał z kobietą. Mieszka z matką – ojciec zmarł kilka lat temu – ale to się nie liczy. Kobiety, szczególnie młode i wolne, budzą w nim lęk. Może dlatego, że wychowywali go dziadkowie. Rodzice dorabiali w mieście i czasu dla dzieci mieli tyle co przy niedzielnym obiedzie. Dziadek powtarzał, że Krzysztof powinien odebrać szkołę, byle mieć jakiś papier. A potem ma robić to, co mężczyźni w poprzednich pokoleniach, czyli uprawiać ziemię.

– Po podstawówce zdałem do zawodówki. Uczyłem się na tokarza, ale wiedziałem, że nigdy nie będę tego robił. Liczył się papier i żeby nikt się nie czeptał – mówi. – Przez trzy lata wstawałem przed piątą i gnałem kilka kilometrów na autobus.

Tym samym autobusem dojeżdżały do szkoły dziewczyny z sąsiednich wiosek. Kilka uczyło się w liceum, kilkanaście w technikum. Zaledwie cztery chodziły do szkoły zawodowej, kształciły się na fryzjerkę i kucharkę. Podobnie jak Krzysztof skończyły edukację na trzeciej klasie, ale szybko wyjechały ze wsi. Wysły za miastowych albo wyjechały za granicę, do roboty na produkcji w Austrii, Holandii czy Niemczech.

– A co z innymi dojeżdżającymi z tobą dziewczynami? – pytam.

– Od znajomych z sąsiednich wsi słyszałem, że jedna uczyła się na nauczycielkę, druga studiowała jakiś język obcy, kolejna medycynę. Podobno nauczycielka jest samotna, ale czy zechciałaby małorolnego? – zastanawia się Krzysztof.

Dwa razy w życiu wierzył, że uda mu się znaleźć „jakąś fajną babeczkę”. Pierwszy raz 10 lat temu, kiedy świeżo po emisji pierwszego sezonu show „Rolnik szuka żony” wysłał do TVP zgłoszenie do kolejnego programu. Drugi raz dwa

”Lewactwo zamęciło naszym kobietom w głowach

MAREK, 38-LETNI PRACOWNIK ADMINISTRACYJNO-BIUROWY Z TARNOWA

lata temu, kiedy do sąsiedniego Kupienina przyjechała – uciekając przed wojną – grupa Ukrainek. Wyobrażał sobie, że kobiety będą zainteresowane lokalnymi kawalerami. W obu przypadkach przeżył zawód. Jego zgłoszenie do programu „Rolnik szuka żony” przepadło w masie innych, a Ukrainki były zainteresowane jedynie pracą, m.in. przy truskawkach. Szybko zresztą – kierując się na zachód – wyjechały ze wsi.

– Pięć lat temu w wyborach do Sejmu głosowałem na sąsiada rolnika, kandydata z Konfederacji Korwin-Mikkego. Uzbierał prawie tysiąc głosów. Za mało, żeby się dostać – opowiada Krzysztof. – Przestałem wierzyć politykom. Kłamałi, że za ich rządów polski chłop będzie potęgą, ale za sąsiadem pójdę w ogień. Dojechałem ciągnikiem, kiedy w proteście przeciwko sprowadzaniu zboża z Ukrainy blokował most na Wiśle. Jeździmy razem na mecze ludowych klubów piłkarskich. Kibicujemy im w kilkudziesięciu chłopów. Pokrzyczę na meczach i robi mi się lepiej. A potem wracam do

pustego domu i rośnie we mnie złość na dziewczyny, które nie chcą małorolnych.

NIENORMALNYM PODZIĘKUJEMY

ZE ZBYSZKIEM, 40-LETNIM TOKARZEM ze Szczucina, rozmawiam w lokalnej pizzerii Havana. Wcześniej sprawdzam, że prawie 31 proc. miasteczka to single. Panien jest 25 proc. Kawalerów o 10 proc. więcej. W 2019 r. 61 z nich stanęło na ślubnym kobiercu. W ubiegłym roku ślub kościelny zawarło tylko 43.

– Pięć lat temu jeszcze wierzyłem, że załapię się na jakąś panienkę – mówi Zbyszek. Z telewizora – ustawionego na Polsat Music HD – dobiega przebój Modelak „Nie lubię melanży, chyba że z tobą”. – Chodziłem tam, gdzie powinny być porządne dziewczyny, czyli do kościoła. Bywałem na wiejskich potupajkach na świeżym powietrzu. Prosiłem do tańca młodsze, bo te z mojego rocznika dawno niańczą dzieciaki. Bez powodzenia proponowałem lody U Dudka (tradycja od lat 80.) albo kawę w restauracji Sovrana, co po włosku znaczy królowa. Wrzuciłem nawet anons na stronę darmowych ogłoszeń drobnych Lento. Napisałem, że nie mam doświadczenia z kobietami, jestem zwyczajnym facetem, który ma swoje cztery kąty, rozwijającą pracę, coś tam czyta, coś tam ćwiczy i działa. Nikt nie odpisał.

Zbyszek przyznaje, że podczas starań zataił jedną rzecz: owszem, mieszka w małym domku, ale z matką chorą na cukrzycę. Owszem, ma pracę, ale trudno nazwać ją rozwijającą. Codziennie zrywa się o 4.40, biegnie na autobus firmowy, który wiezie go 40 km do Mielca. Droga w tę i z powrotem zajmuje mu trzy godziny. Praca osiem. Stoi przy taśmie, związa sześciometrowe kable w metrową paczkę. Ma dwie przerwy: jedną 10-minutową, drugą 20-minutową. Kiedy wraca do domu, robi się 18. Zagląda do kurek – ma mały kurnik – czasem pójdzie coś obstarwić w lokalnym punkcie Zakładów Bukmacherskich Fortuna. Postoi kilka minut, pogada ze stałymi bywalcami. Czasem pod Fortunę przychodzą jego koledzy z pracy, na przykład były policjant, który podobnie jak on nie może sobie znaleźć panienki.

– Gadamy o pracy, o tym, że „na związkach” są liderki, które dostają premie za donoszenie – mówi Zbyszek. – Ponarzekamy, że nie dosyć, że nakablują, to jeszcze obgadają. Ostatnio rozmowa zeszła na monopolowy Al Capone. Kiedyś na alkoholach stał chłopak. Ogarnięty, potrafił doradzić. Teraz urok tego miejsca puszuje niezbyt rozgarnięta ekspedientka.

Rośnie w nim nerw na kobiety. Przed pięcioma laty szukał miejsca, w którym są panienki, teraz rozgląda się za miejscem przeznaczonym dla mężczyzn. Ale w Szczucinie kobiety są wszędzie. Okładają pięściami worek boksinowski w lokalnym klubie Dynamit Muay Thai. Przychodzą na tatuaż do Chudego i dzierają sobie napis „Love me for who I am”, co znaczy tyle, że należy je kochać takie, jakie są.

– A ja sobie życzę, żeby kobieta była taka, jak chcę, czyli normalna. Tym nie-normalnym już podziękujemy – mówi Zbyszek, a z telewizora leci przebój Skolima „Nie dzwoń do mnie, mała, bo na mnie to nie działa i chociaż bardzo chciałaś, to za mało się starałaś”.

Normalna kobieta, jak przekonuje Zbyszek, czeka na człowieka z obiadem, a nie kupuje w lokalnym sklepie Furgal mrożone kartacze z mięsem (za 9,99 zł) albo kluski śląskie z dziurką (za 7,99 zł). Taka kobieta nie wchodzi na apki randkowe („to dla puszczałskich”), docenia, że mężczyzna przynosi do domu 4 tys. zł pensji, spłaca kredyt zaciągnięty na remont domu, zabiera na wakacje do parku dinozaurów w Bałtowie. No i czasem zrobi mężczyźnie jakiś prezent, np. kupi mu za 17,99 zł kubek z napisem „Taki facet to skarb”.

„PROSZĘ, ODEZWIJ SIĘ”

– **A JA JUŻ NIC OD NICH NIE CHCĘ** i na nic nie liczę – mówi o kobietach spotkany na rynku w Tarnowie 38-letni Marek. Pracownik administracyjno-biurowy. Od zakończenia studiów związany z jedną firmą. Kawaler w mieście, w którym – jak wynika z danych lokalnego USC – z roku na rok spada liczba zawieranych małżeństw. Pięć lat temu było ich 762, w ubiegłym roku – 610, od stycznia do dziś zawarto ich 408.

Pięć lat temu w wyborach do Sejmu Marek głosował na, jak mówi, prorodzinyne PiS. W ostatnich wyborach również postawił krzyżyk przy kandydacie z Prawa i Sprawiedliwości. Był wierny partii, kiedy trzeba było wybierać między lewicowym a prawicowym kandydatem na prezydenta miasta. – Niestety, wygrał lewak, Jakub Kwaśny – kręci głową. – To dowód na to, że lewactwo zamąciło naszym kobietom w głowach. Doprowadziło do tego, że rada miasta przyjęła uchwałę w sprawie finansowania przez Tarnów zabiegów in vitro. Popchnęło kobiety do marszów protestacyjnych przeciwko życiu, czyli zostrzeniu ustawy antyaborcyjnej. Najgorsze, że w tym marszu na czele feministek szedł facet, Jacek Jabłoński, bliski współpracownik Roberta Biedronia. Taki mężczyzna przynosi wstyd całemu rodzajowi męskiemu! Nie to co założyciel Konfederacji Korony Polskiej Grzegorz Braun, który kiedyś powiedział, że feministki to kobiety wyzwolone z kobiecości.

Marek podziwia go nie tylko za to, że mówi prawdę o kobietach (ich miejsce jest przy mężczyźnie), ale też za to, że w czasie plandemii, jak nazywa pandemię, nie nosił maseczki. On też nie dał się złapać za twarz, podczas gdy większość facetów zachowała się jak baby. Niestety, za twarz – wydzielając liczbę miejsc – dał się również złapać Kościół. Dlatego Marek, podobnie jak poseł Braun, znalazł swoje miejsce na mszach trydenckich. W Tarnowie, nie wymagając od nikogo maseczki, prowadzi je bractwo kapłańskie św. Piusa X. Markowi podoba się, że kobiety podczas takich mszy znają swoje miejsce: ustawiają się po prawej stronie, podczas gdy mężczyźni stają po lewej. Dbają też, żeby wyglądać skromnie, więc wchodzi do świątyni w mantylkach, czyli szalach przykrywających głowę.

Marek na takiej mszy czuje się na właściwym miejscu. To samo czuje na odbywających się w Tarnowie spotkaniach z Braunem. Szczególnie ciepło wspomina mityng tuż po jego tzw. akcji gaśnicowej, czyli zgaszeniu za pomocą gaśnicy proszkowej palących się w Sejmie świec chanukowych.

O tamtym spotkaniu odpowiada mi jego organizator, Mirosław Poświatowski, przewodniczący tarnowskiego oddziału Konfederacji Korony Polskiej. – Wynajęliśmy salę na 100 osób, przyszło cztery razy tyle. Ponad dwie godziny, już po części oficjalnej, trwały rozmowy, selfiki i podpisywanie gaśnic – mówi. – W Dąbrowie Tarnowskiej strażacy poprosili posła Brauna o autograf na starym samochodzie strażackim. W lokalnej telewizji odbył się wywiad z posłem. Prowadzący na antenie poprosił o podpisanie gaśnicy z dedykacją dla jednej z naszych jednostek OSP. W sierpniu podczas gminnych dożynek ta gaśnica została wręczona strażackiej orkiestrze. Przyjęto ją z entuzjazmem, mimo że w miejscu tym rządzi PiS.

Marek porzucił PiS. Utwardza męską i odważną prawicę, czyli zamierza wstąpić do Konfederacji Korony Polskiej. Współbraci szuka, ogłaszając się na lokalnej podstronie Facebooka. Ostatnio rzucił okiem na działający na podobnych zasadach Spotted: Tarnów. A tam chłopaki – sądząc po profilach, młodszy od niego o 10 lat – szukają partnerek. Jeden pisze: „Pozdrawiam dziewczynę, która o około 18.30 miała mnie dwukrotnie na Słonecznej. Zostaw coś po sobie”. Drugi prosi o kontakt brunetkę, z którą wymienił spojrzenia przed tarnowskim klubem Alfa: „Proszę odezwij się, wytlumaczę, dlaczego nie mogłem podejść...”. Kolejny chciałby się spotkać z dziewczyną, którą miał przy sklepie Hitpol: „Miałeś takie charakterystyczne kłapeczki w pomponiki!”.

Pod tymi ogłoszeniami mają się odezwać kobiety, ale komentują głównie mężczyźni.

„Ale dzban” – pisze Piotrek.

„Jezus Maria, klaun sam w sobie” – dodaje Tomek.

„Zamiast podejść do kobiety, to stał jak widły w gnoju” – podsumowuje Bartek.

Marek macha ręką. Przyzwyczał się do bezkobiecia. Teraz niech młodzi – jak mówi – kopią się z koniem. **N**

elzbieta.turlej@newsweek.pl



Eleanor Medill Patterson, redaktorka
naczelna „Washington Herald”,
wnuczka Josepha Medilla, założyciela
„Chicago Tribune”, lipiec 1930 r.

HISTORIE KOBIET

HRABINA Z PIEKŁA RODEM

„Jeśli twoja babka została zgwałcona, daj to na jedynekę” – mawiała Cissy Patterson, hrabina Giżycka, naczelna „Washington Herald”, najbardziej znienawidzona kobieta Ameryki

TEKST KATARZYNA WĘŻYK

Wyobrażała sobie średniowieczny zamek z wieżami, fosą i mostem zwodzonym w pakiecie. Plus, oczywiście, nowoczesna kanalizacja i centralne ogrzewanie – amerykańska panna dziedziczka była przyzwyczajona do wygód. Dostała neogotyckie domiszcze pilnie wymagające remontu oraz wołyńską wieś cztery dekady po zniesieniu pańszczyzny: błoto, brud, chłopcy przygłędni do ziemi ciężką pracą, chłopki całujące panią po rąbku sukni, i bosonogie, niedożywione dzieci – niektóre dziwne podobne do jej męża Józefa Giżyckiego.

W jej nowym domu pokoje były niemal pozbawione mebli, a zdarte tapety zwisały ze ścian. W sypialni męża stał wielki stół, a na nim fotografie kobiet – niektóre w strojach do jazdy konnej, inne w sukniach balowych, a jeszcze inne zupełnie nagie. Jedna trzymała na ręku małe dziecko.

Cissy Patterson w późniejszym życiu zyska reputację osoby cynicznej, bezwzględnej i wrednej. Sama będzie mawiać, że woli „rozpętywać piekło, niż uprawiać warzywa”. Ale 22-letnia hrabina Giżycka przełknęła upokorzenie i dała się zaprowadzić do swojej sypialni.

A w tejże sypialni znalazła niemal jeszcze ciepłe rzeczy należące do kobiety z dzieckiem ze zdjęcia, angielskiej kochanki swojego męża, którą ten niedawno odprawił i nie uznał za stosowne niczego w jej pokoju zmieniać. Na łóżku leżała jej pościel, w umywalce jej włosy, na toalecie jej mydło. „To było okrutne”, powie Cissy. Hrabia chciał żonie pokazać, gdzie jest jej miejsce. I nie był w tym przesadnie subtelnym.

ELEANOR CISSY PATTERSON URODZIŁA SIĘ 7 LISTOPADA 1881 R. Jej dziadek, Joseph Medill, wydawał największy dziennik na Środkowym Zachodzie, „Chicago Tribune”, a wnuczka była jego oczkiem w głowie.

20-letnia panna została wysłana do Europy nabrać ogłady, i w Wiedniu, na aukcji koni, poznała Józefa Giżyckiego. Hrabia miał herb, dobra na Wołyniu, kawalerski wąs i hazardowe długie. Amerykanka – ogniście rude włosy, głód przygody, ale przede wszystkim pieniądze. Giżycki uruchomił cały swój urok osobisty i przekonał Cissy do małżeństwa.

Rodzice byli sceptyczni. Sprawdzili przyszłego zięcia i się przerazili: hrabia miał reputację kobieciarza i alkoholika, był na krawędzi bankructwa. Ale Cissy się uparła i po dwóch latach wymusiła na rodzicach zgodę. Warunkową, bo ojciec odmówił posagu. Hrabia jednak nie zamierzał wracać do domu z pustymi rękami. Tuż po ceremonii ślubnej zniknął jak kamfora i odnalazł się na dworcu z ultimatum: albo dostanie posag, albo wyjeżdża sam. Ostatecznie teść podwoił sumę, którą miał wypłacać córce, do 20 tys. dol. rocznie – obecnie to jakieś 3 mln dol.

W noc poślubną hrabia znów żonę zostawił, ale tym razem wrócił z własnej inicjatywy. Nad ranem. I brutalnie wyegzekwował obowiązki małżeńskie. „Potraktował mnie jak ukraińską chłopkę – napisze potem Cissy w autobiograficznej powieści „Fall Flight”; waszyngtońskim dziedziczkom, uważała, z automatu należy się lepsze traktowanie. Jej mąż takich uprzedzeń nie miał – wszystkie kobiety traktował równie okropnie.

BATALIĘ O HRABIANKĘ FELICJĘ PRASA OPISYWAŁA Z LUBOŚCIĄ I DETALAMI. Dziewczynkę, fotogenicznego blond aniołka z loczkami, porwał jej ojciec, polski hrabia o niewymawialnym nazwisku, i nie chciał oddać amerykańskiej matce. Cissy, która mawiała, że dewizą jej wydawniczej rodziny jest „jeśli twoja babcia została zgwałcona, daj to na jedynkę”, niewątpliwie doceniłaby rynkowy potencjał tej dramy. Pewnie bawiła ją dużo mniej, gdy sama była jej bohaterką.

Z mężem wytrzymała cztery lata. Zimą 1908 r., po kłótni zakończonej rękoczynami – jej ojciec właśnie zakręcił kurek z pieniędzmi i hrabia nie znośli tego najlepiej – spakowała córkę i przeniosła się do Londynu. „Pragnęłam uciec od tego mężczyzny, którego nienawidziłam i życzyłam śmierci – jemu albo sobie – chciałam być wolna od człowieka, który stał się moim panem od dnia, w którym go poznałam” – napisze.

Ale Giżycki nie zamierzał poddać się tak łatwo: porwał córkę i dopiero interwencja prezydenta USA u cara zmusiła go do oddania Felicji. A 28-letnia Cissy wróciła do domu. Z dzieckiem, którym będą się zajmować głównie nianie, i alergią na romantyczną miłość.

Następne dwie dekady spędziła rozrywko-wo. Polowała na jelenie na ranchu w Wyoming i wpływowych mężczyzn na waszyngtońskich salonach. Znajomi najczęściej porównywali Cissy do kota: pełnego gracji, ale bezwzględniego drapieżnika.

Romansowała z mężem i kochankiem byłej przyjaciółki, córki prezydenta Alice Roosevelt (gdy Alice wysłała rywalce jej własne szpilki do włosów, które znalazła na podłodze w bibliotece, Cissy odpisała, żeby spojrzęła na żyrandol, bo zgubiła też majtki), i z niemieckim dyplomatą podejrzanym o szpiegostwo.

W 1925 r. wyszła za mąż za prawnika Elmera Schlesingera głównie po to, by wkurzyć swoją antysemitkę rodzinę. Mąż numer dwa, dla odmiany człowiek dobry, cierpliwy i kochający, wytrzymał z nią cztery lata, po czym zmarł na atak serca.

Z córką nie dogadywała się spektakularnie. „Łatwiej pokierować zaprzęgiem młodych łosi. Cały czas muszę pamiętać, że jest w połowie Polką” – narzekała Cissy. Po wyjątkowo burzliwej kłótni na ranchu, z szarpaniem za włosy włącznie, Felicia wskoczyła na konia, pogalopowała na oklep do najbliższego miasta, wyciągnęła pieniądze z banku i wsiadła w pociąg.

W Salt Lake City dogonił ją zakochany w niej Drew Pearson, przyszła legenda politycznego dziennikarstwa. Felicia uważała go jednak za nudziarza, więc jemu też się urwała i pojechała, sama, do San Diego, gdzie przez pół roku pracowała jako kelnerka. Niezmordowany Pearson i tam ją odnalazł, i zaproponował układ: spróbujmy małżeństwa na trzy lata, jak się nie spodoba, rozwiedzimy się. Giżycka zgodziła się głównie dlatego, że mał-

żeństwo było formą ucieczki od matki. I dokładnie trzy lata później wniosła o rozwód.

Była młoda, ładna, sławna i zamożna, trwały szalone lata 20., Felicia wolała się bawić. Jak powie: odkryłam, że po drinku lub dwóch mogłam się zrelaksować, tańczyć, śmiać się. Czuć się popularna. Czuć się akceptowana.

Później krążyła między Europą a Ameryką, okazjonalnie pisząc – wydała dwie autobiograficzne książki, w obu są straszne matki – ale głównie pijąc, balując i romansując. Miała jeszcze dwóch mężów i własnego okropnego polskiego hrabiego Alfreda Potockiego. „Felicia wyjeżdża za granicę – znów trzeba będzie po nią pojechać i wygrzebać z kolejnego romansu” – będzie wzdychać Patterson.

Jej trzeci mąż szefował klubowi anonimowych alkoholiczków. Felicia skorzystała z tej terapii i po raz pierwszy od lat wytrzeźwiała. Ale to małżeństwo także skończyło się rozwodem. „Spędziłam tak dużo czasu, nienawidząc matki. Jak mogłam naprawdę kogokolwiek pokochać?” – podsumowała córka Cissy.

**RODZICE BYLI
SCEPTYCZNI.
SPRAWDZILI
PRZYSZŁEGO ZIĘCIA
I SIĘ PRZERAZILI:
HRABIA GIŻYCKI
MIAŁ REPUTACJĘ
KOBIECIARZA
I ALKOHOLIKA,
BYŁ NA KRAWĘDZI
BANKRUCTWA.
ALE CISSY SIĘ
UPARŁA**

– PEWNE MYŚLICIE, ŻE TO JAKIŚ ŻART, ALE SPRÓBUJMY SIĘ DOGADAĆ. A, i nie musicie przy mnie nosić marynarek – tak nowa szefowa przywitała redakcję „Washington Herald”. Miała 48 lat, w życiu niczym nie zarządzała, a jej doświadczenie w pracy w mediach sprowadzało się do obserwowania dziadka i pisaniu felietonów do gazety brata. Była też pierwszą kobietą na stanowisku naczelnej stołecznej dziennika.

Nikt nie wróżył temu eksperymentowi sukcesu. Nawet legendarny magnat prasowy William Randolph Hearst, który w 1930 r. zatrudnił Cissy, zrobił to głównie dlatego, żeby wbić szpilę konkurencji, konkretnie jej bratu i kuzynowi. Kuzyn, Robert McCormick, przejął po dziadku „Chicago Tribune” i przesunął redakcję mocno w prawo: przeciwników politycznych wyzywał od histerycznych kastratów i polował na komunistów. Joe Patterson z kole-
lei na tle rodziny był wręcz lewakiem – popie-

rał prezydenta Franklina Delano Roosevelta i Nowy Ład – a jego gazeta, pierwszy amerykański tabloid „New York Daily News”, miała być dziennikiem dla mas pracujących.

Cissy specjalnie politycznych sympatii nie miała – interesowała ją głównie ona sama – ale też odziedziczyła po dziadku dryg do mediów. Hearst z kolei wiele nie ryzykował, czytelnictwo jego dwóch stołecznych gazet, porannego „Washington Herald” i popołudniowego „Washington Times”, i tak szorowało po dnie.

Nowa naczelna politykę połączyła z tematami społecznymi i waszyngtońskimi plotkami. Zatrudniła kobiety: konkurencja drwiła z „kurnika Cissy”, ale czytelniczki doceniły. Nie wahała się też używać kolumn gazety do załatwiania prywatnych waśni, a odszkodowania wypłacała z własnej kieszeni.



Eleanor Patterson, naczelna „Washington Herald”
i Hélène Dupuy (z lewej), wydawczynie
paryskiego „Le Petit Parisien”

W gabinecie zawsze miała butelkę szkockiej, której sobie nie żałowała, języka używała barwnego, a zwalniała bez sentymentów. Jak to ujął jeden z reporterów, miała czerwony pedicure i temperament w podobnym kolorze.

– Problem ze mną jest taki, że jestem starą, mściwą, irlandzką suką – mawiała. I dodawała: – Nie da rady być jednocześnie dobrym reporterem i damą. Ja tam wolę być reporterem.

W roku 1939 Cissy Patterson odkupiła od Hearsta obie gazety, zrobiła z nich jedną, „Washington Times-Herald”, wypuszczała 10 wydań dziennie, a sprzedaż skoczyła do prawie 200 tys. egzemplarzy.

A potem wybuchła wojna.

WNUKI JOSEPHA MEDILLA MOŻE I MIAŁY RÓŻNE POLITYCZNE SYMPATIE, ale co do jednego się zgadzały: Ameryka nie powinna się mieszać w żadne zagraniczne awantury. Stany Zjednoczone powinny pozostać neutralne. I przez dwa lata na łamach swoich gazet drukowały antywojenną propagandę.

Dopiero gdy w 1941 r. Japonia zbombardowała bazę amerykańskiej marynarki wojennej w Pearl Harbor, Pattersonowie patriotycznie zaoferowali prezydentowi wsparcie. Jednak Roosevelt pomoc odrzucił, obrażając przy okazji rodzeństwo. Miał tego pożałować, bo zamiast sojuszników dostał śmiertelnych wrogów. „Mam ich dość – Cissy, jej brata i kuzyna – moim zdaniem są stuknięci. Ciągłe się mnie czepiają” – skarżył się Churchillowi.

Tak bardzo starali się osłabić prezydenta, że ich krytycy zastanawiali się, po czyjej są stronie. W 1942 r., w czasie bitwy o Midway, gazety Cissy i jej brata opublikowały teksty o tym, że Stany Zjednoczone miały wcześniejszą wiedzę na temat ruchów japońskiej marynarki, ale trudno było nie dojść do tego wniosku. Prezydent chciał wręcz oba dzienniki pozwać za szpiegostwo.


A magazyn „Collier” nazwał Cissy „najpotężniejszą kobietą Ameryki” i „najbardziej zniechęconą”.

ALE MARYNOWANIE SIĘ WE WŁASNYM JADZIE, WOJNY Z CÓRKĄ – w 1945 r. Felicia się z matką oficjalnie „rozwiódła”, deklarując, że jej matka „bardziej dba o swoje pudle niż o mnie” – i alkohol pity w ilościach przemysłowych przestały Patterson służyć. Uważała, że wszyscy chcą tylko jej pieniędzy i jej gazety, a już najbardziej McCormick. Rozповідаła, że jeśli umrze w podejrzanych okolicznościach, będzie to oznaczało, że kuzyn ją zamordował.

Testament zmieniała kilkakrotnie, głównie po to, żeby zrobić na złość spadkobiercom. Kiedy po raz kolejny wyliczyła córce, dlaczego nie ma ochoty zostawić wszystkiego jej, Felicia wybuchła: „Obyś smażyła się w piekle, o ile istnieje. Z mojego życia zrobiłaś jedno wielkie piekło od czasów, gdy byłam niemowlęciem, głupia suko. A swoje pieprzone pieniądze możesz sobie wsadzić”.

24 lipca 1948 r. pudle Cissy wyły całą noc, ale pani domu znana była z tego, że zwalniała służbę z byle powodu, więc nikt nie ośmielił się sprawdzić dlaczego. Rano lokaj znalazł ją martwą w skłębionej pościeli. W akcie zgonu zapisano atak serca, córka ekspresowo zarządziła kremację. Cissy Patterson miała 66 lat.

McCormick był wtedy w Paryżu, więc miał alibi, ale podobno na wieść o śmierci kuzynki zaczął śpiewać. Miał powody, bo Patterson zostawiła gazetę siedmiu redaktorom, a ci bardzo szybko ją sprzedali właśnie McCormickowi. Ale Cissy najwyraźniej przeklęła „Washington Times-Herald”, bo ani siódemka redaktorów, ani jej kuzyn nie zdołali powstrzymać spadku nakładu.

McCormick w końcu sprzedał go właścicielowi „Washington Post”, a ten go wchłonął. 

katarzyna.wezyk@newsweek.pl

„HISTORIA KOBIEĆ” TO PODCAST O KOBIECIACH, KTÓRE ZMIENIAŁY ŚWIAT, A PRZY OKAZJI POSZERZAŁY GRANICE TEGO, CO WOLNO I WYPADA. KRÓLOWE I KURTYZANY, REWOLUCJONISTKI I ROWERZYSTKI, NAUKOWCZYNIENIE, POLITYCZKI I SKANDALISTKI – KAŻDY ODCINEK TO OPOWIEŚĆ O FASCYNUJĄCEJ BOHATERCE, KTÓRA ZAZWYCZAJ NIE ZMIEŚCIŁA SIĘ W PODRĘCZNIKU DO HISTORII. PODCAST PRZYBLIŻA WYZWANIA I TRIUMFY, PASJĘ I CIĘŻKĄ PRACĘ KOBIEĆ, KTÓRE ODWAŻYŁY SIĘ WYJŚĆ Z PRZYPISANEJ IM ROLI I REALIZOWAĆ WŁASNE MARZENIA

PREMIERA NOWEGO ODCINKA W KAŻDY PIĄTEK
O GODZ. 8 NA NEWSWEEK.PL ORAZ W ONET AUDIO

Grzyb po wybuchu
bomby termojądrowej
na Wyspach Marshalla
podczas próby
atomowej, 1950 r.

Newsweek ŚWIAT

WOJNA ATOMOWA

NAJSZYBSZY KONIEC ŚWIATA



ANNIE
JACOBSEN JEST
AMERYKAŃSKĄ
DZIENNIKARKĄ,
AUTORKĄ
KSIĄŻKI „WOJNA
NUKLEARNA.
MOŻLIWY
SCENARIUSZ”

Pierwotna eksplozja tylko jednej bomby to 19 boisk piłkarskich ognia gorętszego od Słońca. A to dopiero początek – opowiada **ANNIE JACOBSEN**, autorka książki „Wojna nuklearna. Możliwy scenariusz”

ROZMAWIA KATARZYNA WĘŻYK

NEWSWEEK: Nuklearna apokalipsa zacznie się gdzieś w szczyrim polu w Korei Północnej. Dlaczego akurat tam?

ANNIE JACOBSEN: To pytanie, które zadałam wszystkim moim źródłom, w tym byłym doradcom prezydenta USA w kwestiach nuklearnych, a także fizykowi Richardowi Garwinowi, który w 1952 r. uczestniczył w pierwszym teście ładunku termojądrowego na Wyspach Marshalla. Zresztą zdjęcie z tego wybuchu jest na okładce mojej książki.

Garwin stwierdził, że najbardziej boi się autokraty z arsenałem nuklearnym, bo są wśród nich ludzie, którzy mogliby powtórzyć za Napoleonem: „Po mnie choćby potop”. Uznałam, że do tego opisu pasuje przywódca Korei Północnej.

Istnieją reguły, które mają zapobiec wojnie nuklearnej, a jedynym uzbrojonym w broń nuklearną przywódcą, który je łamie, jest właśnie Kim Dzong Un. Zdarzało mu się już przeprowadzać testy rakiet balistycznych bez powiadamiania swoich nuklearnych sąsiadów. W mniej szalonym świecie państwa uzbrojone w broń nuklearną spróbowałyby go powstrzymać. Dogadałyby się i wywarły na niego nacisk. Ale takiej rozmowy nie ma, bo akurat państwa z bronią atomową są ze sobą w konflikcie.

Międzykontynentalna rakietą balistyczna (ICBM) z bombą atomową na pokładzie wystartowała. Co dzieje się dalej?

– Departament Obrony USA ma system satelitów, które mogą wykryć start takiej rakiety w dowolnym miejscu na świecie, zanim minie jedna sekunda. To już nie są czasy 11 września, kiedy w 2001 r. prezydent Bush kilka minut po fakcie słuchał przed kamerami szeptu urzędnika: „Panie prezydencie, samoloty uderzyły w World Trade Center”.

FOT. CORBIS HISTORICAL/GETTY IMAGES, ANNIE JACOBSEN.COM

Teraz już w drugiej sekundzie wiadomo, że się zaczęło. Dane z satelity trafiają do całego systemu baz i radarów, które je interpretują i określają trajektorię startu. W opisanym przeze mnie scenariuszu po kilkuset sekundach U.S. Nuclear Command and Control wie, że rakieta zmierza w kierunku Wschodniego Wybrzeża Stanów Zjednoczonych.

Moim największym zaskoczeniem w lekturze pani książki było to, że nawet USA tak naprawdę nie są w stanie z tą wiedzą nic zrobić.

– Bo nie da się obronić przed atakiem nuklearnym na dużą skalę.

Ale skoro państwa wydają ogromne pieniądze na budowanie arsenału nuklearnego, dlaczego nie wydadzą równie dużych na obronę?

– Obrona jest znacznie droższa, a wyeliminowanie takiej rakiety w locie jest równie trudne jak trafienie pociskiem w pocisk. Jedynym rozwiązaniem jest nie dopuścić do wojny nuklearnej, a jedynym na to sposobem jest rozbrojenie.

W pani scenariuszu pocisk balistyczny uderza w Waszyngton.

– Bomba, która w 1945 r. zniszczyła Hiroszimę, miała moc 15 kiloton. Dziś to jedna megatona (niemal 70 razy więcej). A to, co się w wyniku jej wybuchu dzieje z miastem i jego mieszkańcami, nie pochodzi z wyobraźni Annie Jacobsen, ale z dokumentów Departamentu Obrony. Wybuchająca bomba ma temperaturę wyższą niż Słońce i podpala wszystko w zasięgu wzroku. Pierwotna eksplozja to 19 boisk piłkarskich czystego ognia. I nic tam się nie ostanie, żadne biologiczne życie. Następnie fala uderzeniowa skosi wszystko w promieniu kilku mil. Budynek legną w gruzach. Asfalt na ulicach się rozpuści. Ludzie będą umierać z powodu oparzeń, utraty krwi, szoku i urazów. Miało stanąć w płomieniach. A to początek.

A to tylko jedna bomba. Ile jest ich dziś w arsenałach nuklearnych państw?

– Stany Zjednoczone mają 1770 sztuk broni nuklearnej gotowych do odpalenia. Część z nich wystartuje zaledwie 60 sekund od rozkazu prezydenta. Okręty podwodne potrzebują około 14 minut, bombowce kilku godzin. Rosja ma mniej więcej tyle samo. To szaleństwo.

Arsenał, który wystarczy, żeby zniszczyć planetę.

– Kilka planet.

Kiedy USA zostaną zaatakowane, kontratakują, wysyłając własne rakiety na Koreę. Co dzieje się dalej?

– Amerykańskie pociski balistyczne nie mają wystarczającego zasięgu, aby dolecieć do Korei Północnej bez przelatywania nad Rosją. Potwierdziłam tę informację u byłego sekretarza obrony Leona Panetty. A przecież amerykański prezydent nie rozmawiał z prezydentem Rosji od ponad dwóch lat. Nie komunikują się ze sobą.

Gdyby Władimir Putin zobaczył grzyb nuklearny nad Waszyngtonem, to odbierałby telefony od amerykańskiej administracji czy raczej tego, co z niej zostało?

– Podczas wojny w Ukrainie, kiedy pojawiła się, jak się potem okazało, błędna informacja, że rosyjski pocisk uderzył w Polskę, nie było komunikacji między Stanami Zjednoczonymi a Rosją przez ponad 24 godziny. Przewodniczący Połączonych Szeferów Sztabów, generał Mark Milley, powiedział na konferencji prasowej, że nie był w stanie skontaktować się ze swoim wojskowym odpowiednikiem w Moskwie.

Gorąca linia już nie istnieje?

– Istnieje, ale ktoś ten telefon musi odebrać. A jak pani myśli, co zrobi Moskwa, kiedy zobaczy nuklearne pociski lecące w stronę Rosji? Nawet jeśli odbierze telefon, będzie musiała uwierzyć nam na słowo, że celem jest Korea Północna. To zbyt duże ryzyko.

A wszystko, i to jest naprawdę mroźną informacją, dzieje się w jakieś 72 minuty.

Godzina z hakiem od normalności do apokalipsy.

– Rozmawiałam z generałem Robertem Kehlerem, byłym szefem Dowództwa Strategicznego USA, które jest odpowiedzialne za arsenały nuklearne. W przypadku wojny to jego następcą będzie rozmawiał bezpośrednio z prezydentem i prezydent wyda mu rozkaz odpalenia rakiet. Kehler mi powiedział: Annie, świat może się skończyć w ciągu kilku godzin. Wtedy zrozumiałam, że mój nuklearny scenariusz będzie opisywał, co się stanie nie w dniach i tygodniach, tylko sekundach i minutach.

Prezydent ma 360 sekund na podjęcie decyzji o kontrataku. Nie jest do tego przygotowany, bo jak można być do tego przygotowanym.

– Od Williama Perry'ego, byłego sekretarza obrony, usłyszałam, że większość prezydentów USA obejmuje urząd nieświadoma

swoich obowiązków w przypadku wojny nuklearnej. A jak już pełnią urząd, to też unikają tematu. Nie chcą tego wiedzieć.

Prezydent ma plan jeszcze z lat 60. i ludzi naciskających, żeby go realizował. Jak wiele zależy od niego?

– Na wojnę konwencjonalną prezydent musiałby uzyskać zgodę Kongresu. Ale że pocisk balistyczny potrzebuje do 30 minut, aby dostać się z wyrzutni w dowolnym miejscu na świecie do Stanów Zjednoczonych, na konsultacje nie ma czasu.

Jeśli prezydent USA wciśnie czerwony guzik, uruchomi reakcję łańcuchową. I już nie da się jej zatrzymać.

– Wojny nuklearnej nie można wygrać, dlatego nie wolno jej zaczynać. I Ronald Reagan, i Michaił Gorbaczow byli co do tego zgodni.

Ostatnim elementem ataku na USA jest odpalenie nuklearnego impulsu elektromagnetycznego, który totalnie



W NASTĘPSTWIE
NUKLEARNEJ ZIMY
UMRZE ROLNICTWO.
TYCH, KTÓRZY PRZEŻYLI,
CZekać BĘDZIE GŁÓD.
WŁAŚNIE DLATEGO
SZACUJE SIĘ,
ŻE W WOJNIE ATOMOWEJ
ZGINIE 5 MLD LUDZI

ANNIE JACOBSEN

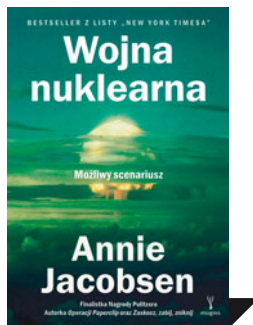
paraliżuje kraj. Właściwie dlaczego USA w pani scenariuszu nie zrobią tego samego nad Koreą Północną, jak tylko satelita prześle komunikat o starcie rakiety?

– Północnokoreańskie dowództwo, także nuklearne, według dostępnych zachodnim analitykom informacji, jest umieszczone głęboko pod ziemią. Tę decyzję podjął dziadek obecnego przywódcy, który od początku się obawiał, że zostanie zaatakowany przez USA. A jeśli masz centrum dowodzenia pod ziemią, jesteś odporny na wiele konsekwencji tzw. elektronicznego armagedonu.

Korea Północna jest niewielkim i bardzo ubogim państwem, a miałyby rzucić na kolana największe światowe mocarstwo. Jak to możliwe?

– To się nazywa wojna asymetryczna. Mimo planowania, technologii, przećwiczenia wszystkich scenariuszy i wypróbowania wszystkich gier wojennych, mimo całej swojej potęgi i prestiżu nawet supermocarstwo nie jest w stanie obronić się przed atakiem szaleńca z arsenałem nuklearnym. I to jest przerażające.

A co z elementem ludzkim? Jak można wykonać rozkaz sprowadzający się do zniszczenia planety?



Annie Jacobsen
Wojna nuklearna.
Możliwy scenariusz
Insignis

– Na pytanie o szanse, że ktoś nie przekreśli tego klucza, dr Glenn McDuff, człowiek, który projektował bomby atomowe i pracował nad programem Gwiezdných Wojen Ronalda Reagana, odpowiedział tak: „Masz większe szanse na wygraną w loterii”.

Były już sytuacje, gdy osoba, która mogła rozpocząć wojnę atomową, cofnęła się. W 1983 r. ppłk Stanisław Pietrow, widząc na radarze coś, co mogło być amerykańskim pociskiem międzykontynentalnym, uznał, że doszło do błędu komputera.

– To prawda. Ale to coś zupełnie innego niż sprzeciwienie się bezpośredniemu prezydenckiemu rozkazowi. Ludzie oczywiście chcą wierzyć, że tak się stanie. W hollywoodzkich filmach jednostka sprzeciwia się systemowi i ma rację. Ale osoby pracujące w nuklearnym dowództwie, elitarni profesjonalści, trafili tam, ponieważ wykonywali rozkazy. Tak zostali wyszkoleni.

Następny etap to nuklearna zima. Jak będzie wyglądać?

– Opisał ją, kiedy jeszcze byłam w liceum, astrofizyk Carl Sagan. Departament Obrony początkowo nazwał tę teorię rosyjską propagandą. Znalazłam jednak odtajnione dokumenty, z których wynika, że faktycznie obawiał się nuklearnej zimy, tylko nie chciał

REKLAMA

Nike

Nagroda Literacka

Tegorocznymi nominowanymi:

- Marzanna B. Kiejar
- Urszula Koziół
- Małgorzata Lebda
- Cezary Łazarewicz
- Piotr Paziński
- Andrzej Sosnowski
- Michał Witkowski



Kto zdobędzie
Nagrodę Literacką
„Nike” 2024?

UROCZYSTA GALA NIEDZIELA

6 października, godz. 20.00



Mecenas strategiczny:



Mecenas:



Fundator nagrody głównej:



Partner Wydarzenia:



Współproducent gali:



się do tego przyznać. Wyobraźmy sobie nie jeden, ale tysiąc takich wybuchów jak ten, który w książce zniszczył Waszyngton. I kolejny tysiąc w Rosji. Setki tysięcy kilometrów kwadratowych w ogniu, miasta spalone do gołej ziemi, lasy zniszczone przez żywioł. Miliony ton pyłu i sadzy uwolnionych w tych pożarach zasłoni Słońce. A bez ciepłych promieni słonecznych nic nie może rosnąć. Na umiarkowanych szerokościach geograficznych, od Iowa w USA po Ukrainę – w spichlerzu świata – całe zbiorniki wodne zostaną skute lodem. Rolnictwo umrze. Tych, którzy przeżyli, czeka głód. Właśnie dlatego szacuje się, że w wojnie nuklearnej zginie 5 mld ludzi. A ludzkość wróci do poziomu łowiectwa i zbieractwa.

Cytując Nikitę Chruszczowa, ci, którzy przetrwają, będą zazdrościć tym, którzy zginą.

– To ponura perspektywa, dlatego prowadzimy tę rozmowę: żeby ludzie zrozumieli, że wojna nuklearna to szaleństwo. Groźnie nią, co robi Putin, to szaleństwo. Podobnie jak to, co robi Kim Dzong Un, testując pociski balistyczne.

O ile scenariusz wojny jest szalony, posiadanie broni nuklearnej może się wydać rozwiązaniem racjonalnym. Dla Putina definicja suwerenności sprowadza się do siły, a siła równa się posiadaniu broni atomowej. Czy los Ukrainy nie jest zachętą dla rządów do sprawienia sobie takiej broni?

– Ma pani rację: więcej rządów może uznać, że posiadanie broni nuklearnej jest dla nich racjonalną decyzją i z dziewięciu państw uzbrojonych w taką broń zrobi się kilkanaście lub kilkadziesiąt. Ale im więcej ich będzie, tym bardziej rośnie zagrożenie wojną. To bardzo skomplikowany problem, który towarzyszy nam już od 79 lat. Ale jego rozwiązanie zaczyna się od edukacji. Od zrozumienia, jak działa ten system, dlaczego został wprowadzony i jakie mogą być konsekwencje. I że musimy im za wszelką cenę zapobiec.

Wyobraża sobie pani Putina, który działa według zasady „po mnie choćby potop”, rezygnującego z broni atomowej dla dobra planety?

– Rosja rozbroiła się w przeszłości. Putin jest przywódcą bardzo przywiązany do historii, mógłby wziąć przykład z poprzedników i pójść w tym kierunku. Poza tym, kiedy przywódca zaczyna zachowywać się jak szalony król, traci zaufanie swoich obywateli. Dla niego samego takie zachowanie staje się niebezpieczne, bo skutki uderzą w niego.

Dlaczego zajęła się pani tym tematem? Wiedza, którą pani zebrała, nie sprawia, że się spokojniej śpi.

– Od lat piszę o wojnie, broni i bezpieczeństwie narodowym, jestem autorką sześciu książek. I wiele moich źródeł – z CIA, z najwyższych szczebli administracji – przez te lata mówiło mi z dumą: Annie, zrobiłem to, co zrobiłem, aby zapobiec wojnie nuklear-

nej. Donald Trump, gdy był prezydentem, używał bardzo bojowej retoryki wobec Korei Pn., mówił o ogniu i furii, więc zaczęłam się zastanawiać, co się stanie, jeśli doktryna odstraszenia zawiedzie. Zapytałam o to najwyższe rangą osoby zajmujące się dowodzeniem i kontrolą nuklearną, do których miałem dostęp. Efektem jest ta książka. Czy mogę spać spokojnie? W głębi serca jestem optymistką. I jako reporterka chętnie spędzę lata na zdobywaniu tych informacji, które potem mogę w przystępny sposób ludziom przekazać. Bo wiedza to potęga. Podobnie jak wspólne obywatelskie działanie. W latach 80. pojawił się ogromny ruch ludzi na całym świecie domagających się nuklearnego rozbrojenia. I to ten ruch przygotował

głębie pod decyzje Reagana i Gorbaczowa.

Z wojną nuklearną nie jest trochę tak jak z katastrofą klimatyczną? Wolimy o niej nie myśleć, bo jest zbyt przerażająca?

– Tyle że rozwiązanie problemu nuklearnej zagłady jest łatwiejsze. Już raz świat zszedł z 70 tys. głowic do 12,5 tys. Wiemy, w jakim iść kierunku i jak to zrobić. Wystarczy kontynuować rozbrajanie. A zwracanie uwagi na ten problem to nie jest straszenie, tylko dawanie ludziom narzędzi do zmiany.

A co w latach 80. przekonało przywódców dwóch krajów nuklearnych do rozbrojenia?

– W znacznej mierze film „Nazajutrz” z 1983 r., który opowiada o skutkach wojny atomowej. Przynajmniej tej Reagana.

Słucham?

– Potwierdził to jego współpracownik i przyjaciel Newt Gingrich – po wydaniu książki zadzwonił do mnie i powiedział, że to film wpłynął na Reagana bardziej niż cokolwiek innego. Też mnie to zdziwiło: to nie doradcy, profesorowie i urzędnicy

przygotowujący mu briefingi, tylko filmowa wizja wojny nuklearnej przekonała prezydenta do rozbrojenia.

A jak już jesteśmy przy filmach: Denis Villeneuve przymierza się do ekranizacji „Wojny nuklearnej”.

– Jeśli twórca „Diuny”, jeden z najbardziej wpływowych filmowców, pokaże na wielkim ekranie, jak wygląda wojna nuklearna, daje to nadzieję, że wpływ tego filmu będzie jeszcze większy.

A mogę jeszcze zapytać, gdzie pani mieszka?

– W Los Angeles.

Co daje pani jakieś pół godziny dłużej życia w przypadku nuklearnego ataku na USA, niż gdyby mieszkała pani w Waszyngtonie?

– Niekoniecznie, jeśli jednocześnie inna rakieta uderzy w elektrownię atomową w Diablo Canyon.

Czy kiedykolwiek podczas pisania kusiło panią, aby przenieść się do Nowej Zelandii?

– Nie. Muszę wierzyć, że wojna nuklearna się nie wydarzy. **N**

”
WIĘKSZOŚĆ
PREZYDENTÓW USA
OBEJMUJE URZĄD
NIEŚWIADOMA
OBOWIĄZKÓW
W PRZYPADKU WOJNY
NUKLEARNEJ. A JAK JUŻ
PEŁNIĄ URZĄD, TO TEŻ
UNIKAJĄ TEMATU.
NIE CHCĄ TEGO WIEDZIEĆ



Gisèle Pélicot ze swoimi prawnikami Stephanem Babonneau (z prawej) i Antoine Camusem w drodze do sądu w Awinionie podczas procesu jej byłego męża Dominique'a Pélicota, oskarżonego o odurzanie jej i zapraszanie nieznajomych do gwałtu w ich domu w Mazan, 23 września 2024 r.

PRZEMOC ZAMIATANA POD DYWAN

Francuska szkoła gwałtu

Gisèle Pélicot myślała, że jej mąż to wspaniały facet. **Przez 10 lat zapraszał dziesiątki nieznajomych, by ją gwałcili**

TEKST MACIEJ NOWICKI

FOT. CHRISTOPHE SIMON/AFP/EAST NEWS

Drugiego listopada 2020 r. o godzinie 20.25 matka zadzwoniła do Caroline Peyronnet, aby poinformować ją, że ma coś ważnego na temat jej ojca. Pomyślała, że ojciec ma covid, trafił do szpitala i być może umrze. „Twój ojciec odurzał mnie tabletkami nasennymi i przeciwlękowymi – usłyszała. – I zapraszał do domu obcych mężczyzn, żeby mnie gwałcili”.

Nie mogła uwierzyć – przecież, gdy była dzieckiem, zawoził ją do szkoły, odbierał późno z imprez, dawał dobre rady, nieustannie pocieszał. „Jakby bomba eksplodowała w moim salonie”. Jednak nawet wtedy nie zdawała sobie sprawy, że prawda, którą pozna w nadchodzących miesiącach, będzie gorsza niż wszystko, co może sobie wyobrazić.

„NORMALNA SEKSUALNOŚĆ”

DOMINIQUE I GISÈLE POZNALI SIĘ w wieku 19 lat i wkrótce pobrali. Doczekali się trójki dzieci, a następnie siedmiorga wnucząt. Dominique często miał problemy finansowe, to raczej Gisèle była głównym

żywcielem rodziny – przez 20 lat była menedżerem w firmie w okolicach Paryża. Kiedy przeszła na emeryturę, państwo Pélicot przeprowadzili się do domu z dużym ogrodem i basenem w Mazan, małym miasteczku w Prowansji. Regularnie gościli dzieci i wnuki, jedli kolacje na tarasie, rozmawiali ze sobą godzinami, grali w planszówki. Dzieci Pélicotów były tam szczęśliwe. I pewne, że ich rodzice są ze sobą szczęśliwi.

W listopadzie 2020 r. zatrzymano męża Gisèle. Zeznając w komisariacie, opisała go jako wspaniałego faceta – miłego i opiekuńczego. Przyznała, że dwa miesiące wcześniej Dominique został zatrzymany za filmowanie intymnych miejsc kobiet w lokalnym supermarkecie, ale szybko mu wybaczyła, ponieważ nie leżało to w jego nawykach: ich seksualność jest normalna. Co prawda mąż chciał spróbować swingowania, ale ona się nie zgodziła. Nie lubi być dotykana przez osoby, do których nic nie czuje.

Wkrótce pokazano jej zdjęcia. Na wszystkich widać mniej więcej to samo. „Leżę bez ruchu w łóżku i jestem gwałcona. To barbarzyńskie sceny. Wszystko, co budowałam przez 50 lat, nagle legło w gruzach”. Gdy policjanci chcieli jej pokazać filmy z tych samych zdarzeń, Gisèle stanowczo odmówiła. Zgodziła się na to dopiero wiosną 2024 r. za radą swego adwokata tuż przed procesem.

Podczas wstępnego dochodzenia wszczętego po incydencie w supermarkecie policja zarekwirowała telefon Dominique’a Pélicota, komputer i dyski twarde. Znaleźli tam tysiące opinii na forum o nazwie „A son insu” („Bez jej wiedzy”), gdzie mężczyźni dyskutowali o stosunkach seksualnych, które udało im się odbyć bez wiedzy swoich partnerek.

Z wpisów Dominique’a wynikało, że regularnie podaje żonie kilka tabletek temesta, silnego środka przeciwłękowego. Następnie zaprasza nieznanymi do małżeńskiej sypialni, by gwałcili ją do nieprzytomności. Dominique był „kolekcjonerem” i wszystko filmował. Śledczy natknęli się na plik zatytułowany „Abus” („Nadużycie”). Były na nim setki filmów z datą, imieniem lub przydomkiem sprawcy oraz opisem czynów: „Noc 26 maja 2020 r.

z Marc Sodo 5. albo „Noc 09 06 2020 r. z Charly 6. Jeden raz”. Wszystko to trwało blisko 10 lat: od lipca 2011 r. do października 2020 r. Policji udało się sporządzić listę 83 napastników, którzy dokonali 92 gwałtów. Zidentyfikowano 51 mężczyzn. Większość z nich nie używała prezerwatywy. Jeden z nich chorował na AIDS.

W czasie śledztwa okazało się, że Gisèle zna zaledwie jednego z nich – czasem przychodził porozmawiać z jej mężem o wycieczkach rowerowych: „Spotykałam go od czasu do czasu w piekarni. Witam się, nie miałam pojęcia, że przychodził mnie gwałcić”.

„Gości” męża Gisèle obowiązywał ścisły regulamin. Wiedzieli, że jego żona będzie uśpiona, a stosunki seksualne filmowane. Palenie i perfumy były zabronione, aby uniknąć silnych zapachów. Ręce należało myć w gorącej wodzie, aby zapobiec obudzeniu się Gisèle z powodu różnicy temperatur. Rozbierać się należało w kuchni, aby nie zapomnieć zabrać ubrań z sypialni. Parkować na publicznym parkingu. I wracać do swego domu, gdy jeszcze jest ciemno, aby nie wzbudzać podejrzeń.

Najmłodszy sprawca miał 26 lat, najstarszy 73. Wszyscy mieszkali blisko. Reprezentują cały przekrój społeczny. Są wśród nich strażacy, żołnierze, pielęgniarze, kierowcy ciężarówek, przedsiębiorcy, lokalny radny czy dziennikarz. Niektórzy nie mają stałej pracy, są pod opieką kuratora, jeden znajduje się w więzieniu za przemoc wobec kobiet. Pięciu postawiono dodatkowy zarzut poza gwałtem na pani Pélicot: podczas przeszukania policja znalazła w ich komputerach tysiące zdjęć przedstawiających akty pedofilskie.

„BYŁ MAŻ, NIE BYŁO GWAŁTU”

– **PIERWSZĄ REAKCJĄ** WIELU LUDZI będzie „on jest szaleńcem”. Wątpię w to. Tylko niewielki odsetek gwałcicieli ma zdiagnozowaną prawdziwą patologię psychiczną – mówił przed procesem jeden z ekspertów.

Badania psychiatryczne wykazały, że Pélicot nie cierpi na żadną patologię ani zaburzenia. Psycholożce wyznał, że zaczął usypiać swoją żonę, gdy ta odmówiła wzięcia udziału w scenariuszu swingerskim. Był przekonany, że była z nim szczęśliwa.

I gdyby policja nie odkryła zdjęć, wszystko zostałoby po staremu. Mógłby nadal ją usypiać i namawiać innych do gwałcenia. Zdaniem Pélicota nie miałoby to żadnego wpływu na ich małżeństwo. W sądzie stwierdził: „Dla swojej żony miałem zawsze tylko miłość”.

51 pozostałych oskarżonych w procesie w Awinionie (rozpoczął się na początku września, ma dobiec końca w grudniu) przedstawia dwie rozbieżne wersje. Zdecydowana większość twierdzi, że wierzyli w „scenariusz” Pélicota: jego żona udaje, że śpi, podczas gdy nieznanymi uprawia z nią seks. Nie wiedzieli, że była pod wpływem leków. Tylko kilka osób przyznało, że wszystko robili świadomie.

Patrice N., 54-letni elektryk, uważa, że nie zgwałcił Gisèle Pélicot, ponieważ to jej mąż zaproponował seks. Simone M., były żołnierz, jest tego samego zdania: „To jego żona, może robić ze swoją żoną, co mu się podoba. Dopóki mąż był obecny, nie było gwałtu”. Karim S., 40 lat, jest informatykiem w banku. Zaprzeczał wszystkiemu, dopóki policja nie przeczytała mu wiadomości, którą wysłał do Pélicota: „Czy pigułka nasenna już działa? Daj mi znać wcześniej, bo mam jeszcze 20 minut jazdy”.

Nicolas F., 42 lata, jest dziennikarzem w regionalnej gazecie. Uważa się za uprzejmego i pełnego szacunku dla kobiet. Był zaskoczony biernością ofiary, ale ponieważ jej mąż zapewnił, że żona się zgadza, odłożył wątpliwości na bok.

Cyrille D., lat 53, pracuje w branży budowlanej. Nie zadawał sobie pytania, dlaczego żona Pélicota śpi. „Widziałem, że jest nieprzytomna, ale nie mogłem się powstrzymać” – przyznał w końcu. W areście próbował popełnić samobójstwo.

Jacques C. został w śledztwie środowiskowym opisany jako człowiek „powszechnie doceniany i oddany ludziom”. Był między innymi wolontariuszem w kantynie dla bezdomnych oraz kierowcą autobusu szkolnego dla niepełnosprawnych dzieci. W sądzie zeznał: „Mam głęboki szacunek dla kobiet. Gdyby była tu moja była żona, powiedziałaaby o mnie: »On kocha wszystkie kobiety«”.

55-letni Redouane El Fahiri, żonaty pielęgniarz, twierdzi, że został oszukany

przez Pélícota – był przekonany, że uprawia seks z jego żoną za obopólną zgodą. Jako jedyny z oskarżonych postanowił ujawnić swoje nazwisko. „Jestem przykładnym obywatelem i pielęgniarzem. Gisèle Pélícot nie jest jedyną ofiarą. Ja też nią jestem” – mówił dziennikarzom. Nie szczędzi krytyki wymiarowi sprawiedliwości, mediom, „tak zwanym działaczkom feministycznym” i rodzinie Pélícot.

Jean-Pierre M. jest jedynym wśród oskarżonych, który nie gwałcił. Gdy Pélícot zapytał, czy chciałby przyjechać do Mazan, Jean-Pierre M. odmówił. „Nie jestem gwałcicielem” – przekonywał sam siebie. Wtedy pojawił się inny scenariusz: „dał się przekonać” do przekazania Pélícotowi własnej żony w swoim domu. W latach 2015-2020 doszło do kilkunastu gwałtów, kobieta została uśpiona przez męża tabletkami temesta, które dostarczył Pélícot. Obawiając się poważnych skutków zdrowotnych u swojej żony, Jean-Pierre M. dawał jej pół tabletki zamiast czterech. Pewnej letniej nocy obudziła się i zobaczyła w swojej sypialni nieznanego. Mężczyzna wyszedł przez okno, próbowała go dogonić. „Mąż powiedział mi, że mężczyzna chciał zobaczyć moją bieliznę. Powiedziałam sobie: może zrobili zdjęcia...”. Nie widziała się z nim od trzech lat, jednak nie złożyła pozwu cywilnego ani nie wszczęła postępowania rozwodowego przeciwko mężczyźnie, który ją odurzył i pozwolił kilkanaście razy zgwałcić. „Był tak wspaniałym człowiekiem... Nie mogę zapomnieć wszystkiego, co razem przeżyliśmy” – tłumaczyła w sądzie.

„NIKT NIE ZGINAŁ”

19 WRZEŚNIA PODCZAS PROCESU w Awinionie pierwszy raz pokazano materiał nakręcony przez Pélícota (jedynie na ekranach sądowych dostępnych dla mediów). Tym, co naprawdę się wyróżniało, był hałas – donośne chrapanie, niepozostawiające wątpliwości, że ofiara śpi i nie zdaje sobie sprawy, czego właśnie doświadcza. Po zakończeniu filmu dziennikarze patrzyli z obrzydzeniem, nie dowierzając w to, co właśnie ujrzeli.

72-letnia dziś Gisèle Pélícot rozwiodła się z mężem. Wróciła do panińskiego nazwiska, ale podczas procesu używa nazwi-

ska Pélícot. Zgodnie z francuską legislacją miała prawo do zachowania anonimowości i rozpatrzenia sprawy za zamkniętymi drzwiami. Zamiast tego podjęła bardzo rzadką decyzję – poprosiła o upublicznienie procesu.

„Chce przenieść wstyd na oskarżonych – tłumaczyli jej prawnicy. – I ma nadzieję, że jej historia pomoże innym ofiarom odurzonym narkotykami i gwałconym”.

Przez wiele lat miała niepokojące objawy: utrata włosów i masy ciała oraz duże luki w pamięci, obejmujące całe dni i noce. Myślała, że ma guza mózgu lub rozwija się u niej choroba Alzheimera, jednak liczne wizyty u lekarzy nie dały diagnozy. Dopiero śledczy powiedzieli Gisèle, że wszystko to nie było związane z alzheimem, lecz stanowiło rezultat podawania le-

Mizoginia jest we Francji na porządku dziennym. Zaledwie 6 proc. zgłoszonych gwałtów jest ściganych

ków, które miały wprowadzić ją w głęboki sen, aby mogła zostać zgwałcona bez wiedzy i pamiętania o tym.

Gisèle Pélícot porównała to, co jej zrobiono, do tortur. „Zostałam złożona w ofierze na ołtarzu występku – powiedziała sądowi. – Traktowali mnie jak szmacianą lalkę, jak worek na śmieci”. „Bez zamiaru popełnienia gwałtu nie ma gwałtu” – próbował bronić swych klientów adwokat Guillaume de Palma. Gdy Gisèle usłyszała te słowa, zaczęła krzyczeć: „A gdyby to była jego żona, jego siostra? Gwałt to gwałt!”. Adwokaci obrony nieustannie próbowali ją przedstawić jako alkoholicką, która na wszystko się godziła.

„Mogło być gorzej, nie było w tym dzieci, nie zginęła żadna kobieta. Rodzinie będzie ciężko, ale będą mogli odbudować swoje życie. W końcu nikt nie zginął” – komentował proces w mediach mer Mazan. Dopiero gdy załaza go fala krytyki, zaczął przeproszać. Początkowo francuskie me-

dia traktowały gwałty na Gisèle Pélícot jako obrzydliwe wydarzenia z marginesu społeczeństwa. Dopiero po jakimś czasie zrozumiano, że sprawcami nie były wynaturzone jednostki, lecz – niemal bez wyjątku – zwykli Francuzi. Jednak sprawa nie pojawia się na pierwszych stronach gazet. Widocznie zdaniem francuskiej prasy nie ma wystarczającego kalibru, w przeciwieństwie do gwałtów, których sprawcami były sławy – jak Gérard Depardieu czy Patrick Poivre d'Arvor, przez lata największa gwiazda francuskiej telewizji. Politycy również milczą.

A jednak proces śledzi ogromna liczba Francuzek, które zwykle nie są zainteresowane kwestiami przemocy seksualnej. – Są pasjonatkami tej sprawy. Po prostu dlatego, że kobiety w całym kraju mogą utożsamiać się z panią Pélícot. Jest ona żoną, matką i rozwinęła się wobec niej międzypokoleniowa empatia – tłumaczyła Sophie Barré z feministycznego kolektywu Nous Toutes.

Odważyła się budzić podziw. Za każdym razem, gdy kobieta pojawia się na rozprawie, rozbrzmiewają brawa, setki kobiet pielgrzymuje, aby zobaczyć ją w sądzie.

We Francji od lat panuje swego rodzaju naiwność w kwestii drapieżników seksualnych połączona z zamiataniem spraw pod dywan. Mizoginia jest na porządku dziennym. Zaledwie 6 proc. zgłoszonych gwałtów jest ściganych. Panuje też przekonanie, że gwałty popełniane są przez zboczeńców napadających kobiety w ciemnych zaułkach. W rzeczywistości 91 proc. ofiar zna gwałciciela zgodnie z raportem parlamentarnym sprzed kilku lat. I niewielu gwałcicieli to zboczeńcy. Co pokazuje również sprawa gwałtów z Mazan. – Sprawcami było 80 mężczyzn, którzy nie mieli żadnego problemu, żeby sobie powiedzieć: „Mam żonę, dzieci, pracę, chcę być dobrym człowiekiem, ale mimo to tej nocy zamierzam zgwałcić śpiącą kobietę” – podkreślała jedna z kobiet obserwujących proces.

Francuzi nie chcieli dostrzegać realiów. Proces w Awinionie to widokówka z piekła, ale stanowi też szansę na zmianę. To, czy zmiana nadejdzie, zależy wyłącznie od Francuzów. **N**

maciej.nowicki@newsweek.pl



PO ROKU RZĄDÓW FICY

Demon w Bratysławie

Zawsze myślałem, że najgorszą cechą Słowaków jest zazdrość, ale teraz widzę, że jest nią egzystencjalna nienawiść. Premier Fico to wykorzystuje – mówi słowacki pisarz **PAVOL RANKOV**

ROZMAWIA JACEK PAWLICKI

NEWSWEEK: Mija rok od wyborów wygranych przez Roberta Ficę. Jak zmieniła się w tym czasie Słowacja?

PAVOL RANKOV: Mam swoje lata, więc dobrze pamiętam osiem lat rządów Vladimíra Mečiara. Był autokratą, ale ci, którzy na niego głosowali, mówili, że to dobry człowiek, który chce jak najlepiej dla Słowacji. Nikt dziś nie powie, że Fico jest dobrym człowiekiem. I to jest zasadnicza różnica. Wyborcy, którzy na niego zagłosowali, zrobili to dlatego, że niemal codziennie dostarczał im nowej dawki nienawiści. Patrząc na dzisiejszą Słowację, dostrzegam pewną analogię z tym, co działo się w Niemczech po 1933 r., szybką zmianę w nastrojach ludzi. To są jednak sprawy, których nie da się wytłumaczyć tylko za pomocą politologii, socjologii czy psychologii społecznej. Trzeba by być demonologiem albo egzorcystą.

Pisarze są zarówno demonologami, jak i egzorcystami...

– Tego nie da się racjonalnie wytłumaczyć. Pisarz oczywiście może o tym opowiadać, ale tylko za pośrednictwem metafor, intuicyjnie.

Rok temu tuż przed wyborami byłem w Preszowie i nie czułem tam nienawiści. Jeśli już, to frustrację.

– Preszów jest specyficznym miejscem, z dość silnym ruchem chrześcijańsko-demokratycznym. Chadecka partia KDH ma swojego marszałka województwa. W Bratysławie są w polityce tylko dwa zwalczające się obozy – liberałowie i Fico. **Jak liberalna bańka radzi sobie z tym, że kraj przejął polityk o autorytarnych zapędach?**

– Nie należę do obozu liberalnego, nie jestem też zwolennikiem Roberta Ficy. Zachowuję więc dystans i potrafię patrzeć na to, co robi liberalna bańka, z pewną dozą krytycyzmu. Pierwszą jej reakcją była wielka frustracja, potem przyszła złość, a następnie oba te uczucia przeszły w opór. Chciałbym przytoczyć jeden z przykładów tego demonicznego geniuszu Roberta Ficy. Otóż doskonale wiedział, że aktorzy teatralni czy filmowi staną się wobec niego silną opozycją, a że są to ludzie bardzo popularni w społeczeństwie, oddał ministerstwo kultury partnerowi koalicyjnemu, Słowackiej Partii Narodowej (SNS). Ludzie kultury, aktorzy czy reżyserzy oczywiście protestują, ale przeciwko ministrze z SNS, a nie przeciw Ficy.

W demokratycznym kraju w środku Europy resort kultury objęła Martina

Protest w Bratysławie przeciw ingerencji resortu w instytucje kultury. Na plakacie podobna minister kultury Martiny Šimkovičovej, 19 września 2024 r.

FOT. TOMAS BENEDIKOVIC/AFP/EAST NEWS

Šimkovičová, zwolenniczka teorii spiskowych, foliarka, homofobka. Przy niej Piotr Gliński był ministrem z wielką ogładą.

– Mówiąc o Šimkovičovej, że to homofobka, wkładamy jej do głowy jakąś ideę czy koncepcję, a ona w głowie ma pusto. Jedynie, co ją interesuje, to kiedy pójdzie do fryzjera. Owszem, to ładna kobieta, mogłaby więc być czwartą żoną Trumpa.

Jej działania nie ograniczają swobody artystów?

– Skupiła się ostatnio na odwoływaniu dyrektorów najważniejszych instytucji kulturalnych, w tym Słowackiego Teatru Narodowego i Słowackiej Galerii Narodowej. Powołuje tam ludzi, o których przeważnie nie ma bladego pojęcia, bo nie zna ludzi kultury. Szarą eminencją w jej resorcie jest dyrektor generalny. To on wskazuje, kogo trzeba zatrudnić i gdzie.

Jeśli chodzi o mnie, to ministra nie sprawiła mi dotąd żadnej przykrości. Nie było ku temu powodów. Nie składałem wniosków o stypendia literackie ani wsparcie finansowe ze strony rządu. Jednocześnie rok po wyborach trudno wskazać pisarzy czy artystów, którzy byliby hołubieni przez władzę...

Fico ma gdzieś kulturę?

– Kultura go nie interesuje. Oprócz tej demonicznej części jego władzy, tego zarządzania nienawiścią, zajmują go głównie sprawy przepływów finansowych i korupcja.

Czym różni się ficyzm od meczaryzmu?

– Meczaryzm miał większe wsparcie w innych krajach, bo wówczas w Europie, chociażby na Bałkanach, rządziło kilka podobnych do słowackiego reżimów. Fico jest o wiele bardziej izolowany na arenie międzynarodowej. Ale korupcja w jego wydaniu jest dużo bardziej wyrafinowana i zaawansowana niż za czasów Mečiarra, który zachowywał się trochę jak pijany zbój, taki Janosik na bani.

System Mečiarra to był turbonacjonalizm, a Fico interesują tylko władza, kasa i bezkarność?

– Za Ficą nie kryje się żadna ideologia poza tą nienawiścią, o której już mówiłem. Owszem, czasami wykorzystuje antywęgierski nacjonalizm, ale to nie wynika z jego głębokich przekonań ani nie



” **Orbán wciąż myśli o tym, że południowa Słowacja mogłaby stać się częścią Węgier, ale słowaccy nacjonałiści chcą mieć z nim bardzo dobre stosunki, bo tylko dzięki temu jakoś przetrwamy w tej dekadentckiej Europie**

ma większego znaczenia politycznego. Niedawno powiedział, że w armii ukraińskiej są jednostki posługujące się nazi-stowskimi symbolami, a ich członkowie zachowują się jak naziści. Zrobił to tylko dlatego, że wydaje mu się, iż tego typu wystąpienia mogłyby mu pomóc w polityce wewnętrznej.

Igranie z nienawiścią doprowadziło do zamachu, który cudem przeżył...

– Moim zdaniem w całym tym wydarzeniu swój udział też miały jakieś demoniczne siły. Oto bowiem premiera trafiły cztery kule, a już trzy tygodnie po zamachu był zdrowy i pałał jeszcze większą nienawiścią niż wcześniej. Lekarze tłumaczyli to jego bardzo dobrą kondycją fizyczną, ale wiadomo, że ma problemy z sercem, był wcześniej z tego powodu operowany, więc z jego zdrowiem nie jest wcale tak dobrze. Wydaje mi się, że w szpitalu wydarzyło się coś, co jest sprzeczne z racjonalną medycyną.

Po zamachu nie ma już żadnych zahamowań? Idzie na całość?

– Jeśli mielibyśmy powiedzieć, kto zapoczątkował falę nienawiści, która do-

prowadziła do zamachu, to z pewnością zrobił to Fico. Zamach jeszcze dodał mu determinacji.

W ostatnim dziesięcioleciu Słowacją wstrząsnęły dwa tragiczne wydarzenia – zabójstwo dziennikarza śledczego Jána Kuciaka w 2018 r. i zamach na Ficę. Wydawało się, że kraj się otrząśnie, że nastąpi jakiś przełom, ale nic takiego nie miało miejsca. Dlaczego?

– Nie do końca, bo zabójstwo Kuciaka doprowadziło do upadku Ficy. W 2020 r. przegrał wybory. Wrócił do władzy w 2023 r. z kilku powodów – pomogły mu pandemia, rosyjska inwazja na Ukrainę, no i ten jego demon stróż. Nienawiść jest wielką siłą napędową, także w polityce. Zawsze myślałem, że najgorszą cechą Słowaków jest zazdrość, ale teraz widzę, że jest nią egzystencjalna nienawiść.

Roberta Fico próbował zabić pisarz, może nie wybitny, ale wydał dwie powieści i trzy tomiki poezji.

Zaskoczyło cię to?

– (*śmiech*) To oczywiście zbieg okoliczności, ale mniej więcej rok temu przeczytałem amerykańską pracę naukową o psychice pisarzy. Z tego badania wynika, że statystycznie pisarze są w znacznie większej mierze podatni na chorobę dwubiegunową, depresję i ekstremizm polityczny. Można więc powiedzieć, że ten zamachowiec to „typowy pisarz”. Od wielu lat był zaangażowany w różnego rodzaju dziwne przedsięwzięcia i ruchy polityczne, zaś zamach na Ficę był najprawdopodobniej jego ostatnim eksperymentem politycznym.

Słowacy są mocno podzielonym społeczeństwem podobnie jak Polacy. Widzisz jakieś różnice?

– Polacy mają nad nami jedną zasadniczą przewagę, a jest nią wasza historia. Cała ta godna podziwu pomoc, jakiej udzielacie Ukrainie, ma oczywiście swoje historyczne uzasadnienie. Podziwiam was za to i rządy PiS uważam za wspaniałe, bo wspierały Ukrainę, a to jest dziś dla mnie najważniejszą kwestią. Słowacja ma inną historię i dlatego Fico może podsycać nienawiść wobec Ukraińców. To, co dzieje się teraz w Ukrainie, jest dla mnie o wiele ważniejsze niż to, co dzieje się na Sło-

wacji. Od tego zależeć będzie bowiem to, co stanie się w Bratysławie czy Warszawie za 10 lat. Drugim ważnym wydarzeniem, które wpłynie na naszą przyszłość, są wybory w Stanach Zjednoczonych.

Główne linie podziału na Słowacji to wschód-zachód, Bratysława-prowincja, etniczni Słowacy-mniejszość węgierska?

– Na przykładzie stosunku do mniejszości węgierskiej można pokazać, gdzie przebiegają główne linie podziału w społeczeństwie i jak bardzo są płynne. 15 lat temu Fico był antywęgierskim nacionalistą. Dziś zarówno on, jak i wszyscy słowaccy nacionaliści mówią, że musimy mieć bardzo dobre stosunki z Orbánem, bo tylko dzięki temu będziemy mogli jakoś przetrwać w tej dekadentycznej Europie. Nacionaliści są nawet w stanie tolerować fakt, że Orbán wciąż myśli o tym, że południowa Słowacja mogłaby stać się kiedyś częścią Węgier.

Po drugiej stronie jest podobnie. Przed zeszłorocznymi wyborami dwie główne partie liberalne prowadziły dość ostrą kampanię antywęgierską, obawiając się, że do parlamentu mogliby dostać się przedstawiciele niewielkiej pro-Orbánowskiej partii mniejszości węgierskiej. Ponieważ partii tej nie udało się zdobyć choćby jednego mandatu, ugrupowania liberalne przestały się posługiwać antywęgierską retoryką. Węgierski problem zniknął.

Ukazującą się właśnie w Polsce „Klinikę” napisałeś dwa lata temu.

Co cię do tego natchnęło?

– Tę powieść zacząłem pisać w proteście przeciwko głównemu nurtowi literatury słowackiej. Słowacki mainstream literacki to autofikcja – autobiograficzne, postmodernistyczne i satyryczne książki o współczesnym człowieku. Moim zamiarem było napisanie czegoś zupełnie innego, ale jednocześnie również autobiograficznego. Posługuję się kafkowską, irracjonalną metodą pisarską. Pomyślałem więc, że połączę ją z elementami autobiograficznymi. W ten sposób powstała „Klinika”.

Narrator przypomina K. z „Procesu” Kafki, klinika, do której chodzi, ma w sobie coś z zamku”...



Pavol Rankov
Klinika
przełożył Tomasz Grabiński
Książkowe Klimaty

– Jestem fanem pisarstwa Kafki. Co ciekawe, leczył się na gruźlicę w Tatrach, gdzie miał kontakty ze Słowakami. Ówczesny język słowacki był dość dziwny. Kafkę to zaintrygowało, zanotował nawet niektóre słowa. Choć znał jako tako czeski, to myślę, że Słowaków w ogóle nie rozumiał. Szokujące jest co innego. Otóż w notatkach z sanatorium pisał o pracujących w sanatoryjnej kuchni Słowaczkach, które wносиły do domu jedzenie dla dzieci. To były resztki zbierane z talerzy pacjentów...

Kafka zwrócił więc jedynie uwagę na śmieszność dla niego słowacczyznę i biedę...

– No cóż...

Gdyby trafił do ówczesnego Pressburga, jak się nazywała przed I wojną Bratysława, miałby pewnie lepsze wspomnienia...

– W Pressburgu czułby się dużo lepiej, no i rozumiałby wszystko, bo ludzie mówiliby do niego po niemiecku. Pressburg był miastem austriackim. Na Słowacji są dwa wielkie miasta – Bratysława i Koszyce. Bratysława była niemieckojęzyczna, a Koszyce węgierskojęzyczne.

Kafka jest wciąż popularny na Słowacji? A może po aksamitnym rozwodzie oddaliście go Czechom, którzy bardziej się z nim identyfikują?

– Słowacy nie uważają Kafki za autora czeskiego, tylko żydowskiego pisarza piszącego po niemiecku, ale to nie ma nic wspólnego z polityką. Napisałem „Klinikę” po kafkowsku także dlatego, że odnoszę wrażenie, iż słowaccy literaturo-

znawcy mają awersję do twórczości Kafki. Uważają, że jego pisarstwo to archaiczny, dawno martwy i nieatrakcyjny sposób pisania.

Ożywiłeś Kafkę na Słowacji...

– Nie odważyłbym się nigdy tego powiedzieć (*śmiech*).

Narrator „Kliniki” nazywa sam siebie „ufnym opowiadaczem w świecie niegodnym zaufania”. Tak definiujesz rolę pisarza w XXI w.?

– To nie jest moja definicja pisarstwa – w ten sposób definiuję siebie. „Klinika” to tekst autobiograficzny, piszę głównie o sobie.

Pisarstwo to dla ciebie misja, praca czy po prostu fun?

– Wszystko razem.

Pod koniec powieści narrator mówi:

„... jestem nadzwyczajnie nudny, wyjątkowy swoją przeciętnością, nudny całkiem inaczej niż inni”. To twoje odkrycie u progi sześćdziesiątki?

– Zgadza się, to jest moje doświadczenie życiowe. Elementem autobiograficznym jest także to, że bohater zaczyna w końcu powątpiewać w to, że profesor, ów słynny psycholog, u którego się stara o wizytę, może mu pomóc. Moja żona jest psycholożką. Kiedy czasami słucham, jak rozmawia z koleżankami z pracy czy pacjentami, to dochodzę do wniosku, że nawet psycholog nie jest w stanie zrozumieć innego człowieka.

Narrator „Kliniki” pomógł sobie sam, odbywając wiele rozmów z napotkanymi pracownikami kliniki.

– Pisanie „Kliniki” pomogło także mnie, bo po skończeniu tej powieści przestałem myśleć o samobójstwie. **N**

jacek.pawlicki@newsweek.pl

ROZMOWĘ TŁUMACZYŁ TOMASZ GRABIŃSKI

PAVOL RANKOV (UR. W 1964 R.)

JEST LAUREATEM LITERACKIEJ NAGRODY EUROPY ŚRODKOWEJ ANGELUS ZA POWIEŚĆ „ZDARZYŁO SIĘ PIERWSZEGO WRZEŚNIA (ALBO KIEDY INDZIEJ)”. W POŁOWIE WRZEŚNIA NAKŁADEM WYDAWNICTWA KSIĄŻKOWE KLIMATY UKAZAŁA SIĘ JEGO NAJNOWSZA POWIEŚĆ „KLINIKA”. NA CO DZIEŃ WYKŁADA NA UNIwersytecie KOMEŃSKIEGO W BRATYSŁAWIE

Mój jest ten kawałek podłogi

Ile kosztuje apartamentowiec czy hotel? Miliony? Dziesiątki milionów? Piszemy o tym, jak kupić go za kilka-kilkanaście tysięcy. No, może nie cały...



W przygotowanym przez firmę Tavex raporcie „Finansowy Klimat Polski” aż 53,2 proc. Polaków w odpowiedzi na pytanie: „W co warto inwestować?” wskazało nieruchomości. Gdy jednak zapytano respondentów o to, w co sami inwestują, odpowiedzi były już inne. Nieruchomości zajęły tu dopiero czwarte miejsce, za – kolejno – lokatami, złotem i funduszami inwestycyjnymi.

Nie trzeba być ekonomistą, by zrozumieć ten rozdźwięk. Owszem, na naszym rynku nieruchomości wciąż mają duży potencjał inwestycyjny, ale też jedną wadę – bardzo wysoki próg wejścia. Zakup mieszkania czy domu oznacza zawsze znaczny wydatek, liczony w setkach tysięcy albo milionach złotych. Dlatego większość inwestorów wybiera inne spo-

soby, dające możliwość lokowania mniejszych kwot.

Ostatnio pojawiła się możliwość lokowania w nieruchomości nawet niewielkich kwot. To inwestowanie społeczne, inaczej zwane udziałowym lub crowdfundingiem. Polega na tym, że nabywamy nie całą nieruchomość, ale odpowiadające naszemu zaangażowaniu udziały w jej wartości i dochodach, które będzie ona przynosiła. W praktyce wygląda to tak, że deweloper lub firma obracająca nieruchomościami znajduje ciekawy projekt, ocenia jego koszt i prognozowane zyski. Potem na jednej z kilku platform internetowych ogłasza zbiórkę środków na jego realizację lub sprzedaż udziałów w przyszłym przedsięwzięciu. Gdy cała potrzebna kwota zostanie zebrana, inwestycja rusza.

Zalety i wady

Taki crowdfunding ma wiele zalet. Przede wszystkim daje możliwość inwestowania stosunkowo małych kwot, ewentualnie podzielenia portfela na kilka obiektów prowadzonych przez różne firmy, co pozwala zdywersyfikować ryzyko. Mamy też możliwość wejścia w duże projekty komercyjne, np. apartamentowce, apartotele, powierzchnie handlowe itp., które zapewniają wyższą stopę zwrotu, ale wymagają nakładów idących w dziesiątki czy setki milionów złotych. Ważne jest również to, że takie przedsięwzięcia inicjowane są przez podmioty, które nieruchomościami zajmują się zawodowo i dysponują wiedzą pozwalającą wybrać naprawdę dobre, dochodowe projekty.

Pamiętajmy jednak, że crowdfunding obarczony jest również ryzykiem. Projekt deweloperski może się przeciągać, nie zostać ukończony, wartość nieruchomości może spaść itd. Oczywiście, wszystkie te ryzyka dotyczą też indywidualnego inwestowania w nieruchomość. Dodatkowo cała zbiórka może być oszustwem. To jednak stosunkowo niewielkie ryzyko. Platformy, na których są one organizowane, działają pod kontrolą Komisji Nadzoru Finansowego i same weryfikują prowadzone za ich pomocą zbiórki. Należy jednak zachować ostrożność, czytać i analizować otrzymane dokumenty, sprawdzać w internecie osoby odpowiedzialne za projekt itd. Ale to dotyczy wszelkich form inwestowania. ●

Mariusz Borowik

Wspólnie można #Więcej

O grze w „Monopoly” na prawdziwe pieniądze, pierwszych sukcesach na rynku nieruchomości i budowaniu wspólnoty inwestorów rozmawiamy z Michałem Walaskowskim, jednym z twórców innowacyjnego projektu.



Założyciele:
Kamil Michalik, Adrian Gorzycki, Michał Golasiński,
Bartosz Kolanek i Michał Walaskowski

Czym jest #WIĘCEJ i na czym polega proponowany przez Was model biznesowy?

MICHAŁ WALASKOWSKI: Najprościej mówiąc, #WIĘCEJ to platforma łącząca ludzi, którzy chcą inwestować w nieruchomości, ale mają za małe środki, by robić to samodzielnie, lub nie chcą całego kapitału lokować w jednym projekcie. Dzięki nam mogą oni za niewielką sumę nabywać udziały w danej spółce, która jest właścicielem nieruchomości. W ten sposób takie inwestowanie staje się równie łatwe, jak kupienie domu w grze „Monopoly”. A właściwie łatwiejsze, bo nie ma tu rzutu kostką, który może zniweczyć plany gracza.

Tyle że w grze płacę papierkami, a w życiu...

Oczywiście, dlatego dołożyliśmy

wszelkich starań, by cały proces był jak najbardziej przejrzysty, prosty i jednocześnie łatwy do kontrolowania. Zależy nam na tym, by nasi partnerzy mieli poczucie bezpieczeństwa, a jednocześnie mogli z nami budować swój dochód pasywny i chronić pieniądze przed inflacją, która w ostatnich latach znowu zaczęła rosnąć.

Skoro mówimy o budowaniu, to macie już pierwsze sukcesy, prawda?

Rzeczywiście, #WIĘCEJ wystartowało w bardzo udany sposób, gromadząc w ciągu miesiąca blisko 1700 inwestorów, deklarujących łącznie wpłatę kapitału ponad 50 mln zł. Nasz pierwszy wspólny cel to Kołtąja 4. Czteropiętrowy, w pełni wyposażony apartotel w Gdańsku, położony w pełnej sklepów, kawiarni i restauracji, tętniącej życiem okolicy. Przy-

stosowany jest zarówno do najmu krótko-, jak i długookresowego, co wraz z doskonałą lokalizacją sprawia, że już dziś przynosi ponad 700 000 zł dochodu rocznie.

Zaskoczyła mnie liczba Waszych inwestorów. Naprawdę jest ich tak wielu?

W tej chwili dokładnie 1680 osób. I to chyba najlepiej pokazuje sensowność naszej inicjatywy, a także to, że rynek potrzebuje takich rozwiązań. Polacy zawsze byli przedsiębiorczy, a nasze nieruchomości wciąż mają ogromny potencjał inwestycyjny. Problemem jest jednak bardzo wysoki próg wejścia na ten rynek. Przecież kupno mieszkania czy domu to ogromny wydatek. Tymczasem łatwo można policzyć, że nasi inwestorzy deklarują przeciętnie wkład na poziomie nieco ponad 29 000 zł, a więc dostępnym dla niemal każdego.

A co Panu najbardziej podoba się w #WIĘCEJ?

Może będzie to zaskakujące, ale nie sam biznes, tylko ludzie. Stworzyliśmy dla naszych inwestorów zamknięte grupy, w których mogą wymieniać się doświadczeniami, wiedzą czy ciekawymi kontaktami. Mamy też spotkania, na których są zawierane znajomości i prowadzone bardzo fajne rozmowy. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że w ten sposób stajemy się, jeśli nie rodziną, to na pewno prawdziwymi partnerami. I mnie akurat właśnie to cieszy najbardziej. ●

INTEL SIĘ WYCOFUJE

MIKROPROCESORY I WIELKIE KŁOPOTY

Miliony złotych wydane na przygotowanie terenu pod budowę i tysiące roboczogodzin na opracowanie wniosku o pomoc publiczną idą na marne. Z powodu problemów finansowych Intel odwołał wielką inwestycję pod Wrocławiem

TEKST RADOSŁAW OMACHEL

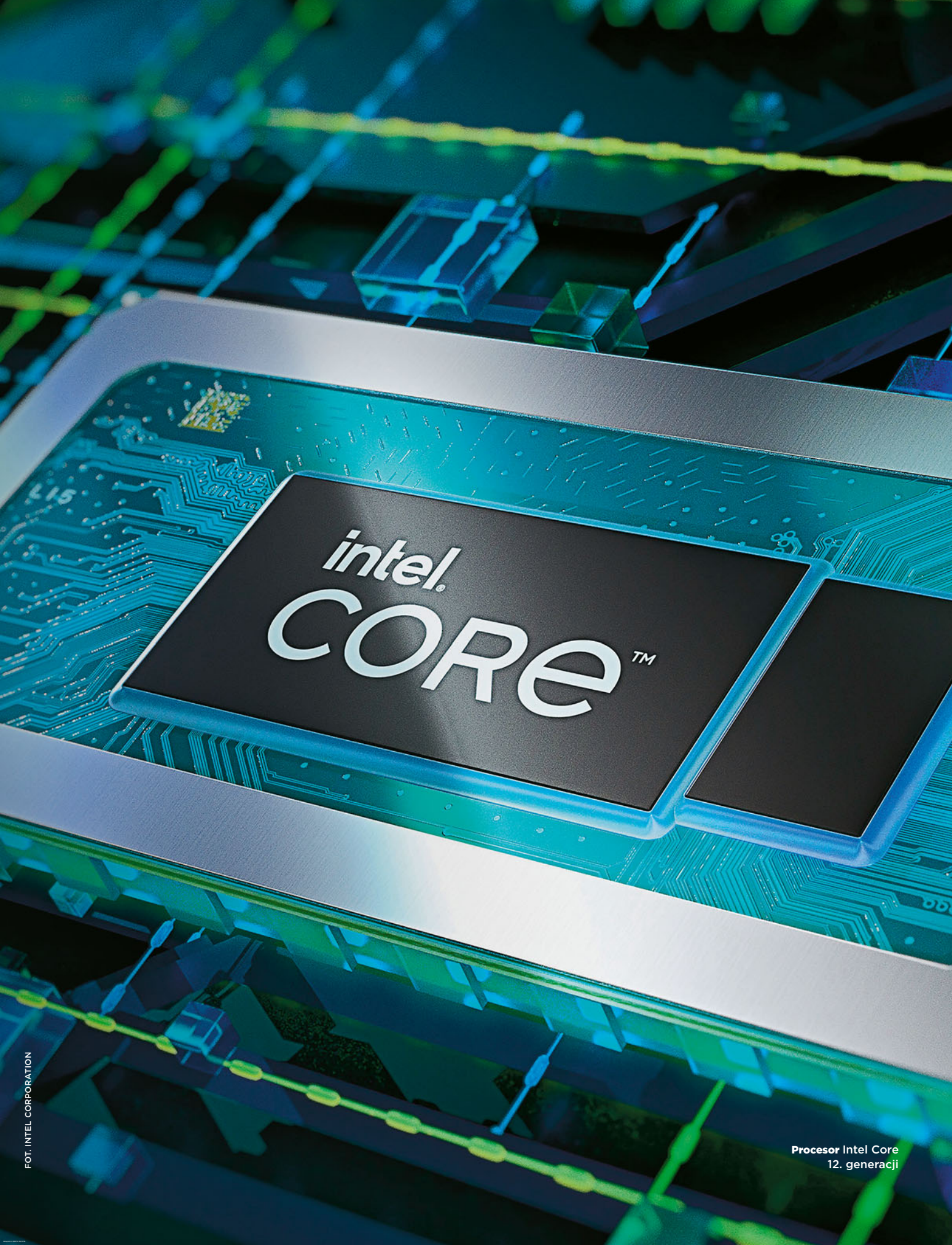
Tu na razie jest ściernisko... i na razie tak pozostanie. Na ogromnej, liczącej 300 hektarów działce w Miękini miała powstać najnowocześniejsza fabryka w Polsce i jedna z najważniejszych inwestycji typu greenfield w III RP. Rok temu z okładem amerykański producent układów scalonych i procesorów z rodziny x86, które zdominowały rynek komputerów osobistych, uzgodnił z polskim rządem wstępne warunki wybudowania pod Wrocławiem zakładu zajmującego się obróbką wafli, czyli plastrów krzemu, na których powstają mikroprocesory. Zakład jednak nie powstanie. Dla Polski to coś więcej niż utrata dwóch tysięcy dobrze płatnych miejsc pracy.

WYŚCIG ZBROJEŃ

W OPUBLIKOWANYM KILKANAŚCIE DNI TEMU, a zamówionym przez Komisję Europejską raporcie o potencjale unijnej gospodarki, Mario Draghi, były szef Europejskiego Banku Centralnego, a potem premier Włoch, snuje mało optymistyczną dla UE wizję przyszłości. Europejska gospodarka co najwyżej średnio poradzi sobie z deglobalizacją, czyli powrotem do większej gospodarczej niezależności.

Bolesna nauczka z czasów pandemii, kiedy uzależnienie Europy od dostaw niektórych wrażliwych towarów kosztowało kraje członkowskie utratę setek miliardów euro, niby zmusiła Komisję Europejską do zmian. Ale o ile rosyjska napaść na Ukrainę skutecznie zmobilizowała do szukania alternatywnych kierunków pozyskania nośników energii, o tyle wdrożone przez Brukselę oraz same kraje członkowskie rozwiązania na rzecz poprawy innowacyjności na razie rezultatów nie przynoszą.

Żeby zabezpieczyć unijną gospodarkę przed niedoborem chipów, z którym kraje członkowskie zderzyły się w trakcie pandemii, Bruksela wprowadziła wart 43 mld euro pakiet zachęt do inwestycji w tym obszarze. Podobny ruch wykonała zresztą administracja Bidena. Jeszcze trzy dekady temu USA wyraźnie dominowały na rynku różnej maści układów scalonych dzięki rozwiązaniom narzucanym przez Intela i AMD. Dziś lwia część produkcji zaawansowanych chipów, stosowanych już nie tylko w komputerach, ale też setkach urządzeń codziennego użytku: od telewizorów po samochody, powstaje na Dalekim Wschodzie, gdzie koszty pracy i energii są wyraźnie niższe. Na rynku półprzewodników królują dziś chińskie, koreańskie, a przede wszystkim tajwańskie firmy z dominującym technologicznie koncernem TSMC na czele.

A close-up, artistic photograph of an Intel Core processor. The processor is a dark, rectangular chip with the 'intel. CORE™' logo in white. It is mounted on a blue circuit board with intricate patterns. The background is a blurred, futuristic network of glowing blue and green lines, suggesting data flow and connectivity. The lighting is dramatic, highlighting the metallic edges of the processor and the fine details of the circuitry.

intel.
CORE™

Procesor Intel Core
12. generacji

PIENIĄDZE NA STÓŁ!

W RAMACH ZAORDYNOWANEJ PRZEZ ADMINISTRACJĘ BIDE-NA kuracji wzmacniającej producentów chipów kwotą ponad 52 mld dol. (plus 170 mld w ulgach podatkowych) amerykańskie firmy miały wrócić do światowej czołówki. W zastrzegających się tarcjach gospodarczych półprzewodniki to broń równie ważna co amunicja i czołgi. Dlatego wiosną 2023 r. Intel, najważniejsza amerykańska firma z tej branży, ogłosił plany budowy nowych zakładów produkcyjnych.

Kosztów aż 25 mld dol. miał zostać rozbudowany zakład w Kiryat Gat w Izraelu. Intel już teraz zatrudnia tam 12 tys. osób, a że ekipa Benjamina Netanjahu sygnęła groszem na kolejną fabrykę krzemowych wafli, oferując Amerykanom 3,2 mld dol. dotacji, liczba pracowników miała wzrosnąć do 15 tys.

Dwa zakłady Intela miały stanąć w Magdeburgu w centralnych Niemczech. Tu, podobnie jak w Kiryat Gat, też miały powstawać wafle krzemowe. Tego typu produkcja, nawet jeśli obecnie technologicznie o krok z przodu są Tajwańczycy, to absolutna awangarda. Dlatego Niemcy, po długich negocjacjach, zgodzili się dopłacić do wartej w sumie 33 mld euro inwestycji prawie 10 mld subwencji.

POLSKI AKCENT

FINALNY ETAP PRODUKCJI, czyli obróbka i testowanie gotowych chipów z Magdeburga, a także z działającej już fabryki Intela w Irlandii, miały odbywać się w nowym zakładzie. Polacy o tę inwestycję rywalizowali między innymi z Włochami i ostatecznie to polska oferta ten swoisty przetarg wygrała. Kosztem ok. 20 mld zł miał we Wrocławiu powstać zakład zatrudniający 2 tys. osób. Podatnik miał dopłacić do budowy nieco ponad 7,3 mld zł. Obróbka to nie to samo co produkcja, ale w zamian za owe miliardy Polska miała wejść do łańcucha dostaw w niezwykle zaawansowanej technologicznie branży. Budowa kadr i doświadczenia z czasem mogły zaowocować kolejnymi tego typu inwestycjami. Prognozy wskazują, że w przewidywalnej przyszłości ogromny już teraz rynek półprzewodników może wzrosnąć nawet dziesięciokrotnie.

PIĄTEK TRZYNASTEGO

– CHCEMY, ŻEBY POLSKA SIĘ ROZWIJAŁA – mówił w czerwcu 2023 r. na raucie przy podpisaniu porozumienia w sprawie budowy zakładu Intela Mark Brzeziński, ambasador USA w Polsce. Fabryka miała powstać w ciągu czterech lat, a jednym z najbardziej wymagających etapów było uzyskanie zgody Komisji Europejskiej na miliardy pomocy publicznej dla amerykańskiej firmy. Dlatego już w wakacje ubiegłego roku ruszyła procedura prenotyfikacyjna, intensywne polsko-amerykańsko-unijne konsultacje, które miały z kolei przygotować grunt pod procedurę notyfikacyjną, czyli zasadniczą część zabiegów o zgodę Brukseli na wsparcie fabryki publicznymi pieniędzmi. Prace zakończyły się kilka tygodni

temu. 13 września, w piątek, Polska ogłosiła gotowość do złożenia wniosku o pomoc publiczną. – Polska dostała zielone światło na pomoc publiczną dla fabryki Intela w naszym kraju – mówił na okolicznościowej konferencji prasowej Krzysztof Gawkowski, wicepremier i minister resortu cyfryzacji.

Kilkadziesiąt godzin później o rozmowę online poprosił Gawkowskiego Pat Gelsinger, prezes Intel Corporation. W trakcie niedzielnego połączenia poinformował, że firma wstrzymuje zaplanowane inwestycje w Polsce i w Niemczech. Na plus minus dwa lata. Już wcześniej Gelsinger informował, że także budowa nowego zakładu w Izraelu została zawieszona.

Pomimo fantastycznej koniunktury na rynku półprzewodników pod względem czysto rynkowym, wspieranym dodatkowo miliardami euro i dolarów pomocy publicznej (wielką fabrykę chipów buduje właśnie w Dreźnie wspomniane tajwańskie TSMC), Intel wpadł w gigantyczne kłopoty finansowe.

**W PÓŁ ROKU
GIEŁDOWA WARTOŚĆ
INTELA SPADŁA
O POŁOWĘ,
W OKOLICĘ
100 MLD DOL.
TAJWAŃSKI TSMC
WYCENIANY JEST
PRZEZ INWESTORÓW
SIEDM RAZY
DROŻEJ**

DRUGI BOEING

KILKA LAT TEMU AMERYKAŃSKI BOEING miał przed sobą fantastyczne perspektywy. Oszczędne wersje szerokokadłubowych 777 i 777 wygrały konkurencję z europejskim gigantem Airbusem A380. Na liniach regionalnych triumfy święciły kolejne ewolucje najpopularniejszego i najbardziej bezawaryjnego samolotu pasażerskiego w historii, czyli 737. A linie lotnicze za sprawą rosnącego ruchu ustawiały się w wieloletnich kolejkach po nowe maszyny. A potem przyszedł rok 2018, kiedy w odstępie pół roku doszło do katastrof najnowszej wersji 737, czyli wersji Max. W wypadkach indonezyjskich Lion Air i Ethiopian Air zginęło w sumie 346 osób. Zdarzyło się coś, co nie miało prawa się zdarzyć. Ale mogło. Śledztwo, które ruszyło po tych katastrofach, nie tylko zrujnowało wizerunek amerykańskiego producenta, na lata uziemiło dziesiątki wyprodukowanych już Ma-

xów i naraziło firmę na niepowetowane finansowe straty. W dodatku ujawniło zadziwiającą nonszalancję zatrudnianych przez Boeinga inżynierów i kontrolerów jakości.

Skutki katastrof komunikacyjnych trudno wprost porównywać z awariami komputerów, ale pod względem biznesowym Intel też dokonał czegoś, co nie miało prawa się wydarzyć.

Przeciętnemu użytkownikowi komputerów Intel może sięajarzyć z rodziną procesorów x86, bodaj najpopularniejszymi procesorami używanymi od połowy lat 80. w komputerach osobistych. Przez dekady to amerykański producent i nadążający za nim konkurent AMD narzucali standardy produkcji układów scalonych dla przemysłu informatycznego.

WADY UKRYTE

PIERWSZE ZWIASTUNY, że z produktami firmy dzieje się coś niedobrego, znane są od wiosny. W sieci pojawiły się doniesienia użytkowników stacjonarnych PC-tów, przede wszystkim fanów gier,



Wizualizacja przedstawia najnowocześniejszy zakład montażu procesorów Intela, który miał powstać we Wrocławiu

z których wynikało, że najnowsze procesory Intela 13. i 14. generacji bywają niestabilne, niektóre gry lubią się zawieszać, w trakcie użytkowania na ekranach komputerów pojawiały się „blue screeny” sygnalizujące krytyczne błędy w działaniu systemu operacyjnego. Z Korei donoszono o rosnącej liczbie użytkowników próbujących reklamować najnowsze procesory Intela.

Firma próbowała zrzucić winę na producentów płyt głównych do PC, podejrzewając, że dla podkreślenia wydajności procesory otrzymują zbyt wysokie napięcie. Intel zasugerował producentom płyt rygorystyczne stosowanie się do jego technicznych wytycznych. To jednak nie rozwiązało problemu, a doprowadziło jedynie do ograniczenia wydajności pracy procesorów.

Prawdziwa bomba wybuchła w lipcu, kiedy jeden z menedżerów Alderon Games, renomowanego studia produkującego gry komputerowe, publicznie oświadczył, że najnowsze procesory Intela wykorzystywane w firmowych serwerach są wadliwe. Z opisu wynikało, że sprawne początkowo procesory z czasem ulegają awarii i na sto stosowanych przez Alderon Games urządzeń Intela taki problem dotyczy... stu. W związku z powyższym firma zaczęła wymieniać procesory Intela na sprzęt AMD i to samo zarekomendowała użytkownikom swoich gier.

Niedługo potem podobne w treści oświadczenie wydał inny producent gier, Digital Extreme, a następnie jeden ze specjalistów od cyfrowych efektów specjalnych.

KATASTROFA

POD KONIEC LIPCA INTEL PRYZNAŁ W KOŃCU, że problem leży po jego stronie. Ale nie do końca. Rzecznik firmy informował, że przyczyną awarii jest podwyższone napięcie robocze i że na dniach przygotowany zostanie poprawiony algorytm, który kwestie awaryjności rozwiąże.

Tyle że jednocześnie ruszyły niezależne śledztwa wskazujące, że ów błąd wykryty przez Intela prowadzi z czasem do degradacji technicznej mikroprocesora. Mało tego, część urządzeń 13. i 14. generacji, konkretnie 8 mln sztuk, ma wadę fabryczną, która polega na stopniowym utlenianiu się miedzianych ścieżek, co prowadzi do spadku wydajności procesora.

Intel ogłosił co prawda, że obejmie wadliwe urządzenia dodatkową dwuletnią gwarancją, ale niesmak pozostał. Firma nadal nie

informowała, które serie podatne są na utlenianie, nie wytłumaczyła, co stanie się z odrzucanymi wcześniej reklamacjami, kto zapłaci użytkownikom, którzy musieli na własny koszt wymienić procesory. Na potężnym bałaganie najbardziej skorzystał AMD. A utraconych klientów niełatwo będzie odzyskać.

W ciągu pół roku giełdowa wartość Intela spada o połowę, w okolice 100 mld dol. Dla porównania: TSMC wyceniany jest przez inwestorów na siedem, a AMD – na dwa razy więcej. Ogłoszone latem przez Patę Gelsingera plany zwolnienia 15 tys. z ponad 100 tys. pracowników na całym świecie nie uspokoiły rynkowej sytuacji. Wyniki finansowe firmy na razie nie są katastrofalne, ale wyniki kryzysu pojawią się w sprawozdaniach dopiero w kolejnych kwartałach. Dodatkowo w Stanach rusza właśnie kilka dużych procesów zbiorowych, spore odszkodowania trzeba wpisać w rezerwy. Dlatego we wrześniu firma uprzedziła akcjonariuszy, że po raz pierwszy od lat nie wypłaci dywidendy i wstrzyma wszystkie większe inwestycje. Stąd telefon prezesa do ministra Gawkowskiego.

JAK NIE INTEL, TO KTO?

W MIĘKINI POD WROCŁAWIEM nadal nie mogą w ten scenariusz uwierzyć. Niby inwestycja została tylko zawieszona na dwa lata, ale w tej branży to cała epoka. Nadzieje, że Intel wróci ze swoimi dolarami są, ale nikłe. Urzędnicy z Warszawy, którzy do niedawna pracowali przy projekcie, przebąkują coś o szansach na wejście w łańcuch dostaw dla powstającej w Dreźnie fabryki TSMC, ale to na razie science fiction.

Na placu budowy przygotowania do inwestycji trwają. Tej albo innej. – Intel jest jednym z potencjalnych inwestorów i opóźnienie przez niego harmonogramu nie wstrzymuje prac prowadzonych przez gminę – mówi Marcin Szuchta, wiceburmistrz podwrocławskiej gminy. Powstaje stacja uzdatniania wody, osiem ujęć głębinowych, nowe drogi i lokalna oczyszczalnia ścieków. Na realizację tych zamierzeń Miękinia pozyskała z ułożonego jeszcze przez ekipę Mateusza Morawieckiego Planu Inwestycji Strategicznych ponad 400 mln zł. Pieniądze nie mogą się zmarnować. **N**

radoslaw.omachel@newsweek.pl

ATAK PANIKI

Katarzyna Kasia

Nuda i Niemcy



Piszę tu sobie o różnych sprawach, na ogół szukając inspiracji w koronkowej złożoności otaczającego mnie świata. Napotykam na swojej drodze tematy trudne, czasem trafiają się złejsze, takie, z których wypada się pośmiać. Zdarza się, że jak ostatnio, potrzebuję powagi i poczucia, że w obliczu katastrofy ukojenie przyniosą mi mądrzy, szlachetni ludzie dzierżący stery władzy. Włączam więc z nadzieją transmisję z poświęconego analizie sytuacji powodziowej posiedzenia Sejmu i co znajduję? Nudę. Bezbrzeżną, nieograniczoną, połykającą wielkimi ziewnięciami, wysysającą poczucie sensu nudę.

Z jednej strony mamy tragedię, której rozmiary tak naprawdę poznamy dopiero wtedy, kiedy wody opadną i straty zostaną oszacowane. Z drugiej zaś, słyszymy do bólu przewidywalne polityczne komentarze, festiwałe oskarżeń oświetlane fajerwerkami pomówień. Można oczywiście całkiem nieźle się pobawić, przewidując, co kto powie z sejmowej mównicy. Można posłuchać Mateusza Morawieckiego i odpowiedzieć sobie na pytania, czy mi go brakowało, czy też w mniejszych niż premierowskie dawkach wypada ciekawiej (odpowiedź na oba pytania, napiszę to jednak na wszelki wypadek, brzmi „nie”). Można liczyć, ile razy opozycja powtórzy dość topornie wyrwane z kontekstu zdanie premiera Donalda Tuska o prognozach. Jednak w tyle głowy cały czas pobrzmiwają echa pytania „serio?”. Naprawdę na nic więcej państwa nie stać?

Czy w tej sytuacji rzeczywiście najważniejsze jest wypinanie rachitycznych piersi do orderów i zastanawianie się nad tym, kto wybudował zbiornik Racibórz Dolny? Już by państwo lepiej sobie poczytali listy dziękczynne, jakie do tego obiektu piszą ludzie na Google Maps: „Ufam temu zbiornikowi bardziej, niż niektórzy ufają swojej żonie” albo „Pod ochronę twoich wałów się udajemy”. Są tam też takie wpisy jak ten od ekipy EkstraMisja: „Droga Zaporowa Przeciwpowodziowa, chcielibyśmy złożyć serdeczne podziękowania za to, że potrafiłaś »trzymać wodę« lepiej, niż my trzymamy nasze noworoczne postanowienia. Twoja nieustępliwość wobec zwiolów jest imponująca – żadna fala nie ma z Tobą szans! Dzięki Tobie możemy spać spokojnie, bez myśli o nagłym przypiływie w salonie. Jesteś prawdziwym mistrzem w dziedzinie »nawadniania na dystans« – blisko, ale jednak daleko! Takich wałów w Polsce nam trzeba. Tak trzymaj i nie pękaj!”.

Internautki i internauci nie mają problemu z wdzięcznością wobec wszystkich, dzięki którym obiekt powstał,

włączając w to także ludzi, którzy zostali przesiedleni z terenów, na których został zbudowany. Można, serio, da się. Tak samo jak można było bez spania przez wiele długich dni napełniać piaskiem worki i wzmacniać przeciwpowodziowe wały bez sprawdzania, kto ma jaki napis na koszulce.

Konia z rządem temu, kto będzie mieć odwagę wywrwać się z dynamiki koalicja-opozycja na tyle, by wypowiedzieć własne zdanie, wychodzące poza doraźne polityczne bredzenie. To się robi konieczne, bo naprawdę potrzebujemy takiej polityki, która zacznie się wreszcie opierać na myśleniu w kategoriach długiego trwania, a nie aktualnostek zmieniających się ciągle jak w pokręconym kalejdoskopie, w którym ktoś wcisnął guzik „fast forward”. Tym bardziej mnie niepokoi, rozczarowuje, a nawet obrzydza to, że poza nudną przewidywalnością nieistniejącego dialogu (w którym, kiedy jedni mówią, drudzy opuszczają salę, bo tylko do swoich warto mówić, tylko swoi są warci uwagi, tylko swoim się bije brawo) wychodzą jedynie ekstremiści, którzy – jak postowie Jakubiak czy Mentzen – za najważniejsze uznali natychmiastowe powołanie komisji śledczej do spraw zbadania wpływów niemieckich w polskiej polityce.

Potrzebujemy polityki, która zacznie się wreszcie opierać na myśleniu w kategoriach długiego trwania, a nie aktualnostek zmieniających się jak w pokręconym kalejdoskopie

Z napięciem obserwuję zresztą ewolucję tej koncepcji, bo zaczęło się od ulubionego hasła Konfederacji, że „oni wszystko zepsuli, a myśmy jeszcze nie rządzili” i jeszcze we wtorek proponowano powołanie komisji śledczej, która miałaby zbadać wszystkie zaniedbania, jakich na przestrzeni ostatnich niemal 30 lat dopuściły się kolejne rządy, nie dbając o zapewnienie Polkom i Polakom bezpieczeństwa w razie powodzi. Pomysł jednak jakoś się nie przebił, postanowiono więc zostrzyć plany i zaproponować zbadanie sprawy w wariantcie rozszerzonym, czyli znaleźć niemieckich agentów. Nie powinno nam to nastręczyć wielu trudności, bo poseł Mentzen wskazał, iż kryją się oni w organizacjach ekologicznych i wzywają do ochrony klimatu. Przewrotny naród ci Niemcy – jak tak dalej pójdzie, zaczną sprawdzać, czy naprawdę segregujemy śmieci, będą nam gasić światło i zakręcać wodę. Hańba. **N**

Katarzyna Kasia – filozofka, wykładowczyni akademicka, publicystka związana z TVP Info, „Kulturą Liberalną” i Radiem Nowy Świat

ZIELONY Newsweek[®] POLSKA

AI pożera
masę prądu

ESG – eko-
spowiedź firm

Zielony ład
na rynku
nieruchomości

AKCJA
CZYSTA
WISŁA

EKOŻYCIE
z Dominikiem Dobrowolskim
**WISŁA I ODRA
DO NAPRAWY**

FOT. OLA SKOWRON/DZIEN DOBRY TVN/EAST NEWS

Dodatek w komercyjnej współpracy z Nest Bankiem

Nest!
BANK



Ekożycie
z Dominikiem
Dobrowolskim

Akcja „Czysta Wisła”

11 530 wolontariuszek i wolontariuszy zebrało w minionym roku 9650 worków z odpadami z Wisły i jej dopływów. W tym roku więcej jest wolontariuszy – ponad 22 tys. i niestety śmieci – ponad 32 tys. worków – mówi Dominik Dobrowolski, aktywista ekologiczny z Wrocławia, twórca ogólnopolskich akcji „Czysta Wisła” i „Czysta Odra”

ROZMAWIA KATARZYNA BURDA

EKOŻYCIE Z DOMINIEM DOBROWOLSKIM

NEWSWEEK:

Na przełomie lipca i sierpnia tego roku w pięć dni pokonałeś w kajaku i na rowerze ponad 1000 km od źródeł Wisły do jej ujścia. Domyślam się, że nie bez powodu?

DOMINIK DOBROWOLSKI:

Z kajaka i roweru najlepiej widać, gdzie Wisła potrzebuje posprzątania i troski. To nie była pierwsza moja taka podróż. Przemierzam tę trasę regularnie od kilkunastu lat, ale drugi rok z rzędu nagłaśniam w ten sposób akcję „Czysta Wisła”.

Podczas takich spływów zatrzymuję się w miastach i miasteczkach, rozmawiam z ludźmi, tłumacząc im ideę akcji i przyjmując zgłoszenia do niej. W tym roku spotkałem się ze wspaniałymi ludźmi, działającymi na rzecz Wisły, i 30 sierpnia mogliśmy zjednoczyć nasze wysiłki na rzecz królowej naszych rzek i rozpocząć 2. edycję akcji wspólnego sprzątania terenów nadwiślańskich i samej rzeki.

Skąd pomysł na akcję „Czysta Wisła”?

– Moją pierwszą akcją ekologiczną związaną z wodą był „Cycling Recycling”, kiedy w 2010 r. objechałem na rowerze całe Morze Bałtyckie. Wtedy założyłem nawet stronę www.cycling-recycling.eu, na której do tej pory opisuję moje ekologiczne projekty. Później zacząłem wioślować po polskich i europejskich rzekach, organizując „Recykling Rejsy”. W latach 2020-2022 wędrowałem przez Polskę i sprzątałem w ramach ekologicznych odysei: bałtyckie plaże od Świnoujścia do Piasków na Mierzei Wiślanej,

góry od Bieszczad po Sudety i Wisłę od Baraniej Góry aż po ujście. Jakies 30 tys. km już za mną, a także kilka przebitych opon, zdartych par butów i połamanych wioseł, ale najważniejsze, że pozbierałem z przyjaciółmi tony śmieciaków, które już nie zatrzuwają rzek i mórz. W 2022 r. zorganizowałem pierwszą międzynarodową akcję z Czechami, Niemcami i Polakami na Odrze, którą powtarzamy każdego roku na wiosnę. W lecie natomiast sprzątamy Wisłę.

Dużo ludzi bierze w tym udział?

– Coraz więcej. Obie akcje zataczają coraz szersze kręgi. W akcji „Czysta Wisła” w 2023 r. wzięło udział 11 530 wolontariuszek i wolontariuszy z 72 gmin i miejscowości. Zebraли 9650 worków z odpadami ważącymi 110 ton. W tym roku już ponad 22 tys. wolontariuszy sprząta Wisłę i jej dopływy. Działamy do końca września. Jest więcej ludzi i niestety też więcej śmieci zbieramy. W ciągu dwóch tygodni to już ponad 32 tys. worków ze śmieciami, które zgłosili terenowi uczestnicy akcji.

Sam to wszystko koordynujesz? Czy wyznaczasz do tego ludzi?

– Słowo „wyznaczać” nie jest tu odpowiednie. Mam regionalnych koordynatorów, którzy lokalnie ogarniają akcje. Ale ja ich nie wyznaczam, to z reguły są moi dobrzy znajomi, z którymi od lat podejmujemy różne ekologiczne przedsięwzięcia i po prostu działamy wspólnie, zupełnie dobrowolnie i bez sformalizowanej hierarchii. Nie jestem szefem, który mianuje swoich podwładnych, ale raczej człowiekiem, który inicjuje różne akcje i daje ludziom przestrzeń do przyłączania się do nich. Na przykład na odcinku górnej Wisły w okolicach Krakowa koordynatorem jest lokalny działacz i społecznik, Krzysztof Adamski, a w okolicach Nowego Sącza „Czystą Wisłę” koordynuje Bartek Niemiec ze stowarzyszenia Wyznaczamy Nowe Kierunki, działacz ekologiczny i dziennikarz Radia Kraków. W Puławach to stowarzyszenie Razem dla Puław z Beatą Kozik na czele, w Lublinie to Mateusz Piekarski ze stowarzyszenia Czysty Lublin, na Kujawach harcerka ZHP Mariola Czerwińska. I tak dalej, ze wszystkimi koordynatorami znamy się od lat i mamy do siebie zaufanie. Współpracuję z lokalnymi organizacjami, z harcerzami, z ochotniczymi strażakami pożarnymi, z wodniakami, z WOPR, z sołectwami, gminami.

Jak to finansujecie? Przecież potrzebne są worki, rękawice – ludzie kupują to sami?

– Czasami tak, czasami nie. Wszystko w tej akcji opiera się właśnie na regionalnych i lokalnych koordynatorach. Głównym sponsorem, ale i partnerem akcji „Czysta Wisła” i „Czysta Odra” jest bank Crédit Agricole, ale są też bardzo liczni lokalni partnerzy biznesowi. Dzięki pomocy banku

stworzyliśmy fundusz wsparcia, dysponujący niewielkimi grantami po 500 zł, które trafiają do lokalnych grup sprzątających. Korzystają z niego setki organizacji. Za te pieniądze ludzie sobie kupują chwytaki, worki, rękawice, czasami robią jakieś ognisko po akcji lub funduje się pizzę dla uczestników. WOPR kupuje paliwo do motorówek, żeby pływać po rzekach, ktoś kupuje podbieraki, czasem przydają się kalosze. Okazało się, że formuła takich mikrograntów świetnie się sprawdza i bardzo skutecznie wspiera lokalne inicjatywy.

Sprzątana jest Wisła na całej długości?

– Tak, mamy już sztaby lokalne na całej długości rzeki, chociaż zawsze przydałoby się więcej rąk do sprzątania. Mieliśmy cykl akcji w Wiśle, a nawet nad Jeziorem Czernańskim, gdzie łączą się Biała i Czarna Wisłoka, czyli można powiedzieć: sprzątałyśmy źródła. Mamy mnóstwo akcji nad morzem i w Mikoszewie, gdzie Wisła uchodzi do Bałtyku. Tam w rezerwacie na Mewiej Łasze spotkaliśmy się 13 września z uczniami z lokalnej szkoły, z przedstawicielami gminy Stegna, RDOŚ z Gdańska, z Błękitnym Patrolem WWF oraz mieszkańcami tej okolicy. Tam bardzo dobrze widać, jak strasznie dużo śmieci spływa rzekami do Bałtyku – potem one są wyrzucane na plaże w czasie sztormów.

Kiedy latem płyniesz Wisłą kajakiem czy jedziesz blisko niej rowerem, to jakich śmieci jest najwięcej?

Czy coś się zmieniło na przestrzeni tych kilkunastu lat?
– Tak, z kajaka, z poziomu żaby widać dobrze, co płynie naszymi rzekami i co potem musimy zbierać z jej brzegów. To przede wszystkim opakowania plastikowe, najróżniejsze, butelki, pudełka, torebki. I to jest kwestia braku w Polsce jednolitego systemu kaucyjnego, który zmobilizowałby ludzi do oddawania plastików i innych opakowań po napojach do sklepów, tak jak to robi 180 mln Europejczyków w 16 krajach. Teraz liczby są porażające. Rocznie produkujemy 5 mln ton śmieci opakowaniowych. 2 mln ton to są tworzywa, kolejne 2 mln to papier i metal. Reszta to są wielomateriałowe opakowania czy puszki. W Niemczech 95 proc. odpadów z opakowań wraca do sklepów, a u nas nie jesteśmy w stanie się przebić przez szklany sufit, czyli zwiększyć recyklingu powyżej progu 30 proc. A to oznacza, że 70 proc. tego wszystkiego trafia do śródowniska. Na wysypiska, dzięki składowiska, do rzek. Mnóstwo znajdujemy też starych opon, co jest bardzo dziwne.

Dlaczego?

– Bo w Polsce zużyte opony można bezpłatnie oddawać do PSZOK, czyli lokalnych punktów selektywnej zbiórki odpadów komunalnych. Ale ludzie tego nie robią, co więcej, jak wynika z badań, które zrobiła firma Oponeo, około 40 proc. ludzi w Polsce nie wie, że „pszoki” w ogóle istnieją i można tam cokolwiek oddawać. Wyrzucają więc opony



nad rzekę, do rzeki, do lasu, do rowu. A czy nie dałoby rady zrobić na przykład dużej kampanii promocyjnej w Polsce, że są „pszoki”, że można tam bezpłatnie oddać opony? Proszę, można tak to komunikować: „Słuchaj, kolego, nie idź do lasu w kapturze w nocy z oponą, tylko z podniesioną przyłbicą. Pojeźdź o świcie do PSZOK i oddaj bezpłatnie swoje opony”. To załatwiłoby może problem tysięcy starych opon zatrujących środowisko.

Może pomogłyby wyższe kary dla śmieciących?

– Oczywiście. Obecnie te kary są zbyt niskie, a i wykrywalność takich przestępstw – gdy ktoś w nocy podjechał ciężarówką nad rzekę i zrzucił tonę odpadów – bardzo niska. Może właśnie trzeba zaostrzyć prawo, a nie polegać na tysiącach wolontariuszy, sprzątających cudze śmieci.

EKOŻYCIE Z DOMINIEM DOBROWOLSKIM

Ja, Dominik Dobrowolski, wcale nie chcę sprzątać Wisły, chcę po niej pływać i cieszyć się nią, że jest czysta.

W tym roku ludzie wychodzili nad Wisłę i łapali się za głowę, co zalega na jej dnie – rekordowo niski poziom wody w rzece odsłonił to, czego zazwyczaj nie widzimy.

– Tak niskie poziomy rzek stanowią ogromny problem ekologiczny, bo im mniej wody w rzece, tym większe stężenie zanieczyszczeń. Bo problemem polskich rzek nie są oczywiście tylko śmieci, ale również ścieki, zanieczyszczenia, które płyną wraz z wodą. W połączeniu z coraz wyższą temperaturą daje to katastrofalne rezultaty, jak na przykład ekologiczny dramat, jaki rozegrał się na Odrze w 2022 r. czy w tym roku na jeziorze Dzierżno, po spuszczeniu solanki przez kopalnie i zakwicie złotych alg. To samo zresztą zdarzyło się w tym roku we wrześniu na Wiśle za Niepołomicami.

Nie można zakazać kopalniom zrzutów solanki lub nakazać oczyszczania wody?

– To spuszczenie solanki jest gigantycznym problemem, nie tylko dla Odry, na razie – jak się wydaje – nierozwiązywalnym. Kopalniane solanki to jest główne źródło zanieczyszczenia metalami ciężkimi i solą zarówno Wisły, jak i Odry. A w związku z tym, że Wisła jest na tym środkowym odcinku dosyć naturalną rzeką i ma duże zdolności samooczyszczania, to ona łatwiej sobie radzi z takimi toksynami niż Odra, która jest skanalizowa-

dernizować produkcję, żeby woda, którą zrzucą, była czysta – bo przecież sama będzie ją kawałek dalej pobierać. Są proste systemowe rozwiązania, które pomogłyby rzekom.

Może przynajmniej nasze miejskie oczyszczalnie nie przykładają się do degradacji rzek?

– Niestety, przykładają się. Dobry czas dla polskich rzek był w latach 90. XX w., bo wtedy zaczęto budować kanalizację i oczyszczalnie ścieków, których wcześniej nie było. Ale teraz te oczyszczalnie są już nadgryzione zębem czasu, słabo działają, dopuszczają tak zwane zrzuty techniczne. I mamy z tym do czynienia nie tylko w Warszawie na Wiśle, ale na wielu mniejszych rzekach, gdzie w przypadku nawalnych opadów deszczu oczyszczalnie nie wyrabiają się i zaczynają zrzucić ścieki bez oczyszczania. Powodzie, które w połowie września nawiedziły Dolny Śląsk, Opolskie i Małopolskę także zmywają ścieki, toksyczne substancje i odpady do rzek. Zmiany klimatu to właśnie też takie ekstremalne sytuacje, z którymi mamy do czynienia teraz.

A potem dziwimy się, że w rzekach pływają śnięte ryby.

– Nie ma co się dziwić, nasze rzeki wciąż nie są przyjazne zwierzętom wodnym, a niektóre wciąż wymagają odtwarzania siedlisk i zarybiania. Taką dużą akcją zarybiania udało mi się razem z wieloma przyjaciółmi zorganizować po katastrofie na Odrze w 2022 r. Zebraliśmy na to ponad 100 tys. zł i wspólnie z Polskim Związkiem Wędkarskim w Szczecinie i Zielonej Górze wy-



W akcji „Czysta Wisła” w 2023 r. wzięło udział 11 530 wolontariuszek i wolontariuszy z 72 gmin i miejscowości. Zebrali 9650 worków z odpadami ważącymi 110 ton

na i uregulowana na niemal całej długości. Zrobiono z niej taki kanał, więc jak tam się dostanie jakaś toksyna, to ta rzeka jest bezradna.

Z rzek korzystają również inne gałęzie przemysłu.

– W Polsce normy ścieków, które można spuszczać do rzek, są wyższe niż w wielu krajach europejskich. To znaczy, że można zbyt brudną wodę i zbyt niedoczyszczone ścieki spuszczać do rzek. Poza tym monitoring i kontrole są niewystarczające. Dlaczego wciąż nie ma u nas takiego przepisu, żeby zezwolić na pobieranie przez przemysł wody z rzek wyłącznie za zrzutem, a nie przed? Teraz jest tak, że na przykład elektrownia pobiera wodę przed swoim zrzutem, co oznacza, że pobiera wodę czystą, a zrzuci brudną. Gdyby pobierała za swoim zrzutem, to trzeba byłoby tak zmo-

puściliśmy w tym roku 1,5 mln małych rybek do dorzecza Odry. Akcją będziemy powtarzać tej jesieni.

Znajdujesz jeszcze czas na pracę?

– To właśnie jest moja praca. Ekologia jest mi bliska od dawna, choć kiedyś zdarzało mi się pracować w korporacjach (*śmiech*). Ale jednocześnie robiłem różne rzeczy związane z ochroną środowiska, między innymi planowałem zakłady recyklingu puszek aluminiowych czy koordynowałem globalną akcję „Clean Up The World” w Polsce. Już od 20 lat działam sam jako Dominik Dobrowolski. Wymyślam różne projekty, zdobywam na nie pieniądze, organizuję ludzi i staram się na wszelkie sposoby pomóc naszym rzekom. Cieszę się, że czasami to się udaje, że chętnych do pomagania jest coraz więcej. ●

Do realizacji zadań związanych z kampanią geotechniczną wykorzystuje się specjalne statki badawcze. Wyniki badań pozwalają na stworzenie wstępnego projektu układu turbin przyszłej morskiej farmy wiatrowej



Moc z natury

Przygotowania Grupy Kapitałowej PGE do budowy Morskiej Farmy Wiatrowej Baltica 1 nabierają tempa!

Ponad 75 proc. Polaków chciałoby korzystać w swoich domach z energii z morskich farm wiatrowych – wynika z badań przeprowadzonych w listopadzie 2020 r. dla Ministerstwa Klimatu i Środowiska. Za kilka lat będzie to możliwe! Jednym z projektów realizowanych przez PGE Baltica jest Farma Wiatrowa Baltica 1, która przetworzy morski wiatr w energię odnawialną. Farma zostanie usytuowana ok. 80 km od linii brzegowej, mniej więcej na wysokości Łeby. Projekt jej budowy ma już m.in. pozwolenie lokalizacyjne

i umowę przyłączeniową, a za sobą niemal dwa lata analiz wietrzności, prądów morskich i zafalowania. Wyniki pomiarów dały wiedzę niezbędną do rozmieszczenia turbin, by ich moc była wykorzystywana w jak najbardziej efektywny sposób.

To kolejny ważny krok w realizacji strategii budowy morskich farm wiatrowych przez Grupę PGE, największego na polskim rynku inwestora budowy MFW. Projekt zakłada wybudowanie do 2030 r. Morskiej Farmy Wiatrowej Baltica, realizowanej w dwóch etapach – Baltica

2 i Baltica 3 – o łącznej mocy zainstalowanej do 2,5 GW. Inwestycja realizowana jest wspólnie z firmą Ørsted. Następnie po 2030 r. do portfolio Grupy dołączy Baltica 1 o mocy ok. 0,9 GW. PGE posiada też pozwolenia (PSzW) na zagospodarowanie pięciu kolejnych obszarów na Bałtyku o łącznym potencjale ponad 3,9 GW, co czyni Grupę Kapitałową PGE liderem sektora morskiej energetyki wiatrowej w Polsce pod kątem zaplanowanych mocy offshore do wybudowania.

W trosce o środowisko

Jednym z kluczowych etapów w projektowaniu każdej morskiej farmy wiatrowej okazują się badania środowiskowe. Pozwalają one dokładnie poznać naturalne zasoby morza oraz przynieść odpowiedź na pytania o potencjalne ryzyka i ewentualne ograniczenia, z którymi trzeba się liczyć podczas projektowania, a następnie budowy morskiej farmy wiatrowej. Na podstawie ich wyników

powstaną rozwiązania, które pozwolą uniknąć oddziaływania na cenne przyrodniczo obszary chronione i otoczenie gospodarcze. Takie podejście do zagadnień ochrony środowiska jest wyrazem odpowiedzialności Grupy PGE. Prace prowadzone w ramach projektu Baltica 1 przez Uniwersytet Morski w Gdyni i MEWO SA są niezbędne, żeby zminimalizować wpływ inwestycji na środowisko zarówno podczas budowy, jak i wieloletniej eksploatacji. Co istotne, oprócz terenu farmy badaniom podlega obszar morza i łądu, na którym powstanie infrastruktura przyłączeniowa.

PGE Baltica prowadzi również rozpoznanie struktury dna morskiego na obszarze planowanej elektrowni. Przeprowadzenie wstępnej kampanii geotechnicznej powierzono spółce Gequip Marine. Na podstawie uzyskanych danych stworzone zostanie studium wykonalności oraz wstępny projekt układu turbin i morskiej stacji. Z kolei za przygotowanie modelu podłoża i koncepcji fundamentów turbin odpowiada Gavin and Doherty Geosolutions z Irlandii. Konsorcjum firm Geofizyka Toruń, Geoprojekt Szczecin i Projmors realizuje natomiast badania geologiczne i dostarczy dokumentację dla przewiertu łąd-morze. Opracowanie bazy danych geologicznych jest niezbęd-

” **Morska Farma Wiatrowa Baltica 1 powstanie po 2030 r. Zanim to jednak nastąpi, prowadzimy liczne badania, aby z troską o środowisko naturalne przygotować projekt i uzyskać niezbędne decyzje administracyjne.**



Statek do badań dna morskiego wypływał z Gdańska

ne dla oceny potencjalnych wyzwań związanych z konstrukcją morskich instalacji wiatrowych. Wyniki badań dna bezpośrednio wpływają na kluczowe decyzje projektowe. Mogą determinować budżet, wybór technologii fundamentowania czy przebieg tras kablowych.

Badania geologiczne dla przewiertu łąd-morze są kluczowe, ponieważ pozwalają na opracowanie istniejącego modelu gruntu. Model ten zostanie wykorzystany do prawidłowego zaprojektowania przewiertu HDD, który jest elementem newralgicznym dla układu wyprowadzenia mocy. Umożliwia bowiem bezkolizyjne przejście przez strefę brzegową. PGE Baltica rozpoczęła również badania laboratoryjne, które planuje zakończyć w czwartym kwartale tego roku. Następnie spółka przystąpi do opracowania dokumentacji badań podłoża gruntowego oraz dokumentacji geologiczno-inżynierskiej.

Optymalna koncepcja

Konsorcjum Geofizyka Toruń, Geoprojekt Szczecin i Projmors za-

kończyło już zleconą kampanię geotechniczną w części morskiej. Badania dla przejścia kablowego łąd-morze były prowadzone na wysokości gminy Choczewo. Dziesięcioosobowy zespół badawczy realizował na platformie KOPERNIK-1 prace, które obejmowały m.in. sondowanie metodą CPTu oraz wierceń rdzeniowe. Pozwoliło to pobrać próby gruntu oraz rozpoznać dno morskie po to, by móc zaprojektować przejście kablowe.

Z kolei w sierpniu 2024 r. PGE Baltica podpisała umowę z firmą Energoprojekt Katowice na wykonanie projektu koncepcyjnego dla Morskiej Farmy Wiatrowej Baltica 1. Jest on niezbędnym elementem procesu inwestycyjnego i ma na celu wybór optymalnej technologii wyprowadzenia mocy. Zakres prac obejmuje wykonanie analiz elektrycznych, zwarciovych i harmonicznyc. Powstała w ich wyniku dokumentacja będzie wykorzystana do dalszych prac projektowych. ●

Sztuczna inteligencja i ekologia

Nieposkromiony apetyt AI na prąd

Odpowiedź na jedno pytanie pochłania ChatGPT dziesięć razy więcej energii niż odpowiedź na pytanie zadane w wyszukiwarce Google. Błyskawiczny rozwój sztucznej inteligencji sprawia, że do końca dekady same centra obsługi danych mogą potrzebować tyle energii, ile teraz Grecja, Hiszpania i Holandia razem wzięte

TEKST KATARZYNA BURDA

Fredericia to niewielkie, urokliwe miasto w południowej Danii, pełne zabytkowych budynków i fortyfikacji, domków z czerwonymi dachówkami, zieleni. Jednak niecałe 10 kilometrów od położonego nad morzem centrum miasta widać inny typ zabudowy – na pustym terenie, ogrodzonym wysoką siatką, stoi ogromny blaszany hangar, a obok niego mniejsze budynki otoczone rurami i kablami. To jedna z najnowszych inwestycji Google w Europie – centrum danych, które zapewnia działanie usług technologicznego giganta, w tym błyskawicznie rosnącej w siłę AI.

Już dziś sztuczna inteligencja analizuje nasze upodobania i zwyczaje w internecie, bierze udział w rekrutacji pracowników, przyznawaniu kredytów, służy jako tłumacz i asystent. Coraz częściej wspomaga też ludzi, od których zależy

nasze życie – lekarzy, pilotów, policjantów. Na bieżąco uczy się i doskonali w oparciu o dostarczane jej w gigantycznych ilościach dane i potrzebuje coraz większych mocy obliczeniowych serwerów. A one potrzebują coraz więcej energii. Powoli robi się z tego problem, z którym muszą zmierzyć się nie tylko firmy technologiczne, ale i społeczność międzynarodowa. Przyjrzał mu się amerykański bank inwestycyjny Goldman Sachs, który w opublikowanym w maju raporcie zapowiada, że apetyt jednostek obliczeniowych sztucznej inteligencji wzrośnie o 160 proc. do 2030 r. Centra danych AI będą wtedy konsumować nie 1-2 proc. wytwarzanej na świecie energii, ale 3-4 proc. W USA i Europie ten zwiększony popyt doprowadzi do rozwoju energetyki, jakiego nie widziano od dziesiętków lat.

Analitycy wskazują, że przez wiele lat serwery największych firm technologicznych zużywały mniej więcej 200 terawatogodzin energii rocznie. Za ten skokowy wzrost zapotrzebowania na prąd odpowiada szybko rozwijająca się AI, a szczególnie jej najbardziej wymagający typ – tzw. generatywna sztuczna inteligencja, służąca do tworzenia nowych treści, obrazów, muzyki czy oprogramowania. Czyli między innymi ChatGPT czy Google Bard zastąpiony ostatnio przez Gemini.

Według Międzynarodowej Agencji Energetycznej (MAE) odpowiedź na jedno zapytanie w wyszukiwarce Google wymaga 0,3 watogodziny energii, a ChatGPT zużywa na to 2,9 Wh. Aby obsłużyć zapytania w generatywnej AI, w 2022 r. pierwsza wersja ChatGPT potrzebowała wykonać 10 tys. energochłonnych procesorów graficznych (GPU), jego najnowsza wersja – 30 tys.

Według analityków Goldman Sachs Research nie wszystkie kontynenty są równie dobrze przygotowane na rewolucję AI i związane z nią większe obciążenie sieci energetycznej. Najmniej przygotowana jest Europa, która bardzo intensywnie korzysta z nowych technologii i powstają tu kolejne wielkie centra danych. Tymczasem nasz kontynent ma... najbardziej przestarzałą sieć energetyczną na świecie, bo średni wiek urządzeń w elektrowniach wynosi 50 lat, a dla porównania w Chinach to zaledwie 20 lat.

Dotąd nam to nie przeszkadzało, bo średnie zużycie energii elektrycznej na naszym kontynencie w ostatnich 15 latach nawet spadło (miał w tym swój udział kryzys i lockdown związany z COVID-19 oraz malejące uprzemysłowienie). Jednak teraz może to się całkowicie zmienić. Jak szacuje Goldman Sachs, w ciągu najbliższych 10 lat zapotrzebowanie na energię elektryczną w Europie może wzrosnąć aż od 40 do nawet 50 proc. Same tylko centra danych będą w 2030 r. zużywać tyle energii co Grecja, Hiszpania i Holandia razem wzięte wykorzystały w minionym roku.

Przystosowanie energetycznych sieci przesyłowych do tego zwiększonego zapotrzebowania może kosztować nasz kontynent nawet 800 mld euro, a drugie tyle – pozyskanie nowych, odnawialnych źródeł energii.

Giganci technologiczni nie ukrywają, że to zwiększone zapotrzebowanie na energię sprawia, że ich ślad węglowy rośnie. W raporcie zrównoważonego rozwoju z lipca tego roku centrala Google przyznała, że jej emisje zwiększyły się o połowę w porównaniu z 2019 r., a w stosunku do roku 2023 – o 13 proc. To spory krok wstecz dla firmy, która postawiła sobie za cel wyzerowanie swoich emisji do 2030 r. Z podobnymi problemami mierzy się też Microsoft, który, jak podaje amerykański serwis CNBC, w maju zaraportował wzrost emisji o 30 proc. wobec 2020 r. Firma tłumaczyła, że stało się tak z powodu budowy dużej liczby centrów obsługi da-

nych. MAE podaje, że na świecie działa lub jest w trakcie rozwoju ponad 7 tys. takich centrów, co oznacza, że w niepełną dekadę ich liczba podwoiła się.

Firmom takim jak Google, Meta czy Amazon potrzeba wydajnego, niezawodnego źródła energii na już. Nic więc dziwnego, że za oceanem coraz częściej mówi się o renesansie energetyki jądrowej.

TerraPower, firma energetyczna Billa Gatesa, rozpoczęła w czerwcu br. budowę nowej elektrowni jądrowej Natrium w Wyoming. Amazon zainwestował w zasilane energią jądrową centrum danych w Pensylwanii. Możliwe jednak, że rozwiązaniem problemu zapotrzebowania na energię będą małe elektrownie jądrowe, tzw. reaktory modułowe, stawiane bezpośrednio przy wielkich centrach danych. Żaden z takich reaktorów jeszcze nie działa, ale pracuje nad nimi intensywnie amerykański start-up Oklo, za którym stoi Sam Altman z OpenAI. Bezos, według Investor's Business Daily, inwestuje w podobny start-up nuklearny General Fusion z Kanady, zaś Google w firmę TAE Technologies, opracowującą technologię pozyskiwania energii z fuzji jądrowej.

Na świecie istnieją miejsca, gdzie wielkie centra danych koegzystują z naturą i lokalną społecznością w duchu zrównoważonego rozwoju. Centrum Google w fińskiej Haminie 97 proc. zużywanej energii pozyskuje ze źródeł odnawialnych. Problemem dla fińskich inżynierów pracujących w centrum była kwestia chłodzenia systemów. Zaczęli do tego używać wody pompowanej z morza, ogrzewali też pomieszczenia biurowe centrum danych. – Ale ciepła jest tyle, że można się nim podzielić. W tym roku zaczęliśmy przepompowywać je do systemu ciepłowniczego miasta, aby ogrzewało mieszkańców. Ciepła produkowanego przez serwery wystarczy, by ogrzać 80 proc. domów w mieście. Będzie to czyste, zeroemisyjne ciepło – tłumaczy Jukka Vainonen, menedżer centrum danych w Haminie.

W podobny sposób część domów w Dublinie ogrzewana jest odpadowym ciepłem z centrum danych Amazona. Meta ogrzewa ciepłem swoich serwerów w Odense mieszkańców Kopenhagi. Robiąc bilans środowiskowych zysków i strat związanych z rozwojem sztucznej inteligencji, nie można zapominać o tym, że w wielu miejscach świata, również w Europie, wykorzystywana jest ona do bardziej efektywnego zarządzania sieciami energetycznymi, emisjami zakładów przemysłowych, oraz na różne sposoby wspomaga walkę ze zmianami klimatycznymi i ich konsekwencjami dla ludzi. Na przykład pomaga monitorować wylesianie, prognozować występowanie ekstremalnych zdarzeń pogodowych, wspomagać systemy służące do prowadzenia bardziej zrównoważonego, inteligentnego rolnictwa. Sztuką będzie znaleźć sposób, aby zasilac AI czystą energią. •



Raportowanie ESG

Firmy, do ekospowiedzi przystąpią

Raporty związane ze zrównoważonym rozwojem muszą na razie przygotowywać blisko 4 tys. spółek w Polsce. Do spowiedzi ze swego wpływu na środowisko prędzej czy później zmusi wszystkie firmy prawo albo rynek

TEKST MAGDALENA KRUKOWSKA

Pod koniec wakacji na biurko premiera Donalda Tuska trafił list podpisany przez 35 firm, organizacji pozarządowych i biznesowych, które zaapelowały do rządu o „skoordynowanie działań w obszarze zrównoważonego rozwoju, w tym stworzenie zintegrowanego systemu wsparcia i nadzoru”.

Polscy przedsiębiorcy, obsługujący ich prawnicy oraz doradcy jak ognia boją się przepisów, które zobowiązują działające w Unii Europejskiej spółki do raportowania skomplikowanych kwestii dotyczących spraw środowiskowych, społecznych i ładu korporacyjnego, czyli z angielskiego Environment, Social, Governance (ESG). Dlatego domagają się powołania rządowego zespołu, który nadzorowałby wdrażanie unijnych przepisów do polskiego prawa. A przy okazji wspierał przedsiębiorstwa i pilnował w ich przestrzeganiu.

Dyrektywa CSRD (Corporate Sustainability Reporting Directive) już od tego roku zobowiązuje niektóre firmy do ujawniania w raportach szczegółowych informacji pozafinansowych. Cel: zapewnić bankom, inwestorom, klientom, agencjom ratingowym dostęp do wiarygodnych i porównywalnych danych z zakresu ESG.

Dla europejskich przedsiębiorstw to rewolucja, bo choć część z nich, głównie globalnych korporacji, publikowała już wcześniej raporty społeczne i środowiskowe, to robiły to dobrowolnie i przedstawiały dowolnie wybrane, często pasujące im do wizerunku wskaźniki. Trudno było więc porównywać ze sobą różne firmy nawet z konkretnej branży

FOT. PCESS609/ISTOCKPHOTO

czy kraju, a czasem nawet ocenić wiarygodność danych. Teraz będzie inaczej, raporty muszą być sporządzane zgodnie z europejskimi standardami sprawozdawczości w zakresie zrównoważonego rozwoju ESRS (European Sustainability Reporting Standards). Obejmują one pełen zakres kwestii środowiskowych, społecznych i zarządczych, w tym ślad węglowy, różnorodność biologiczną i przestrzeganie praw człowieka.

– Co najważniejsze, zgodnie z zasadą tzw. podwójnej istotności firmy będą musiały analizować nie tylko swój wpływ na ludzi i środowisko, ale również oceniać, jak konkretne zjawiska społeczne i środowiskowe, np. zmiany klimatu, wpływają na ich kondycję finansową i ryzyko biznesowe. Cały raport zrównoważonego rozwoju ma też podlegać zewnętrznemu, niezależnemu audytowi. Będą mogły go przeprowadzać firmy audytorskie, które dziś badają sprawozdania finansowe – mówi Piotr Biernacki, partner w firmie Materiality oraz ekspert EFRAG, instytucji, która tworzy dla Komisji Europejskiej projekty standardów sprawozdawczości.

Niewielka część spółek (ok. 250 największych banków i firm ubezpieczeniowych) od paru lat była objęta obowiązkiem raportowania kwestii niefinansowych w ramach dyrektywy NFRD (Non Financial Reporting Directive), ale dopiero teraz te raporty będą weryfikowane przez niezależnych audytorów. Czyli skończy się stosowana przez wiele spółek „kreatywna księgowość” na pozafinansowym polu. Część standardów, które trzeba będzie stosować, dotyczy wszystkich raportujących bez wyjątku, a część jest konstruowana pod konkretne sektory, m.in. energetyczny, wydobywczy czy rolniczy.

Już od przyszłego roku takie raporty będą musiały opracować wszystkie duże spółki, które spełnią dwa z trzech kryteriów: zatrudnienie ponad 250 pracowników, suma bilansowa powyżej 25 mln euro i/lub roczne przychody powyżej 50 mln euro. A rok później dołączą małe i średnie przedsiębiorstwa notowane na giełdzie, które spełnią dwa z trzech kryteriów: zatrudnienie ponad 10 pracowników, suma bilansowa powyżej 350 tys. euro i/lub roczne przychody powyżej 700 tys. euro. Od 2028 r. raportowanie ESG obejmie nawet te firmy, które nie mają siedziby w Unii, ale mają u nas spółkę zależną lub oddział z rocznymi przychodami powyżej 150 mln euro.

A to nie koniec zmian.

Polska musi wdrożyć do lipca 2026 r. również dyrektywę CSDDD dotyczącą należytej staranności przedsiębiorstw w zakresie zrównoważonego rozwoju. Ma ona zmusić największe korporacje działające w Unii do odpowiedzialności prawnej za bezpośrednie i pośrednie skutki

ich postępowania w krajach trzecich. Zebrane dane pozwałyby ocenić, w jaki sposób spółka zarządza odpowiedzialnością w całym łańcuchu swoich dostaw. Ta regulacja będzie obowiązkowa początkowo tylko dla spółek i grup kapitałowych zatrudniających powyżej 5 tys. pracowników i osiągających przychody netto powyżej 1,5 mld euro. Później tych z zatrudnieniem ponad tysiąc pracowników i o przychodzie netto powyżej 450 mln euro. Ale w praktyce jej skutki dotkną wszystkich partnerów biznesowych w łańcuchach dostaw tych grup kapitałowych. Każda korporacja, żeby móc zaraportować skutki swoich działań na drugim końcu świata, będzie przecież wymagała konkretnych działań od swoich dostawców.

Firmy muszą także przygotować się na rosnące wymagania rynkowe związane z ESG i redukcją emisji CO₂. Wiele programów unijnych oferujących dotacje oraz wiele banków, które udzielają kredytów, już teraz stawiają przedsiębiorstwom warunki związane z raportowaniem zrównoważonego rozwoju.

83 proc. firm deklaruje, że w swej działalności uwzględnia kwestie zrównoważonego rozwoju, ale tylko 30 proc. jest w trakcie opracowywania strategii ESG

– Banki, w ramach spełniania wymogów Green Asset Ratio (wskaźnika udziału zielonych aktywów), będą coraz częściej preferować firmy, które mogą wykazać się działaniami proekologicznymi i raportowaniem emisji CO₂ – dodaje Przemysław Oczyp, doradca ESG.

Brak przygotowania może oznaczać trudności w uzyskaniu finansowania lub dostępu do dotacji, co dodatkowo zwiększa presję – również na małe i średnie przedsiębiorstwa – aby już teraz rozpoczęły proces adaptacji do nowych standardów ESG.

Dodatkowo standardy ESRS nakazują firmom ujawnienie, czy prowadzą politykę dotyczącą konkretnego zagadnienia, muszą więc podać np., ile zużywają energii, ile emitują gazów cieplarnianych, jaką mają strukturę zatrudnienia, jakie odnotowały wskaźniki wypadkowości itd.

Z kolei dyrektywa CSDDD nakazuje działanie w określony sposób lub powstrzymanie się od działania, jeśli narusza ono prawa człowieka czy niszczy środowisko – wyjaśnia Piotr Biernacki.

Nowe obowiązki w zakresie praw człowieka i środowiska wprowadzi z końcem roku rozporządzenie Parlamentu Europejskiego i Rady w sprawie udostępniania na rynku unijnym oraz wywozu z Unii niektórych towarów i produktów związanych z wylesianiem i degradacją lasów. A w drugiej połowie 2025 r. zaczną obowiązywać przepisy wynikające z rozporządzenia w sprawie baterii i zużytych baterii. Już od czterech lat firmy sprzedające na rynek unijny tzw. rzadkie metale, wykorzystywane w produkcji właśnie baterii, akumulatorów czy elektroniki, muszą sprawdzać i raportować, czy nie pochodzą one z miejsc dotkniętych konfliktami i obszarami wysokiego ryzyka.

Na końcowym etapie przygotowań jest też rozporządzenie w sprawie zakazu wprowadzania na rynek unijny produktów wytwarzanych z wykorzystaniem



Jednocześnie, jak wynika z badania Kantar Polska na zlecenie BASF, choć 83 proc. firm deklaruje, że w swojej działalności biznesowej uwzględnia kwestie zrównoważonego rozwoju, to tylko 30 proc. jest w trakcie opracowywania strategii ESG.

Aż 40 proc. respondentów powiedziało, że nie ma zrównoważonej strategii i nie planuje jej mieć. A 21 proc. firm nie widzi żadnych korzyści z wdrażania takiej strategii.

Z kolei badanie EY „Czy polski biznes jest zrównoważony?” pokazuje, jak duża jest różnica pomiędzy deklaracjami a realnymi działaniami przedsiębiorców. Aż 90 proc. z nich twierdzi, że ich misja zawiera aspekty związane z ESG, a 67 proc. realizuje je w codziennej aktywności, 48 proc. firm przełożyło założenia strategii zrównoważonego rozwoju na poszczególne obszary funkcjonowania biznesu. Główną motywacją dla nich są oczekiwania konsumentów (deklaruje tak 71 proc. ankietowanych) oraz partnerów handlowych (59 proc.). Równocześnie, na razie jedynie 17 proc. badanych przedsiębiorstw, publikuje raporty dotyczące ESG. Ale presja na te publikacje będzie rosła, i to nie tylko regulacyjna, bo już dla 57 proc.

Polscy przedsiębiorcy jak ognia boją się przepisów, zobowiązujących spółki działające w UE do raportowania skomplikowanych kwestii dot. spraw środowiskowych, społecznych i ładu korporacyjnego

pracy przymusowej. Tu przedsiębiorstwa będą musiały wykazać, że ich działalność ani łańcuchy dostaw nie są związane z pracą przymusową.

I tu wracamy do listu przedstawicieli polskiego biznesu do premiera. Pisano w nim: „Choć te wszystkie regulacje są potrzebne, ilość i szczegółowość przepisów może przyprawić o ból głowy osoby zajmujące się w firmach zrównoważonym rozwojem”.

Ogromna większość polskich spółek wciąż nie jest przygotowana do raportowania ESG. Według danych PwC Polska dotyczy to 69,9 proc. spółek. I to mimo że w kraju działa coraz więcej firm, które doradzają w kwestii sprawozdawczości ESG, oferują narzędzia technologiczne do liczenia wskaźników. Listę tych spółek, wraz ze szkoleniami online z raportowania, w tym liczenia śladu węglowego, publikuje na swoich stronach Polski Fundusz Rozwoju. Warsztaty dla przedsiębiorstw z raportowania zgodnego z CSRD organizuje również m.in. Stowarzyszenie Emitentów Giełdowych oraz wiele firm doradczych.

organizacji istotne jest, czy wybrany przez nich kontrahent spełnia kryteria zrównoważonego rozwoju, czy nie.

– Część firm patrzy na nowe regulacje jako na projekt publikacji raportu ESG. A to błędne myślenie. Przede wszystkim dlatego, że mimo iż oczywiście dyrektywa CSRD będzie wymagała publikacji raportu, to bez wdrożenia celów i strategii zarządzania kwestiami ESG firma spełni kolejny wymóg regulacyjny, ale bez specjalnie wymiernych korzyści – twierdzi Aleksandra Stanek-Kowalczyk, partnerka w EY.

Te korzyści, po fali entuzjazmu i ambitnych zapowiedzi w latach 2021 i 2022, przestało widzieć wiele firm, które w ostatnim roku skoncentrowały się na działaniach związanych bezpośrednio ze wzrostem biznesu. Na dalszy plan odkładając spełnienie celów zrównoważonego rozwoju, co – jak twierdzą eksperci Bain & Company – może fatalnie odbić się na ich reputacji.

Z najnowszego raportu tej firmy wynika, że jest znaczna rozbieżność między oceną klientów a podejściem dostawców. Około 85 proc. dostawców B2B twierdzi, że w pewnym

RAPORTOWANIE ESG

zakresie uwzględniła w swojej ofercie kwestie ESG, ale jedynie 53 proc. klientów uważa, że ich oczekiwania są spełniane. Co więcej, ponad jedna trzecia klientów korporacyjnych w Europie deklaruje, że jest gotowa zrezygnować z dostawców, którzy nie spełniają kryteriów ESG, a dwie trzecie twierdzi, że tak postąpi w najbliższych trzech latach.

– Nie wszystkie firmy zdają sobie sprawę, że to właśnie w tym momencie decyduje się, które z nich zdobędą trwałą przewagę konkurencyjną dzięki skutecznemu wdrożeniu zrównoważonego rozwoju i nowoczesnych rozwiązań z nim związanych. Według naszych prognoz wiele technologii osiągnie punkt krytyczny znacznie szybciej, niż się spodziewano – dodaje Katarzyna Wal, młodsza partnerka w Bain & Company.

Badanie pokazało też, że 45 proc. klientów korporacyjnych na świecie jest skłonnych zapłacić swoim dostawcom do 5 proc. wyższą cenę za produkt lub usługę, o ile spełniają one wymogi zrównoważonego rozwoju. Kolejne 35 proc. deklaruje gotowość poniesienia kosztów wyższych o 5-10 proc.

Równie dużą wagę do kwestii zrównoważonego rozwoju przykładają sami konsumenci. Aż 61 proc. z nich deklaruje, że w ciągu ostatnich dwóch lat wzrosły ich obawy dotyczące zmian klimatu często ze względu na osobiste doświadczenia związane z występowaniem ekstremalnych zjawisk pogodowych.

To właśnie osobiste doświadczenia są głównym powodem, dla którego konsumenci decydują się na zakup produktów zrównoważonych. Przy czym 35 proc. badanych dokonuje wyboru pod wpływem artykułu prasowego czy filmu dokumentalnego, a 28 proc. kierowało się kampaniami społecznymi prowadzonymi przez marki i sprzedawców detalicznych.

– Nie ma odwrotu od prowadzenia zrównoważonego biznesu. Oczekują tego od firm konsumenci, klienci B2B oraz organy regulacyjne. Zmiany w sektorze energetycznym czy produkcji żywności są najlepszym tego przykładem. Przyspieszający rozwój nowych technologii wraz ze zmieniającym się zachowaniem konsumentów stworzy nowe możliwości biznesowe dla najbardziej innowacyjnych przedsiębiorstw ze wszystkich branż – twierdzi Katarzyna Wal. •

REKLAMA

N



Newsweek^{POLSKA}

LEARNING ENGLISH

Prenumerata roczna.
Sprawdź, co zyskujesz:

- 4 wydania prasowe.
- Dwa archiwalne wydania extra!
- Roczny dostęp do treści kilkunastu tytułów w pakiecie **onet premium**



Zamów za 109 zł
z bezpłatną dostawą
na **Literia.pl**

Prenumerata do potęgi

Newsweek^{POLSKA}



Ekologiczne budownictwo

Zielony Ład na rynku nieruchomości

Trzy razy się zastanów, zanim kupisz stary dom lub mieszkanie w nieocieplonym bloku czy kamienicy. Bez kompleksowej termomodernizacji, która jest niemałym wydatkiem, wartość takiej nieruchomości w przyszłości spadnie

TEKST MAREK WIELGO

Wskazują na to doświadczenia starych krajów Unii Europejskiej, w których już od kilkunastu lat wszystkim budynkom przypisana jest określona klasa energetyczna od A do G. Przy czym A oznacza „najlepsze energetycznie właściwości użytkowe”, a G – najgorsze, budynki w takiej klasie zwane są wampirami energetycznymi. Jedynie u naszych zachodnich sąsiadów najgorsza klasa budynku, wskazująca na bardzo wysokie zapotrzebowanie na energię m.in. do celów grzewczych i klimatyzacji, jest oznakowana literą H.

W naszym kraju nadawanie budynkom klas energetycznych to na razie pieśń przyszłości. Choć być może nie tak odległej, bo w Ministerstwie Rozwoju i Technologii trwają już prace nad nowym rozporządzeniem „w sprawie metodologii wyznaczania charakterystyki energetycznej budynku lub części budynku oraz świadectwa charakterystyki energetycznej”. Projekt tego rozporządzenia zakłada, że wejdzie ono w życie 1 stycznia 2026 r., czyli już za nieco ponad rok. Czas najwyższy, aby właściciele nieruchomości zdali sobie sprawę, jakie mogą być konsekwencje ich podziału w zależności od klasy energetycznej.

W naszym kraju mamy obecnie ich namiastkę w postaci świadectwa charakterystyki energetycznej. To dokument, który – przynajmniej teoretycznie – informuje o zapotrzebowaniu na energię w użytkowanym domu lub mieszkaniu. Problem w tym, że przez wiele lat ten wymóg był powszechnie ignorowany przez właścicieli nieruchomości, którzy ją sprzedawali lub wynajmowali. W praktyce był on egzekwowany jedynie w przypadku mieszkań i domów budowanych po 2008 r. Jeśli powstały wcześniej, to za nieprzekazanie świadectwa energetycznego kupującemu lub najemcy właściciel najczęściej nie ponosił żadnych sankcji. Co prawda kupujący lub najemca mógł zażądać świadectwa (kopii), a gdyby właściciel uchylał się – zlecić na jego koszt wykonanie tego dokumentu. Jednak praktyka pokazała, że tylko nielicznym na tym zależało. Ba, najpewniej wielu nabywców i najemców nie wiedziało, że w ogóle istnieje coś takiego jak świadectwo charakterystyki energetycznej.

Tę praktykę miały zmienić nowe przepisy. Od kwietnia 2023 r. przekazanie świadectwa energetycznego (w formie papierowej lub elektronicznej) musi być odnotowane w akcie notarialnym. Sprzedającemu, który nie przekaże świadectwa, grozi grzywna do 500 zł, o czym poinformuje notariusz. Co ważne, nabywca albo najemca nie mogą zrzec się prawa do otrzymania świadectwa charakterystyki energetycznej lub jego kopii (wydruku). Ponadto nie da się go już tak łatwo zdobyć „na lewo”.

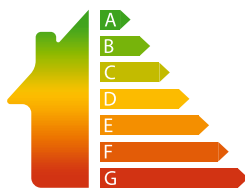
Legalne są jedynie świadectwa sporządzone w centralnym rejestrze charakterystyki energetycznej budynków, a następnie z niego wygenerowane. Audytorom, którzy sporządzą świadectwa energetyczne poza system centralnego rejestru, grozi grzywna oraz wykreślenie z listy uprawnionych.

Tyle teorii. A jak wygląda praktyka? Na rynku świadectw charakterystyki energetycznych trwa wolnoameerykanka. W sieci pojawiły się oferty firm, które deklarują, że całkowicie legalnie sporządzą świadectwo charakterystyki energetycznej... online. I to w ciągu 24 godzin! Właściciele mieszkań i domów kuszą niską ceną takiej „ekspertyzy” (już od niespełna 300 zł). Jakość takich świadectw może budzić wątpliwości. Prawnicy ostrzegają, że podrasowane świadectwo charakterystyki energetycznej może przysporzyć kłopotów sprzedającemu mieszkaniu lub dom, jeśli nabywca zechce skorzystać z przysługujących mu praw z tytułu rękojmi. Chodzi o to, że sprzedający musiałby doprowadzić budynek do stanu, w którym spełniałby on parametry opisane w świadectwie charakterystyki energetycznej.

Być może proceder z lipnymi świadectwami energetycznymi trwałby w najlepsze, gdyby nie Unia Europejska. W tzw. dyrektywie budynkowej (EPBD) nakazała nie tylko zmianę formy ekoetykiety, np. tzw. suwak, będący wizualną prezentacją energetycznych właściwości budynku lub jego części, ma być zastąpiony bardziej czytelnym systemem klas energetycznych. Zmieniona ma być przede wszystkim metodologia i zakres danych pokazujących standard energetyczny budynku. W tym wszystkim chodzi zaś o to, aby najemca bądź kupujący dom lub mieszkanie, podobnie jak np. pralkę czy lodówkę, wiedział, z jakim zużyciem energii i w konsekwencji z jej kosztami musi się liczyć. Klasa A będzie najwyższa, a uzyskają ją budynki bezemisyjne, czyli takie, które nie emitują dwutlenku węgla i gazów cieplarnianych. Oznacza to także wykorzystanie odnawialnych źródeł energii, np. pompy ciepła do ogrzewania i schłodzenia budynku. Jeśli „wyprodukuje” on więcej energii, niż jej zużywa, wówczas dostanie klasę A+. Na drugim biegunie są budynki z klasą G, które zanieczyszczają powietrze i pochłaniają olbrzymie ilości energii. Co gorsza, wytwarzanej z paliw kopalnych, czyli między innymi z węgla.

Oczywiście główny cel, który przyświeca Unii Europejskiej, to osiągnięcie neutralności klimatycznej do 2050 r. Oznacza to m.in. radykalne ograniczenia zapotrzebowania budynków na energię oraz wyeliminowanie węgla i gazu do celów grzewczych. Rządy poszczególnych krajów członkowskich muszą do tego dążyć za pomocą „kija

i marchewki”. Przy czym w naszym kraju stosowana była do tej pory marchewka, czyli wsparcie termomodernizacji budynków w formie dotacji lub ulgi podatkowej, np. w programie „Czyste powietrze”. Przynosi to efekty, bo w ostatnich sześciu latach o ponad połowę zmalał odsetek gospodarstw domowych wykorzystujących do ogrzewania swoich domów paliwa kopalne. Choć wciąż prawdopodobnie aż jedna piąta gospodarstw zaopatruje się w węgiel, a 15 proc. wykorzystuje do celów grzewczych gaz ziemny. Jednak Unia chce przyspieszyć tempo zielonej transformacji. Dyrektywa budynkowa nakazuje zastosowanie kija, czyli specjalnej opłaty, która od 2027 r. ma być doliczana do ceny gazu i węgla. Wprawdzie właściciele domów nie będą musieli bezpośrednio uiszczać takiej opłaty, bo pokryją je dostawcy paliw. Naiwnie byłoby jednak sądzić, że nie przeniosą kosztów na odbiorców. Twórcy przepisów liczą, że tego rodzaju podatek klimatyczny skłoni właścicieli do przechodzenia na ekologiczne źródła ogrzewania.



Sęk w tym, że domy autonomiczne muszą być zaprojektowane i wybudowane przez najwyższej klasy specjalistów. Założenia dotyczące oszczędności legną bowiem w gruzach, jeśli fachowcy spartaczą robotę. Tak więc raczej nie jest możliwe wybudowanie takiego domu tzw. systemem gospodarczym, który jest bardzo popularny w naszym kraju.

W budownictwie wielorodzinnym sprawa jeszcze bardziej się komplikuje. Zastosowanie ekorozwiązań ma bowiem wpływ na ceny mieszkań, a w kraju toczy się obecnie dyskusja, jak zwiększyć ich dostępność. Rośnie presja ze strony młodych, którzy czują się wykluczeni.

Ponadto wdrażaniu dyrektywy towarzyszyć będzie postęp technologiczny. Jak przekonać ludzi do kosztownych rozwiązań, skoro za kilka czy kilkanaście lat mogą się one okazać przestarzałe. Widzimy to na przykładzie kolektorów słonecznych. Okazało się, że zwrot z tego typu inwestycji jest dłuższy niż żywotność tego typu urządzeń.

Aby podnieść klasę energetyczną budynku, a w efekcie zmniejszyć wydatki za ogrzewanie i emisję smogu, konieczna jest kompleksowa termomodernizacja

Aby podnieść klasę energetyczną budynku, a w efekcie zmniejszyć wydatki za ogrzewanie i emisję smogu, konieczna jest kompleksowa termomodernizacja. W grę wchodzi wtedy ocieplenie domu oraz wymiana okien na energooszczędne. Oczywiście wielu przedsiębiorców z branży budowlanej zacięra ręce na myśl o lawinie zamówień i zleceń. Problem w tym, że nawet jeśli państwo sfinansuje część wydatków, to i tak nie wszyscy właściciele będą w stanie podjąć wydatkom.

Nie dziwi więc, że dyrektywa budynkowa wywołuje skrajne uczucia. Jej wdrożenie wydaje się stosunkowo proste w budownictwie jednorodzinny. Od lat powstają już u nas domy zwane pasywnymi, autonomicznymi, aktywnymi lub niskoenergetycznymi, które nie tylko pochłaniają bardzo mało energii, ale także ją produkują. Jeśli wierzyć specjalistom, koszt budowy takiego domu nie musi być dużo wyższy od budowy domu standardowego.

To nie wszystko. Konsekwencje wprowadzenia klas energetycznych będą odczuwalne nie tylko na mieszkaniowym rynku pierwotnym, ale i wtórnym. W miastach obserwujemy w ostatnich latach duży wzrost popytu na nowe mieszkania. Ich atutem jest nie tylko wyższy standard i miejsce w garażu, ale także możliwość indywidualnego rozliczania kosztów ogrzewania oraz wody i ścieków, co obecnie ma coraz większe znaczenie ze względu na lawinowy wzrost cen. Dużą grupę klientów firm deweloperskich stanowią zaś osoby, które w tym celu sprzedają swoje stare mieszkania. Często dostają za nie wyższą cenę, jeśli lokalizacja jest atrakcyjna. Jednak to się najpewniej zmieni, gdy klasa energetyczna stanie się kluczową wskazówką przy zakupie nieruchomości. Sprzedający stare domy lub mieszkania w nieocieplonym bloku czy kamienicy najpewniej będą musieli mocno spuścić z tonu, gdy w cenie zostanie uwzględniony koszt ewentualnej termomodernizacji. Skąd to wiadomo?

EKOLOGICZNE BUDOWNICTWO

Otóż wprowadzenie klas energetycznych dla budynków mieszkalnych w krajach Unii Europejskiej miało duży wpływ na ceny nieruchomości. Bank ING opublikował w ubiegłym roku raport („The green transition takes hold of Germany’s property market”), z którego wynika, że w Niemczech rośnie zróżnicowanie cenowe na rynku mieszkaniowym.

Domy z klasą energetyczną H były średnio o 45 proc. tańsze od nieruchomości oznakowanych literą A+. Rok wcześniej różnica wynosiła 36 proc. Domy z klasą energetyczną B były zaś warte mniej o odpowiednio 28 proc. i 20 proc.

Z kolei tygodnik „Der Spiegel” poinformował, powołując się na portal mieszkaniowy Immoscout24, że w miastach domy z klasą energetyczną G i H sprzedają się średnio o 35 proc. taniej niż z klasą A. Właśnie ze względu na przewidywane koszty termomodernizacji, którą wymusza prawo. Na obszarach wiejskich różnica cenowa sięga prawie 50 proc. Jest tam duża liczba nieocieplonych domów, na które po prostu nie ma chętnych. Ponadto spadły też ceny nieruchomości z klasą C i D, za to A i B utrzymały wartość.

Naukowcy badający wpływ standardu energetycznego nieruchomości na ich ceny przyznają, że ogólnie budynki o wyższej klasie są bardziej pożądane i droższe. Od tej reguły są jednak wyjątki. Otóż w miastach, w których podaż mieszkań i domów jest zbyt mała w stosunku do popytu, różnice cenowe nie są duże.

W ING prognozują dalszy wzrost cen energooszczędnych mieszkań i domów. Równocześnie kurczy się będzie wartość starych o niskiej efektywności energetycznej. Sprzedający będą bowiem musieli zaakceptować rabaty na renowację, aby zrekompensować kupującym jej koszty.

W przyszłości straci więc na aktualności słynne powiedzenie niezżytego już brytyjskiego potentata nieruchomościowego Harolda Samuela, że trzy kryteria mają decydujący wpływ na wartość nieruchomości: lokalizacja, lokalizacja, lokalizacja.

Wraz z postępem zielonej transformacji na szczyt listy kryteriów awansują: efektywność energetyczna, efektywność energetyczna, efektywność energetyczna. •

REKLAMA

VIESSMANN

Wystarczy zainstalować

Nowa generacja pomp ciepła do układów hybrydowych

 CLIMATE PROTECT ⁺⁺⁺

 SUPER SILENT

 CONNECTIVITY

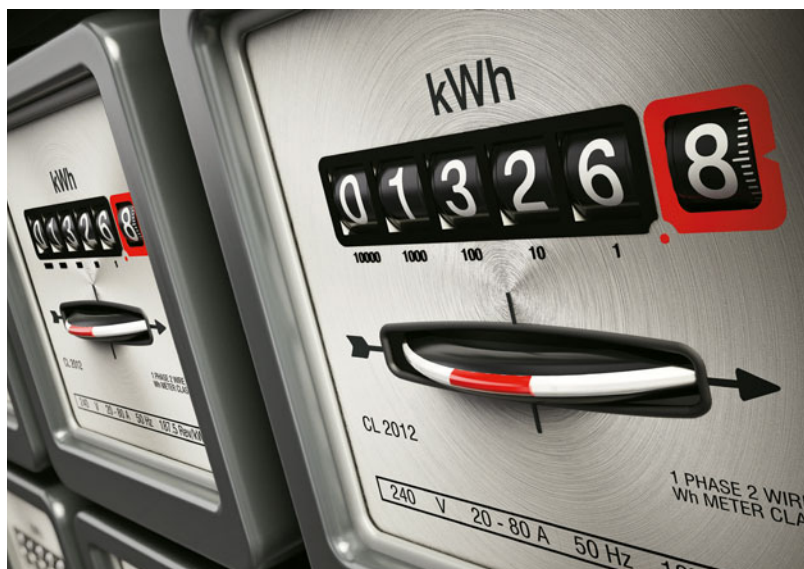
viessmann.pl/vitocal



Pompy ciepła powietrze-woda: Vitocal 250-SH oraz 250-AH przystosowane są do współpracy z istniejącym systemem grzewczym. Wykorzystują one darmową energię otoczenia do ogrzewania i chłodzenia. Tradycyjny kocioł włącza się tylko w sytuacji maksymalnego zapotrzebowania na ciepło. Pompy ciepła zaprojektowane są do maksymalnego wykorzystania energii elektrycznej pochodzącej z instalacji fotowoltaicznej.

Omijaj szczyt!

Postawiłeś na zieloną energię? Świetnie! Teraz jeszcze zacznij korzystać z prądu racjonalnie, a więc w najbardziej ekologicznych i ekonomicznych porach dnia.



Wkwietniu tego roku po raz pierwszy w historii Polska przekroczyła 30-proc. próg udziału energii z OZE w produkcji energii i jej zużyciu. To wprawdzie mniej niż wynosi unijna średnia – w UE-27 udział OZE w produkcji energii wyniósł wiosną rekordowe 53,1 proc. – ale tendencja jest wyraźnie wzrostowa. Wraz z upowszechnianiem się zależnych od pogody źródeł odnawialnych rośnie waga tego, w jaki sposób i kiedy korzystamy z zielonej energii. O ile bowiem energia elektryczna uzyskana ze spalania węgla czy gazu może być produkowana w stabilny sposób, o tyle energia z paneli słonecznych czy farm wiatrowych ma okresy szczytowej

produkcji przeplatane okresami spadku. Przykład? Systemy fotowoltaiczne są najbardziej efektywne w południe, za to największe zapotrzebowanie na prąd występuje zwy-

kle wieczorami. To oznacza, że aby zbilansować krajowy system elektroenergetyczny, trzeba uzupełniać moce z elektrowni konwencjonalnej, a więc mało ekologicznej. Dlatego świadomy odbiorca, jeżeli chce maksymalnie ograniczyć swój ślad węglowy, powinien zmniejszać zużycie prądu w godzinach szczytu.

Jeśli argumenty ekologiczne to za mało, sięgnijmy po ekonomię. Racjonalne i elastyczne korzystanie z energii elektrycznej ma wpływ na wysokość rachunków za prąd. Domowe pranie może nas kosztować więcej lub mniej w zależności od tego, o której godzinie włączymy pralkę, bo w godzinach szczytu energia jest droższa niż w porze mniejszego zapotrzebowania na prąd. Tu świetnie sprawdza się rozwiązanie typu smart home, pozwalające na zaprogramowanie pracy AGD. Warto też zamontować oświetlenie współpracujące z czujnikami ruchu – gdy wychodzimy z pomieszczeń, nie musimy pamiętać, żeby wyłączyć światło. Poza godzinami szczytu warto też używać jednego z najbardziej energochłonnych sprzętów AGD, czyli piekarnika, który zużywa około 1,5 kWh na godzinę. Małe kroki przynoszą wielkie oszczędności. ●

Joanna Tanecka

ENERGETYCZNY KOMPAS

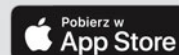
Pomocna w planowaniu użytkowania urządzeń elektrycznych jest aplikacja opracowana przez Polskie Sieci Elektroenergetyczne. Energetyczny Kompas pokazuje – uaktualniane codziennie – trzy rodzaje godzin. Zielone

to te, w których nie ma konieczności ograniczania zużycia energii elektrycznej. Na żółto oznaczone są godziny szczytu – wtedy szczególnie warto oszczędzać prąd. Trzeci rodzaj to godziny czerwone – są one pokazywane tylko wówczas, gdy

sytuacja w systemie elektroenergetycznym jest wyjątkowo trudna. Każda oszczędność okazuje się w tym czasie bardzo ważna! Użytkownicy aplikacji znajdą w niej także porady dotyczące tego, jak łatwo zaoszczędzić energię i obniżyć rachunki za prąd.



Energetyczny Kompas



DOŁĄCZ DO INNYCH I KORZYSTAJ Z ZIELONEJ ENERGII, GDY JEST JEJ NAJWIĘCEJ!

Coraz częściej energii z wiatru i słońca jest tak dużo, że nie ma na nią odbiorców. Dzięki bezpłatnej aplikacji PSE Energetyczny Kompas można zaplanować zużycie energii w taki sposób, by w największym stopniu wykorzystać energię ze źródeł odnawialnych.

Energetyczny Kompas pokazuje również, z jakich źródeł pochodzi energia elektryczna produkowana w danym momencie w Polsce, jakie jest na nią zapotrzebowanie oraz jaki jest udział energii odnawialnej w całkowitej produkcji.

W ENERGETYCZNYM KOMPASIE POKAZYWANE SĄ CZTERY RODZAJE GODZIN:



CIEMNOZIELONE

w tych godzinach powstaje więcej energii elektrycznej, niż potrzebują odbiorcy. Wykorzystaj energię ze źródeł odnawialnych.



ZIELONE

to „zwykłe godziny”, w których dowolnie korzystaj z energii elektrycznej.



ŻÓŁTE

w tych godzinach największa część energii elektrycznej powstaje w elektrowniach na węgiel i gaz. Ogranicz zużycie.



CZERWONE

to godziny, w których jest niewystarczająca rezerwa mocy, niezbędna do utrzymania bezpieczeństwa pracy systemu. Ogranicz swoje zużycie prądu do niezbędnego minimum. Te godziny będą pokazywane tylko w wyjątkowych sytuacjach.



www.energetycznykompas.pl



Polskie Sieci Elektroenergetyczne są operatorem systemu przesyłowego energii elektrycznej w Polsce. Naszym zadaniem jest bilansowanie systemu, czyli zapewnienie, że energii zawsze jest tyle, ile potrzeba odbiorcom. Zarządzamy pracą 16 tys. km sieci przesyłowej i 110 stacjami, które umożliwiają nam przesyłanie energii na duże odległości. Chcesz wiedzieć więcej: <https://raport.pse.pl>

Pieniądże na dachu

Czy można zaoszczędzić na eksploatacji domu nawet 30-40 proc.? Tak, ale trzeba o tym pomyśleć już na etapie wyboru materiałów.



Budowa, a później utrzymanie i eksploatacja domu to koszty, które przez lata znacznie obciążają rodzinne budżety. Jednak prywatni inwestorzy rzadko zdają sobie sprawę z tego, że o wysokości przyszłych rachunków w dużej mierze decydują materiały budowlane. O ile wiedza na temat wpływu stolarki okiennej na termoizolacyjność budynku wydaje się już powszechna, o tyle wciąż za mało osób wie, że równie istotny jest dach. Na to, w jakim stopniu energooszczędny jest dom, wpływają: powierzchnia dachu (im mniejszy, tym lepiej), kształt (najlepiej to płaski, a jeśli spadzisty, to jak najprostsz, czyli jedno- lub dwuspadowy) oraz wybór materiałów użytych podczas jego montażu.

Ekspertki alarmują, że przez dach może uciekać od 20 do 40 proc. ciepła! Warto jednak zaznaczyć, że rodzaj pokrycia dachowego nie ma bezpośredniego wpływu na energooszczędność dachu. Tu kluczową kwestią jest rodzaj użytej izolacji termicznej. Nie-

stety, prywatni inwestorzy najczęściej zapominają dopytać dekarzy o jakość używanych materiałów paroizolacyjnych, a to one zabezpieczają konstrukcję i termoizolację przed

przedstawianiem się do nich pary wodnej. Nowoczesne generacje materiałów tego rodzaju zapobiegają zawilgoceniu termoizolacji oraz zjawiskom przewiewów, które polegają na ucieczce ciepłego powietrza przez szczeliny w konstrukcji ścian i dachów.

Warto starannie wybrać także membrany wstępnego krycia (MWK). Ważne, by cechowały je odpowiednie trwałość, odporność i elastyczność przy wysokiej paroprzepuszczalności. Te właściwości można uzyskać np. w procesie technologicznym włókniny igłowanej. Nowoczesne technologie i nowatorskie materiały termoplastyczne sprawiają, że para wodna przechodzi przez MWK, efektywniej osuszając dach, a tym samym zwiększając energooszczędność budynku.

Dobrą wskazówką przy kupnie materiałów dachowych może być to, czy ich producent prowadzi prace badawczo-rozwojowe, dzięki którym ulepsza swoją ofertę, i czy zna specyfikę warunków klimatycznych w Polsce, a więc realiów, w jakich dany produkt będzie musiał się sprawdzić. ●

Joanna Tanecka

TERMOIZOLACJA DACHU - CO JEST WAŻNE?



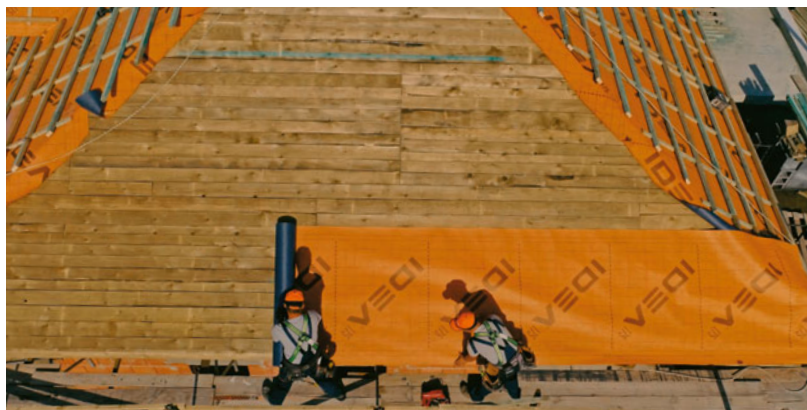
Krzysztof Patoka, ekspert Marmy Polskie Folie, firmy z ponad 30-letnim doświadczeniem. Wybierając termoizolację dachu, trzeba umiejętnie dobrać cały system materiałowy i dostosować go do wymogów konstrukcji.

Każda termoizolacja wymaga osłony od strony pokrycia dachowego i poddasza, gdy jest ono mieszkalne, lub od strony stropu, gdy poddasze jest niezamieszkałe. W nowoczesnych dachach górną osłonę stanowią wysoko paroprzepuszczalne membrany, które jednocześnie uszczelniają pokrycia leżące na łątach. Dolną osłonę zapewniają odpowiednie folie paroizolacyjne. Przy wyborze membran dachowych warto

zwrócić uwagę na: paroprzepuszczalność – membrana powinna umożliwiać swobodny przepływ pary wodnej, co chroni dach przed zawilgoceniem; odporność na warunki atmosferyczne – ważne, aby membrana wytrzymała ekstremalne temperatury i była odporna na uszkodzenia mechaniczne; elastyczność i łatwość montażu – elastyczne membrany ułatwiają instalację, szczególnie na dachach o skomplikowanych kształtach.

Technologia na wysokości

Membrany dachowe Marma Polskie Folie odgrywają kluczową rolę w ochronie konstrukcji dachu. Zastosowanie nowych technologii zapewnia komfort mieszkania, gwarantuje oszczędność energii i trwałość na lata.



Od ponad 25 lat wysoko paroprzepuszczalne membrany wstępnego krycia (MWK) są standardem na polskich dachach. Z biegiem czasu użytkownicy i dekarze przekonali się, że grubsze membrany, o wyższej gramaturze, zapewniają lepszą wytrzymałość i trwałość. Trend ten wciąż się utrzymuje, jednak w odpowiedzi na rosnące wymagania rynku tacy producenci, jak Marma Polskie Folie, oferują rozwiązania, które wprowadzają nowe standardy jakości.

Dzięki długoletniej pracy zespołu badawczo-rozwojowego Marma Polskie Folie możliwe stało się tworzenie membran o wysokich parametrach wytrzymałościowych, ale mniejszym ciężarze i z dodatkowymi funkcjami użytkowymi. Inwestorzy oczekują nie tylko trwałości, lecz także szerokiego wyboru produktów o specjalistycznych cechach, co sprawia, że oferta Marma Polskie Folie odpowiada na te indywidualne potrzeby. Przykładem tego jest Ekran MPFort 2F

– pięciowarstwowa membrana, produkowana według opatentowanej technologii. Charakteryzuje się wyjątkowo wysoką paroprzepuszczalnością (Sd ok. 0,015 m) oraz wytrzymałością mechaniczną (od 450 do 550 N/5 cm). Jej dodatkową zaletą jest zdolność wytrzymywania wysokich dźwięków, co czyni ją pożądanym i unikatowym produktem na rynku.

W 2024 r. Marma Polskie Folie poszerzyła swoją ofertę o dwa zaawansowane technologicznie produkty – membrany monolityczne z filmem funkcyjnym z termoplastycznego poliuretanu (TPU). Jedną z nowości jest MPF Roof – membrana łącząca dużą wytrzymałość z nadzwyczajną elastycznością, co ułatwia jej montaż i minimalizuje ryzyko uszkodzeń. Dodatkowo MPF Roof charakteryzuje się wysoką klasą reakcji na ogień (B-s1,d0) oraz odpornością na temperaturę do +120°C, co czyni ją wszechstronnym rozwiązaniem do stosowania w różnych typach dachów. Membrana ma

wysoki poziom paroprzepuszczalności (Sd ok. 0,11 m), co umożliwia szybkie wysychanie konstrukcji dachowych, nawet przy bezpośrednim styku z termoizolacją czy drewnem. Ten typ membran cieszy się szczególną popularnością ze względu na długotrwałą i skuteczną ochronę dachu i budynku.

Kolejnym nowym produktem, który przyciąga uwagę, jest Ekran IDEA 175. Łączy on najlepsze cechy filmu TPU z zaletami bikomponentowych włókien osłonowych. Ponadto dzięki ich symetrycznemu układowi IDEA 175 wyróżnia się zwiększoną trwałością i możliwością montażu w dowolnym kierunku, co ułatwia pracę na dachach o skomplikowanych kształtach. Ekran IDEA 175 zachowuje wysoką paroprzepuszczalność przy optymalnej gramaturze, przez co produkt ten jest jednym z najnowocześniejszych rozwiązań dostępnych na rynku.

Dzięki zaawansowanym technologiom produkty Marma Polskie Folie gwarantują skuteczną ochronę dachu, zapewniając jednocześnie długotrwałą funkcjonalność i komfort użytkownika. Firma stale rozwija swoją ofertę, by odpowiadać na potrzeby wymagających i profesjonalnych inwestorów. ●



Szczegółowe informacje o asortymencie membran znajdują się na stronach: www.marma.com.pl i www.dachowa.com.pl.

W zieloną stronę

Wybierając materiały do budowy domu, warto zwrócić uwagę, czy są one przyjazne dla środowiska. Na rynku jest ich coraz więcej.

Powodzie, pożary, susze – dramatyczne skutki zmian klimatu odczuwamy wszyscy. Niestety, wszyscy się do nich przyczyniamy. Również branża budowlana, ponieważ budynki odpowiadają za ponad 40 proc. światowej emisji dwutlenku węgla do atmosfery – wynika z danych Międzynarodowej Agencji Energetycznej.

W Polsce dom jednorodzinny o niskim standardzie energetycznym emituje rocznie średnio 6-8 ton CO₂. To „zашuga” m.in. materiałów użytych do budowy. Czym kierują się konsumenci w Polsce wybierając materiały budowlane? Najważniejsza jest trwałość produktów i cena, choć nie zawsze to, co najtańsze, stanowi oszczędność w długiej perspektywie. Dopiero na kolejnym miejscu są ekologia i wpływ produkcji na środowisko (52 proc.) – wynika z raportu „Barometr zdrowych domów” 2021.

Tymczasem na rynku pojawia się coraz więcej produktów i technologii przyjaznych środowisku, ponieważ także branża budowlana zobowiązana jest dyrektywą unijną do dekarbonizacji. Oznacza to, że producenci powinni oferować materiały ograniczające wpływ na przyrodę, ale także produkować je tak, by nie szkodzić planecie. Do materiałów budowlanych o największym śladzie węglowym należy cement. Ale można już kupić cement, którego ślad węglowy jest o 30-50 proc. niższy niż najbardziej popularnego cementu używanego powszechnie w Polsce.

Inwestorzy mają też do dyspozycji niskoemisyjne pustaki ceramiczne. Są tańsze niż jego „zwykłe” odpowied-



niki, ponieważ wyższe koszty na etapie wznoszenia budynku oznaczają oszczędności w trakcie jego eksploatacji. Dodatkowo, ceramika ma doskonałe właściwości termiczne. Poza tym jest trwała, nadaje się do recyklingu, a jej parametry nie ulegają zmianie mimo upływu lat, co ogranicza ko-

nieczność remontów wiążących się z dodatkową emisją CO₂. Wykorzystanie materiałów o dużej żywotności to jeden ze sposobów minimalizowania obciążeń dla środowiska, o naszym portfelu nie wspominając. ●

Agnieszka Rakowska

EKOLOGIA CZY PRZYSTĘPNA CENA?



Mirosław Rzesutko,
Head of Product
Management w firmie
wienerberger

Ekologia często postrzegana jest jako luksus, który nie idzie w parze z przystępną ceną. Jednak nie zawsze

tak jest a dodatkowo warto spojrzeć na nią jak na inwestycję w przyszłość. Pustak Klima+, który wyróżnia się o 20 proc. niższą emisją CO₂ w procesie produkcji w stosunku do standardowych wyrobów, jest tańszy niż jego „zwykły” odpowiednik. Inwestycja w taki produkt na etapie wznoszenia budynku oznacza oszczędności w trakcie jego eksploatacji.

Od tego, jakie materiały wykorzystamy do budowy ścian domu, zależy nie tylko zdrowie przyszłych użytkowników budynku, ale również trwałość, parametry cieplne, wytrzymałościowe czy akustyczne obiektu. Budując dom, musimy zdać sobie sprawę, że okna czy drzwi możemy wymienić, natomiast zmiana ścian nośnych nie jest możliwa bez naruszenia elementów konstrukcyjnych domu.

Innowacje wienerberger dla budownictwa przyszłości

Naszym celem jest rozwijanie nowatorskich i ekologicznych rozwiązań do budowy domu, aby stać się idealnym partnerem dla wymagających inwestorów, myślących o zrównoważonej przyszłości.



Współczesny sektor budowlany stoi przed licznymi wyzwaniami. Jak zmniejszyć emisję gazów cieplarnianych, zminimalizować hałas oraz narastający problem miejskich wysp ciepła? Jako światowy lider w produkcji ceramicznych materiałów budowlanych postawiliśmy sobie ambitny cel redukcji emisji CO₂ o 25 proc. do końca 2026 r. w ramach autorskiego Planu Zrównoważonego Rozwoju. Mamy jasno sprecyzowaną misję: poprawiamy jakość życia ludzi poprzez dostarczenie im zrównoważonych i jakościowych materiałów budowlanych oraz rozwiązań. W 2023 r. zaprojektowaliśmy linię pustaków ceramicznych Porotherm Klima+, które charakteryzują się o 20 proc. niższą emisją dwutlenku węgla na etapie produkcji w porównaniu ze standardowymi rozwiązaniami. Osiągnięcie takich parametrów było możliwe m.in. dzięki zwiększeniu ilości biomasy w produkcji. Wprowadziliśmy też na rynek innowacyjne bloczki aku-

styczne Porotherm Sono 18. Nowa linia produktów to kolejny krok w rozwoju rozwiązań dla budownictwa zrównoważonego. Bloczki są efektem połączenia dwóch materiałów: ceramiki oraz betonu. Aż 30 proc. kruszywa używanego do produkcji tego bloczka betonowego pochodzi z rozbiórek konstrukcji ceramicznych.

W harmonii z naturą

Istotnym elementem naszej strategii ESG jest optymalizacja procesów produkcyjnych – tak by chronić kurczące się zasoby naturalne. W naszych zakładach odpowiedzialnie nimi gospodarujemy, a jednocześnie oferujemy inwestorom produkty, które pozwalają oszczędzać wodę już na etapie budowy domu. Jednym z takich rozwiązań jest sucha zaprawa Porotherm Dryfix, umożliwiająca wznoszenie ścian bez konieczności użycia wody i prądu. Dzięki temu proces budowy staje się szybszy i tańszy, a jednocześnie bardziej przyjazny dla środowiska. To rozwiązanie

proponujemy polskim klientom już od ponad 14 lat. Obecne wyzwania klimatyczne wywołują także potrzebę przemyślenia sposobu aranżacji przestrzeni wokół domu. W odpowiedzi stworzyliśmy produkty wspierające retencję wody. Nowością jest ekologiczna kostka brukowa Senso Eco. Unikalny design umożliwia swobodny przepływ wody do gruntu – aż do 60 proc. opadów infiltrowanych jest do podłoża.

Wspierając transformację energetyczną, proponujemy wiele ekologicznych rozwiązań dachowych. W naszym portfolio inwestorzy znajdą panele fotowoltaiczne Wevolt X-Tile, które są bezpośrednio zintegrowane z ceramicznymi dachówkami. System umożliwia pełne wykorzystanie energii słonecznej do zasilania domu, co jest nie tylko ekologiczne, ale również ekonomiczne.

W ramach zaangażowania w model gospodarki o obiegu zamkniętym dążymy do ograniczenia wydobycia surowców mineralnych oraz zmniejszenia ilości odpadów. W kolejnych latach zamierzamy oferować jeszcze więcej produktów, które wspierają to podejście. Ponad 80 proc. asortymentu będzie zawierało materiały i rozwiązania o długiej żywotności i wyjątkowej trwałości, a ponad 90 proc. z nich ma się nadawać do recyklingu lub ponownego użycia. To ostatnie kryterium w 100 proc. spełniają już wszystkie produkty ceramiczne, które znajdują się w portfolio firmy wienerberger. ●

[wienerberger.pl](https://www.wienerberger.pl)

Widok na dobry design

Drzwi tarasowe rozświetlają dom, dodają lekkości wnętrzu, zapewniają panoramiczny widok. Na jakie rozwiązania warto postawić?

Duże przeszklenia to znak rozpoznawczy nowoczesnej architektury. Na ich korzyść przemawia nie tylko design, ale też możliwość naturalnego doświetlenia wnętrza. Jednak liczy się także funkcjonalność. Gdy potrzebujemy przestronnego przejścia z salonu na taras, sprawdzają się szklane drzwi przesuwne. Efekt panoramicznej ściany dają zwłaszcza wielkogabarytowe modele. Niektóre mają wręcz spektakularne rozmiary – wysokość nawet 4 metrów – i ważą 1200 kilogramów. Jednak bez obaw – dzięki zastosowaniu najnowszych rozwiązań przesuwania tak dużych drzwi nie sprawia trudności. Co więcej, jest wygodne i odbywa się bezszelestnie.

Istotną – choć często pomijaną – kwestią jest wysokość progu. Generalnie nie chcemy mieć przeszkód tego typu pod nogami. Na rynku znajdziemy drzwi z tzw. zerowym progiem, który nie wystaje ponad podłogę, co pozwala na komfortowe przejście ze strefy domowej na zewnątrz. Drzwi z „zerowym progiem” to nie tylko efekt wizualny, ale także większe bezpieczeństwo – eliminujemy ryzyko potknięcia się. Jest to istotne, zwłaszcza gdy w domu są dzieci, brak barier doceniają też domownicy z niepełnosprawnością. Poza tym niski próg to mniej kłopotów z utrzymaniem czystości – w odróżnieniu od tradycyjnych profili łatwiej jest go odkurzyć z okruszków lub piasku.

Projektując duże przeszklenia z szerokim przejściem, trzeba również wziąć pod uwagę kwestię izolacyjności termicznej. Szklane tafle tworzą potencjalne ryzyko zwiększonych strat ciepła. Nie oznacza to jednak, że wy-



bór okna czy drzwi zapewniających panoramiczny widok musi wiązać się z niską efektywnością energetyczną budynku czy też z wysokimi rachunkami za ogrzewanie. Czołowi producenci oferują modele, które mają doskonałe parametry, a przy tym gwarantują pełną izolację termiczną. Jednak by korzystanie z tego rozwiązania spełniało

oczekiwania, system musi być odpowiednio zamontowany. To warunek konieczny do tego, by uniknąć mostka termicznego. Staranny montaż sprawi, że wielkogabarytowe drzwi tarasowe z „zerowym progiem” idealnie spełnią swoją funkcję. ●

Agnieszka Rakowska

KOMFORT I ENERGOOSZCZĘDNOŚĆ

Michał Marcinkowski, dyrektor ds. rozwoju produktu systemów budowlanych, Aluprof

Dzięki zastosowaniu nowoczesnych technologii inwestorzy są w stanie uzyskać komfort termiczny mimo dużych powierzchni szklenia. Oczekiwania dotyczące energooszczędności spełniają na przykład drzwi przesuwne z ukrytą ramą

MB-SKYLINE TYPE R. Dzięki zastosowaniu 3-szybowego szklenia o współczynniku U_g 0,5 W/(m²K) i ciepłej ramki dystansowej osiągają izolacyjność termiczną U_w od 0,8 W/(m²K). Podobnie jest w przypadku modelu MB-82HS, który wyróżnia się bardzo dobrymi parametrami technicznymi i idealnie wpisuje się w wymogi architektoniczne

nowoczesnych budynków, zarówno pod względem wizualnym, jak i energooszczędnym. Wspomniany model występuje w trzech wariantach konstrukcji: ST, SI oraz SI+, o podwyższonych walorach termicznych. Możemy więc wybrać wersję idealnie dostosowaną do naszych potrzeb.

ALUPROF
SYSTEMY ALUMINIOWE

PANUJ NAD KLIMATEM PANUJ NAD KOSZTAMI

DRZWI TARASOWE Z ALUMINIUM

*Szymon
Marciniak*



SkyLine

Panoramyczne
drzwi przesuwne
z ukrytą ramą



www.aluprof.com/dom



Wszystkie światła na poddasze

Poznajcie możliwości współczesnych poddaszy z nowoczesnymi oknami dachowymi.



Dynamiczny rozwój budownictwa indywidualnego w ostatnich latach sprawił, że już 58 proc. Polaków cieszy się luksusem posiadania jednorodzinnego domu (według danych Eurostatu). Jak wygląda dom marzeń nad Wisłą? Wbrew pozorom nie jest to rezydencja o powierzchni kilkuset mkw. Polakom wystarczy do szczęścia około 100-150 mkw., za to z tarasem i wielkimi przeszkleniami. Podoba się nam budynki 1,5-kondygnacyjne, a więc z poddaszem. O ile jednak w przeszłości strych służył głównie za składzik, o tyle teraz chcemy mieć pełne klimatu pomieszczenia użytkowe. Kiedyś realizacja marzeń o sypialni z romantycznymi skosami i oknami skierowanymi ku niebu rozbiła się o kiepskiej jakości stolarkę okienną. Jednak obecnie wiodące firmy z tej branży oferują okna dachowe mające świetne parametry i modny design,

a przy tym gwarantujące doskonałe doświetlenie, komfort obsługi oraz wentylację. Przykładem zmian, które zaszły w ofercie produktów tego rodzaju, jest nowa generacja okien dachowych marki Fakro.

GREENVIEW – NOWA LINIA PRODUKTÓW FAKRO

To generacja produktów, które wpisują się w ideę GO GREEN, bazująca na „zielonym” myśleniu i trosce o jakość życia następnego pokolenia. Wszystkie okna GREENVIEW mają certyfikat Carbon Footprint Approved, co oznacza emisję niskiego śladu węglowego w procesie

produkcyjnym. W parze z ekologią idą najwyższe standardy techniczne, funkcjonalne i estetyczne okien, bezpieczeństwo w obliczu gwałtownych zjawisk pogodowych i wysoka energooszczędność, dostosowana do zmieniającego się klimatu. Podwójna dźwiękoizolacyjna folia w oknach

GREENVIEW redukuje poziom hałasu przenikającego do wnętrza, zapewniając izolacyjność akustyczną o dwie klasy lepszą niż w standardowych oknach. Za wszystko odpowiedzialne są rozwiązania technologiczne i detale konstrukcyjne. Warto je znać i wiedzieć, co dzięki nim zyskujemy.

Nowoczesna stolarka okienna udowadnia, że okna dachowe nie tylko zapewniają dostęp do naturalnego światła, ale są również energooszczędne, a to jeden z priorytetów dla właścicieli nieruchomości. Podwyższoną szczelność i termooizolacyjność okien dachowych zapewnia technologia thermoPro. Na przykład GREENVIEW mają najwyższą klasę szczelności i współczynnik przenikania ciepła U nie gorszy niż 1,1 W/(m²K). Z myślą o energooszczędności są projektowane nawet automatyczne nawiewniki. Okna GREENVIEW dostępne są w trzech kolorach obłachowania bez dopłat, co umożliwia dobranie odpowiedniego koloru do pokrycia dachu.

Okna dachowe zaopatrzone także w specjalny system wzmocnienia konstrukcji, który zapewnia większą odporność na włamanie. Łączą w sobie funkcjonalność z estetyką. Jeśli gubimy się w danych dotyczących wymogów i parametrów, które muszą spełniać dobre okna na długie lata, to zaufajmy renomowanemu producentowi, ponieważ na prestiż marki pracował latami. ●

Joanna Tanecka



Sila
Pasji

Mgr Mors
ARTYSTA STREETOWY

NOWA GENERACJA OKIEN DACHOWYCH **GREENVIEW** W NOWOCZESNYM DESIGNIE

Okna **GREENVIEW** powstały z pasji tworzenia i zmieniania świata. Przedstawiamy Ci nową generację okien dachowych, które łączą najwyższe standardy funkcjonalne i estetyczne z wysoką energooszczędnością i wyjątkową akustyką. Okna dachowe **GREENVIEW** to więcej niż innowacja - to rewolucja z myślą o nowej jakości życia.



Poznaj moją
pasję

FAKRO®

Modny dach

Myślisz o budowie swojego wymarzonego domu, ale każdy projekt wygląda tak samo? Odkryj nowoczesne technologie i rozwiązania dachowe, które nadadzą domowi wyjątkowy styl.

Trendy w budownictwie, szczególnie w projektowaniu dachów, nieustannie ewoluują. Coraz częściej architektki oraz inwestorzy sięgają po rozwiązania, które łączą nowoczesną estetykę z funkcjonalnością i trwałością. Minimalizm, proste linie, ekologiczne materiały i zrównoważony rozwój to cechy, które dziś dominują w modnych projektach dachów. Wszystko to może być dostępne w zasięgu ręki zarówno w przypadku dachów bezokapowych, jak i tradycyjnych, z okapem.

Współczesne domy bez okapu, znane jako „nowoczesna stodoła”, stawiają na prostotę i elegancję, wciąż też dominują w projektach najlepszych biur architektonicznych, a także w projektach domów gotowych. Ich charakterystyczną cechą są ukryte w połąci dachu rynna i rura spustowa, które sprawiają, że dach zyskuje nowoczesny wygląd, a budynek staje się spójny estetycznie. Ważnym elementem tego rozwiązania jest pokrycie dachowe, które może występować



w modnym ostatnio panelu dachowym na tzw. klik. Dla inwestorów, którzy wolą tradycyjne, ciężkie pokrycia, ukryty system rynnowo-dachowy można zastosować również w wersji z dachówką ceramiczną. Oba rozwiązania, zarówno panel dachowy, jak i dachówka ceramiczna, są ekologiczne, cechują się też wysoką jakością i dobrą gwarancją.

Tradycyjne dachy z okapem również przechodzą rewolucję. Ten typ niejednokrotnie bardziej przemawia do inwestorów z uwagi na swój ponadczasowy charakter, mimo to inwestorzy poszukują również w tym segmencie elegancji i minimalizmu.

INNOWACJE NA DACHU

Magdalena Buryło, kierownik działu marketingu Galeco

Firma Galeco w 2023 r. wprowadziła nowość, jedyny na rynku system dachowo-rynnowy DACHRYNNA. Innowacja tego rozwiązania polega na tym, że ukryta w połąci dachu rynna i ukryta rura spustowa w komplecie z pokryciem dachowym w postaci panelu dachowego „na klik” mogą być

zastosowane nie tylko w dachach i budynkach bezokapowych, ale przede wszystkim w standardowych dachach lub bryłach z okapem. Inwestor może więc zdecydować się na to rozwiązanie w każdym domu z dachem dwuspadowym z katalogu projektów gotowych bez konieczności ingerencji architekta. Ponadto wykonanie dachu

z tym systemem jest łatwe i szybkie, a certyfikowane ekipy dekarские zajmą się tym z najwyższym poziomem staranności. DACHRYNNA przeznaczona do dachów okapowych jest cenowym odpowiednikiem klasycznego dachu i systemu rynnowego, co czyni ten produkt przystępnym dla szerokiego grona inwestorów.

Naprzeciw temu wychodzi rozwiązanie firmy Galeco w postaci systemu dachowo-rynnowego do domów z okapem – DACHRYNNA. Ta unikalna konstrukcja pozwala na ukrycie rynny i rury spustowej, przy jednoczesnym zachowaniu dachu dwuspadowego z wysuniętym okapem, co nadaje budynkowi nowoczesny wygląd. Ponadczasowego charakteru dodaje tutaj również pokrycie dachowe w postaci panelu dachowego „na klik” czarnego lub grafitowego, które to kolory niezmiennie królują na pokryciach dachowych w ostatnich latach. ●

Agnieszka Rakowska

POSTAW NA ZINTEGROWANE ROZWIĄZANIE

Rynna to niezbędny element każdego budynku, który odpowiada za jego skuteczne odwodnienie i bezpieczeństwo. A gdyby tak ukryć rynnę w dachu podkreślając estetykę wykończenia, a przy tym oszczędzając czas i upraszczając proces budowy? Nie musisz już wybierać osobno rynny i pokrycia dachowego, **odkryj zintegrowany system Galeco DACHRYNNA**, który łączy dach i rynnę w jedno systemowe rozwiązanie 2w1.

ZESKANUJ KOD



POZNAJ ZINTEGROWANY
SYSTEM DACHOWY 2w1

WWW.DACHRYNNA.GALECO.PL

PO CO CI RYNNNA?

Nakrętka przy butelce? To ma sens!

Ta sprawa spowodowała niemal narodową burzę, przetoczyła się przez media i wywołała do tablicy polityków. Dopiero teraz zaczynamy rozumieć, o co chodzi z przymocowywaniem nakrętek do butelek.

Przytwierdzenie nakrętki do butelki to nie kaprys producentów opakowań czy napoi. Takie rozwiązanie stało się obligatoryjne za sprawą unijnej dyrektywy SUP (skrót od angielskiego: Single Use Plastics – plastik jednorazowego użytku), która obowiązuje od 1 lipca tego roku. To dzięki temu prawu z rynku zostały również wycofane szkodzące środowisku plastikowe sztucce, talerze jednorazowe, patyczki kosmetyczne czy styropianowe pojemniki i kubki na napoje. Idea jest jak najbardziej słuszna, bowiem większość tych przedmiotów konsumenci używają zaledwie kilka minut i wyrzucają do śmieci, tymczasem rozkład plastiku w środowisku może trwać setki lat. Nowe obostrzenia ograniczą więc ilość tworzyw sztucznych w obiegu.

Niestety, recykling tylko częściowo stanowi receptę na lawinę plastikowych odpadów. Chociażby dlatego, że system segregacji śmieci (poprzezający recykling) nie jest doskonały, a przykładem są właśnie zakrętki. Do tej pory – odkręcone od butelek i kartonów – zaliczono je w sortowni do tzw. frakcji drobnej, z której... nie były odzyskiwane. Dlaczego? Nie ma obecnie efektywnej i ekonomicznej technologii sortowania tak małych elementów. Jest to problem, biorąc pod uwagę, że co sekundę na świecie wytwarza się 20 tys. butelek PET. Dyrektywa SUP zrodziła wśród amatorów butelkowanych napojów py-



tanie, jak pić komfortowo z nakrętką przy ustach. Co trzeci Polak zapytany o to w czerwcu przez portal 02.pl uznał, że w tej sytuacji nie ma mowy o komforcie, i opowiedział się przeciw nowemu prawu (35 proc.). Jednocześnie 27 proc. przyznało, że uznaje rozwiązanie

za uciążliwe, ale pomocne środowisku. I ci ostatni zdecydowanie mieli rację. Nie zawsze to, co słuszne, jest przyjemne i łatwe. ●

Joanna Tanecka

DYREKTYWA SUP – O CO CHODZI?

Tomasz Siewierski,
prezes zarządu
BOO Organizacja
Odzysku Opakowań
i Odpowiedzialności
Producenta SA
Dyrektywa SUP zmusiła konsumentów do wyjścia z tzw. strefy komfortu. Byliśmy przyzwyczajeni do szybkich, prostych rozwiązań, którymi były jednorazówki. Jednak odejście od opakowań jednorazowego użytku

to krok we właściwą stronę. Głównym celem SUP jest bowiem zmniejszenie ilości plastikowych odpadów, ale też promowanie alternatywnych rozwiązań. SUP to także obowiązek oznakowania niektórych produktów zawierających plastik. Oznaczenie to nie tylko informuje nas, konsumentów, o zawartości tworzywa

sztucznego, ale też wskazuje miejsce, w którym możemy wyrzucić zużyte opakowanie. Oprócz praktycznych rozwiązań nie powinniśmy zapominać o edukacji ekologicznej. Społeczeństwo musi mieć pełną świadomość, że te rozwiązania nie są wbrew nikomu, lecz dla dobra wszystkich.

System kaucyjny, czyli sukces przez małe „s”

Prace nad implementacją unijnych przepisów dotyczących rozszerzonej odpowiedzialności producenta (ROP) trwają już blisko 7 lat i nadal nie zdołaliśmy osiągnąć konsensusu w tej sprawie.

Polska jest jednym z ostatnich krajów UE, które do tej pory nie wdrożyły żadnego z dostępnych modeli ROP, leżących na negocjacyjnym stole. Powodów jest kilka, jednak najważniejszym z nich – wydawać by się mogło – okazuje się tzw. konflikt interesów. Trudno bowiem pogodzić wymogi dotyczące ochrony środowiska z postulatami chociażby przedsiębiorców. Rozbieżność nie dotyczy tak naprawdę meritum sprawy, czyli działań na rzecz ochrony środowiska, ale kosztów w postaci opłaty opakowaniowej, którą przedsiębiorcy musieliby ponieść. To przedsiębiorcy zgodnie z założeniami ROP powinni wziąć na siebie pełną odpowiedzialność za opakowania, które wprowadzają na rynek. Co to oznacza? Otóż przedsiębiorcy w imię odpowiedzialności za wprowadzane opakowania mają zorganizować system zbierania i zagospodarowania odpadów powstałych z tych opakowań. Mają również ponosić koszty z tym związane.

Zasada jest prosta – wprowadzasz na rynek opakowania, czyli zaśmiecasz, a to oznacza, że płacisz. Wprawdzie rozszerzona odpowiedzialność producenta jest nadal przed nami, ale mówiąc o ROP-ie, nie można zapomnieć o tym, co na chwilę obecną udało się już osiągnąć

w tym zakresie. Trzeba wspomnieć tu np. o dyrektywie Single Use Plastic (SUP), której założeniem jest ograniczenie ilości odpadów z tworzywa sztucznego w przestrzeni publicznej. To tak naprawdę element ROP. Nie można też pominąć systemu kaucyjnego, który już od stycznia 2025 r. zacznie obowiązywać w naszym kraju. To również część ROP.

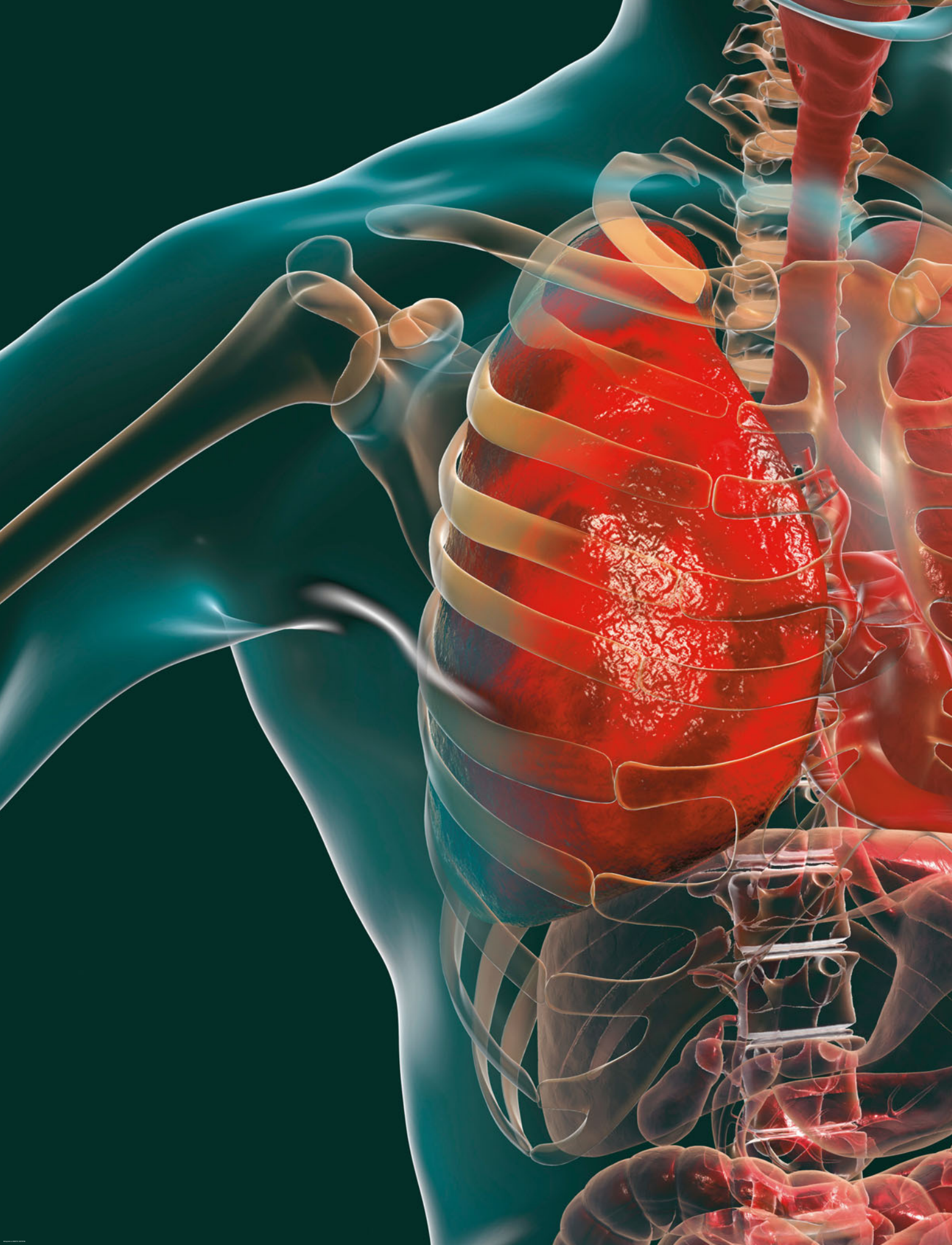
Oczywiście, zdaję sobie sprawę z tego, że są to rozwiązania zastępcze, a przynajmniej częściowe, jednak należy je brać pod uwagę przy analizie tematu. Nie ulega wątpliwo-

ści, że powinniśmy zacząć od mocnej postawy, którą jest właśnie ROP. Zatrzymajmy się na chwilę przy systemie kaucyjnym. Przeorganizuje on bowiem całkowicie scenę odpadową w Polsce i powinniśmy mieć tego świadomość. Rozpoczynając od systemu kaucyjnego, ograniczamy gminom dostęp do surowca przy jednoczesnym nakazie utrzymania całej infrastruktury. Według danych GUS-u w latach 2020-2022 gminy podały recyklingowi ok. 27% wszystkich zebranych odpadów komunalnych. W 2035 r. poziom ten zwiększy się do 65%. Czy poziom ten jest możliwy do osiągnięcia bez wdrożenia polityki ROP? W tym temacie jestem sceptykiem. Niemniej cieszę się, że system kaucyjny startuje. Na pewno daleko mu do ideału, ale od czegoś trzeba zacząć. Żeby jednak ten kolos, poruszający się obecnie na jednej nodze, mógł stabilnie stanąć, konieczne są rozwiązania systemu ROP. Dobrze skrojony model ROP z uwzględnieniem roli samorządów w systemie odpadowym oraz głosu przedsiębiorców byłby tym, od czego należałoby zacząć. ●

TOMASZ SIEWIERSKI,
prezes zarządu
BOO Organizacja Odzysku
Opakowań i Odpowiedzialności
Producenta SA

www.e-boo.pl





ZAPALENIE PŁUC

BAKTERIE GROŹNIEJSZE, NIŻ SĄDZISZ

Jest jedną z najczęstszych przyczyn hospitalizacji osób dorosłych. Prowadzi do zaostrzenia chorób przewlekłych. Ale zapalenia płuc wywołanego przez pneumokoki można uniknąć

TEKST DOROTA ROMANOWSKA

Mama od rana źle się czuła. Gdy wróciłam z pracy, okazało się, że ma prawie 40 stopni gorączki, dreszcze i dziwny ból w klatce piersiowej. Pojechałyśmy na SOR. Myślałam, że dostanie antybiotyk i wrócimy do domu, ale ku mojemu zdziwieniu lekarz powiedział, że mama ma zapalenie płuc i musi zostać w szpitalu – opowiada Agnieszka.

– Mało który lekarz odważy się odesłać do domu starszego pacjenta z zapaleniem płuc – tłumaczy dr n. med. Piotr Ligocki, ordynator Oddziału Klinicznego Reumatologicznego 10. Wojskowego Szpitala Klinicznego z Polikliniką w Bydgoszczy. Zapalenie płuc to poważna choroba. Potrafi zwalić z nóg młodego człowieka, który uważa się za zdrowego, i na kilka dni przykuć go do łóżka, a co dopiero osobę starszą. A jeśli jest wywołane przez pneumokoki, rozwija się bardzo szybko. I może stanowić poważne zagrożenie życia.

„PRZYJACIEL” STAREGO CZŁOWIEKA

PNEUMOKOKI TO BAKTERIE, KTÓRE CAŁY CZAS ZNAJDUJĄ SIĘ W NASZYM ORGANIZMIE. – Nie jesteśmy jałowi, ale dopóki nasz układ odporności jest we w miarę dobrej formie, to pneumokoki są pod kontrolą. Ludzie najłabsi, czyli niemowlęta, wcześniaki oraz osoby najstarsze i przewlekle chorzy, mają osłabioną odporność i stają się podatni na infekcje – mówi dr hab. n. med. Ernest Kuchar, kierownik Kliniki Pediatrii z Oddziałem Obserwacyjnym Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

Pneumokoki, które przez 20 lat siedziały w nosie i nie szkodziły, mogą wywołać kilka różnych chorób. Najcięższą z nich jest inwazyjna choroba pneumokokowa, zwana też posocznicą pneumokokową, w której często dochodzi do zapalenia opon mózgowo-rdzeniowych i uogólnionego zakażenia, a to może prowadzić do śmierci. Chorują na nią niemowlęta i małe dzieci do piątego roku oraz ludzie powyżej 60. roku życia. Śmiertelność wśród osób starszych sięga ok. 50 proc. Najłagodniejszą postacią zakażenia jest pneumokokowe zapalenie ucha środkowego, które na ogół nie wymaga hospitalizacji i przebiega w miarę łagodnie. Ale jest to choroba kosztowna dla systemów zdrowotnych, bo dotyka wielu pacjentów, a zatem wymaga wielu wizyt lekarskich i leków.

Osoby starsze bardzo ciężko chorują na pneumokokowe zapalenie płuc, które jest łagodniejszą postacią zakażenia tymi bakteriami niż inwazyjna choroba pneumokokowa, ale też często wymagającą hospitalizacji. – Płuca służą wymianie gazowej, czyli mówiąc krótko, zaopatrują nas w tlen i odprowadzają dwutlenek węgla. Gdy dochodzi do zapalenia płuc, pęcherzyki płucne, które zazwyczaj są pełne powietrza, zaczynają wypełniać się płynem, który wypycha powietrze. Płuca przestają działać, a pacjent się dusi – tłumaczy dr Kuchar i dodaje: – Kanadyjski lekarz Wiliam Osler zwykł mawiać, że zapalenie płuc jest „przyjacielem” starego człowieka. On sam zmarł na zapalenie płuc podczas pandemii grypy hiszpanki w 1919 r.

Na pneumokokowe zapalenie płuc oraz na powikłania tej choroby narażeni są nie tylko seniorzy. Infekcja jest groźna dla osób dotkniętych chorobami płuc takimi jak astma czy POChP. – Chorzy na astmę mają pięć razy większe ryzyko zachorowania na zapalenie płuc niż osoby o zdrowych płucach, a dotknięci POChP mają to ryzyko prawie osiem razy większe – mówi dr Piotr Dąbrowiecki z Kliniki Chorób Wewnętrznych, Infekcyjnych i Alergologii Wojskowego Instytutu Medycznego (WIM) w Warszawie, przewodniczący Polskiej Federacji Stowarzyszeń

Chorych na Astmę, Alergię i POChP. – Zaostrzenie POChP jest jak zawał, tyle tylko że zawał umiemy leczyć, a ciężkie POChP zwiększa ryzyko zgonu do 60 proc.

RYZIKO DEMENCJI

PRZEBYCIE ZAPALENIA PŁUC WYWOŁUJE W ORGANIZMIE REWOLUCJĘ. – To nie jest tak, że przejdziemy chorobę i wracamy do punktu wyjścia. Konsekwencje są dużo bardziej poważne, niż się powszechnie uważa. Można to porównać z wypadkiem samochodowym. Auto zostaje wyklepane, pomalowane, zniszczone części wymienione na nowe, ale już nie będzie jeździć tak dobrze jak przed wypadkiem. Po przechorowaniu zapalenia płuc narządy nie będą już tak sprawne jak wcześniej – mówi dr Kuchar.

Szczególnie groźne jest to dla osób z chorobami współistniejącymi – Zapalenie płuc powoduje, że musimy przerwać leczenie pacjentów z chorobami reumatologicznymi. Nie możemy im bowiem podać leków, które są silnymi supresantami, czyli osłabiają układ odpornościowy – mówi dr Ligocki. Podobny problem dotyczy chorych na nowotwory. – Gdy leczenie onkologiczne zostanie przerwane, to chory po miesiącu nie wróci do tego stanu, w którym zatrzymaliśmy proces nowotworowy, a dodatkowo pneumokoki będą dokarmiać nowotwór – dodaj dr Ligocki.

Na podstawie obserwacji ponad 22 tys. pacjentów naukowcy z kilku ośrodków badawczych z Tajwanu wykazali, że zapalenie płuc wywołane przez bakterie zwiększa ryzyko demencji. – Podczas choroby organizm jest niedokrwiony, pojawiają się drobne, rozsiane ogniska zakrzepowe. To wszystko sprawia, że mózg, serce i nerki gorzej zaczynają funkcjonować. Jest to szczególnie ważne, bo mówimy o ludziach, którzy już nie są całkowicie zdrowi, których funkcje życiowe częściowo się wyczerpały – mówi dr Kuchar.

ANTYBIOTYKOOPORNOŚĆ

CZĘSTO DZIEJE SIĘ TAK, że osoba starsza kładzie się do łóżka z powodu grypy, po-

tem rozwija się u niej zapalenie płuc wywołane pneumokokami, z tego powodu idzie do szpitala, ale nie każdego udaje się uratować. – Jeśli układ odpornościowy jest osłabiony, podanie antybiotyku nie pomoże choremu. Gdyby tak było, to pneumokokowe zapalenie płuc nie prowadziłoby do śmierci. Pacjenci, którzy uważają, że jak zachorują, to nic takiego, dostaną antybiotyk i wyzdrowieją, są w wielkim błędzie – mówi prof. Bożena Walewska-Zielecka, doradca zarządu ds. medycznych Healthcare Services, Medicover.



TO NIE JEST TAK,
ŻE PRZEJDZIEMY
ZAPALENIE PŁUC
I WRACAMY
DO PUNKTU WYJŚCIA.
NARZĄDY NIE BĘDĄ
JUŻ TAK SPRAWNE
JAK WCZEŚNIEJ

DR HAB. N. MED. ERNEST KUCHAR,
WARSZAWSKI UNIWERSYTET MEDYCZNY



Rośnie też antybiotykooporność. Antybiotyki są bowiem stosowane do leczenia infekcji wirusowych, na przykład grypy, choć w tych chorobach nie są skuteczne. Epidemiolodzy szacują, że co drugi pacjent otrzymał je zupełnie niepotrzebnie. Lekarz przepisał choremu antybiotyk profilaktycznie, aby ochronić go przed zakażeniem, do którego wcale nie musi dojść. Pediatrzy postępują podobnie. Pod presją rodziców przepisują dzieciom antybiotyki, mimo że u dzieci podobnie jak u dorosłych większość zakażeń wywołują wirusy.

Recepty na antybiotyk często domagają się także dorośli pacjenci bez względu na to, co wywołało u nich infekcję – wirus czy bakteria. Z doświadczenia wiedzą, że po zażyciu antybiotyku szybko poczują się lepiej. Jest tak dlatego, że niektóre z tych leków mają działanie przeciwzapalne, ale antybiotyki nie niszczą wirusów, lecz niektóre bakterie obecne w organizmie. Bakterie, które przeżyją, nauczą się oporności na dany antybiotyk. Co gorsza, pacjenci często nie przestrzegają zaleceń lekarzy. Zażywają antybiotyki o niewłaściwych porach, w nieprawidłowych dawkach lub przerywają kurację, gdy tylko poczują się lepiej. To wszystko obniża skuteczność terapii.

Takie lekceważące podejście do zaleceń lekarzy sprawiło, że bakterie stają się coraz groźniejsze. Antybiotyki nie są w stanie już pokonać nie tylko wielu szczepów pneumokoków, ale także gronkowca złocistego MRSA czy *Klebsielli pneumoniae* NDM-1.

PAJĄKI, DIABŁY, ROBAKI

PACJENCI HOSPITALIZOWANI Z POWODU ZAPALENIA PŁUC w szpitalu spędzają średnio ponad 12 dni. Około jedna na osiem osób wymaga leczenia na oddziale intensywnej terapii, a tyle samo osób musi być podłączonych do respiratora. – U pacjentów, którzy wymagają podłączenia do respiratora, dochodzi do uszkodzenia bariery między naczyniami krwionośnymi płuc a pęcherzykami płucnymi, co sprawia, że do krwi dociera zdecydowanie mniej tlenu, niż potrzebują – tłumaczy prof. Radosław Owczuk, prezes Polskiego Towarzystwa Anestezjologii i Intensywnej Terapii.

Chorzy próbują oddychać coraz szybciej, ale zaczyna brakować im sił. Mięśnie oddechowe, które podobnie jak cały organizm są niedotlenione, nie mogą intensywnie pracować. Jedyłą pomocą jest wtedy podłączenie chorego do respiratora. Dzięki niemu do płuc pacjenta dociera znacznie większa ilość tlenu, niż sam chory jest w stanie dostarczyć.

Respirator ma jednak wadę – podaje mieszaninę oddechową do płuc w sposób całkowicie нефизиologiczny. – Gdy oddychamy normalnie, jak podczas naszej rozmowy, wytwarzamy ujemne ciśnienie w klatce piersiowej, dzięki czemu zaciągamy powietrze do płuc. Podczas leczenia respiratorem ciśnienie jest cały czas dodatnie. Mieszanina oddechowa nie jest zaciągana przez płuca, lecz zostaje do nich wtłoczona – tłumaczy prof. Owczuk. Może to prowadzić do powikłań, np. odmy opłucnowej, czyli wniknięcia powietrza do jamy opłucnej, worka otaczającego płuca, a działania niepożądane są tym groźniejsze, im cięższy jest stan pacjenta.

Może też dojść do infekcji bakteryjnej. – Podczas leczenia respiratorem najpierw pacjent ma podawaną mieszaninę odde-

chową za pomocą rurki, która jest prowadzona przez usta (tylko u noworodków czasami przez nos). Nie powinna ona jednak tkwić w ustach dłużej niż kilka dni, dlatego kolejnym etapem jest wyłonienie tracheostomii, czyli wykonanie otworu w szyi i założenie znacznie krótszej rurki niż poprzednio. Zmniejsza to ryzyko powikłań ze strony dróg oddechowych – mówi prof. Owczuk.

Ale i tak istnieje zagrożenie, że u takich pacjentów dojdzie do infekcji bakteryjnej. Chorzy mają zaburzoną świadomość i czasami tak wiotkie mięśnie, że nie są w stanie kaścić. – Nie mają zatem możliwości wykrztusić wydzieliny, która gromadzi się w drogach oddechowych, a która stanowi bardzo dobrą pożywkę dla bakterii – tłumaczy prof. Owczuk. Wielu pacjentom na oddziałach intensywnej terapii rzeczywistość zlewa się z wizjami. Widzą to, czego się najbardziej boją – robaków, pajaków, diabłów. Czasem są niespokojni, ale niektórzy tak się boją tego, co widzą, że nie są w stanie się poruszyć.

Po odłączeniu od respiratora pacjentów czeka długa rehabilitacja. Są bardzo osłabieni. Mają też problemy z mówieniem. Najpierw wypowiadają dziwne dźwięki, potem pojedyncze sylaby. Dopiero po kilku dniach mogą normalnie mówić.

PNEUMOKOKOWY PARADOKS

OD WRZEŚNIA UBIEGŁEGO ROKU osoby po 65. roku życia oraz z chorobami przewlekłymi serca (po zawale lub z niewydolnością serca), płuc (mają POChP lub astmę) czy nerek, a także z cukrzycą mogą bezpłatnie zaszczepić się przeciwko pneumokokom. – Szczepienie daje ochronę na co najmniej 10 lat – mówi dr Kuchar. Jednak niewiele osób o tym wie.

Z badania, które przeprowadził Instytut Praw Pacjenta i Edukacji Zdrowotnej oraz Ośrodek Badań Socjomedycznych wynika, że tylko co szósta osoba wie, co to są pneumokoki i co one mogą powodować. Reszta słyszała o nich, ale nie ma pojęcia, co to takiego. – Im starsze osoby, tym ich wiedza na temat pneumokoków jest mniejsza. Nazywam to pneumokokowym paradoksem, bo przecież dla ludzi po 65. roku życia bakterie te stanowią poważne zagrożenie. Seniorzy nie tylko nie mają pojęcia o pneumokokach, ale też nie wiedzą, jak można się przed nimi ochronić – mówi prof. Tomasz Sobierajski, kierownik Ośrodka Badań Socjomedycznych Uniwersytetu Warszawskiego, jeden z autorów badania.

Starsi uczestnicy badania przyznali, że obawiają się zapalenia płuc, a strach ten jest bardzo silny. – Nie pytaliśmy ich, czy boją się tego, że gdy dostaną zapalenie płuc i pójdą do szpitala, to z tego szpitala nie wyjdą, ale jest bardzo prawdopodobne, że mogą pamiętać historie pacjentów, u których zapalenie płuc okazało się śmiertelną chorobą – mówi prof. Sobierajski. – Niepokojące jest to, że lekarze bardzo rzadko rekomendują szczepienia przeciwko pneumokokom swoim pacjentom. Jest to o tyle zaskakujące, że dwie trzecie uczestników badania przyznało, że ma jakąś chorobę przewlekłą i już samo to powinno być rekomendacją dla szczepień przeciwko pneumokokom. **N**

dorota.romanowska@newsweek.pl



Z WIDOKIEM NA OCEAN

IBISY BIAŁOOKIE żyją tylko na zachodnim wybrzeżu Madagaskaru i archipelagu Aldabra, należącym do Republiki Seszeli. Spotkać je można w pobliżu oceanu, bo w przybrzeżnych bagnach i płytkich słonawych jeziorach szukają pożywienia. Zjadają skorupiaki i inne bezkręgowce oraz fragmenty roślin, które wyławiają z mułu na obszarach pływowych. Podczas żerowania wbijają dziób w muł niemal do oczu. Czasem zdarza im się zjeść żabę, jakiegoś gada lub pisklę. Żerują najczęściej samotnie, ale widziano je też, jak w parach lub trójkach wędrują po płytkiej wodzie. Odpoczywają na piaszczystych plażach i łąkach lub na samotnie rosnących drzewach (jak te na zdjęciu zrobionym u ujścia rzeki Betsiboka na Madagaskarze), z których mają świetny widok na okolicę.

NAUKA
I ZDROWIE

Newsweek





Nasze narodowe braki


Polskie talerze są dzisiaj pełne, ale nie ma na nich kluczowych dla zdrowia i dobrego samopoczucia składników

TEKST KATARZYNA BURDA

Selen to pierwiastek chemiczny w swoich właściwościach nieco podobny do siarki. I podobnie jak ona jest niezbędny wszystkim organizmom zwierzęcym. W przeciwieństwie jednak do siarki, która występuje powszechnie, selenu jest na Ziemi bardzo niewiele. Znajduje się w glebie, stąd przenika do wody, roślinności, a potem do naszych organizmów. Jednak gdy na jakimś terenie selenu jest w glebie mało, wszystkie organizmy cierpią z powodu jego niedoborów. Takim obszarem jest między innymi Polska.

O tym, że mamy jedno z największych w Europie niedoborów selenu, alarmuje zespół amerykańskich naukowców pod kierownictwem dr Si-

FOT. THE SOME GIRL / ISTOCKPHOTO



mone Passarelli z Harvard School of Public Health. To niejedyny ważny składnik diety, którego nam notorycznie brakuje.

Nowe badanie, ale również doświadczenia polskich naukowców i dietetyków pokazują, że wciąż nie umiemy prawidłowo skomponować posiłków i narażamy się z tego powodu na zdrowotne komplikacje. Zresztą nie tylko my – to problem całego świata.

BRAKI W ŚWIECIE

BADANIE Z HARVARD SCHOOL of Public Health, którego wyniki zostały opublikowane w najnowszym numerze medycznego periodyku „The Lancet Global Health”, obejmowało niemal cały świat. Korzystając z połączenia danych zebranych z Global

Dietary Database i zaawansowanych modeli statystycznych, naukowcy oszacowali poziom 15 kluczowych dla ludzkiego zdrowia mikroelementów w dietach 99,3 proc. światowej populacji w 185 krajach. W swoim modelowaniu zespół wziął pod uwagę tylko naturalną dostępność mikroelementów i witamin w pożywieniu, wyłączając z szacunków jedzenie sztucznie wzbogacane w składniki i suplementację.

Według tych szacunków ponad połowa ludzkości ma niedobory sześciu bardzo ważnych dla zdrowia pierwiastków i związków chemicznych. Najgorzej jest z jodem – za małą jego ilość w organizmie ma aż 68 proc. ludzkości! Najniższy poziom jodu mają mieszkańcy Afryki, Ameryki Południowej i Dalekiego Wschodu. Niemal równie dużo

– bo ponad 6 mld (67 proc.) ma niedobory witaminy E (tu najgorzej wypadają obie Ameryki i Australia), 66 proc. ma za mało tak kluczowego pierwiastka, jakim jest wapń – największe niedobory zanotowano w Afryce, Indiach i Chinach, krajach, w których tradycyjnie spożywa się mało nabiału, a na czwartym miejscu wyładowało żelazo. Jest go za mało w diecie 65 proc. ludzkości (szczególnie duże niedobory występują w północnej i saharyjskiej Afryce oraz w Indiach). W krajach ubogich i rozwijających się dużym problemem są także niedobory witaminy B2 i kwasu foliowego, a niemal połowa ludzkości ma za mało witaminy C. Pewne różnice w poziomie poszczególnych mikroelementów zależały też od płci badanych. U kobiet częściej



ujawniało się niewystarczające spożycie jodu, witaminy B12, żelaza i selenu, a u mężczyzn z tych samych regionów i grup wiekowych – magnezu, witaminy B6 oraz cynku.

Na mapach naukowców z Harvardu znajdują się również szacunki dotyczące Polski. Oprócz bardzo wysokiego niedoboru selenu, którego według zespołu dr Simone Passarelli może mieć nawet 100 proc. Polaków, mamy w diecie za mało żelaza (około połowa populacji), a 25-50 proc. z nas ma zbyt niski poziom witamin E, A, kwasu foliowego (witaminy B9) oraz wapnia. W badaniu tym nie uwzględniono potencjalnych niedoborów witaminy D, bo nie do końca zależy ona od czynników dietetycznych.

WAŻNE MIKROELEMENTY

BADANIE PODAJE oczywiście tylko dane szacunkowe, oparte na modelowaniu komputerowym. Jednak jego wyniki w większości zgadzają się z tym, co obserwują polscy lekarze i dietetycy. – Brakuje nam wielu mikro- i makroelementów. Polacy najczęściej borykają się z niedoborami magnezu, wapnia, żelaza, jodu, potasu, cynku i selenu – mówi dr Monika Dąbrowska-Molenda, dietetyk kliniczny z Centrum Medicover w Warszawie.

Co może się zdarzyć, jeśli zabraknie w naszym organizmie któregoś z tych pierwiastków? – Brak każdego z nich

Witaminy C, B, kwas foliowy rozpuszczają się w wodzie, więc ich nadmiar zostanie wydalony z moczem. Uważać trzeba na wysoki poziom witamin A, D, E i K oraz żelaza, cynku i selenu

może prowadzić do poważnych problemów zdrowotnych, jednak najgroźniejsze dla zdrowia są niedobory potasu i żelaza, ze względu na ich kluczowe funkcje w organizmie – mówi dr Dąbrowska-Molenda. Potas odgrywa krytyczną rolę w regulacji pracy serca, gospodarki wodno-elektrolitowej oraz funkcjonowaniu układu nerwowego. – Nagły i poważny niedobór potasu, zwany hipokaliemią, może prowadzić do zaburzeń rytmu serca, powodować skurcze mięśni, paraliż, a w bardzo poważnych sytuacjach zatrzymanie akcji serca – ostrzega dr Dąbrowska-Molenda.

Podobnie niebezpieczny może być niedobór żelaza. – Jest ono niezbędne do produkcji hemoglobiny – mówi dr Dąbrowska-Molenda. – Długotrwa-

ły brak żelaza prowadzi do anemii, objawiającej się skrajnym zmęczeniem, bladością skóry, osłabieniem i zawrotami głowy. Niedobór żelaza osłabia również układ odpornościowy, zwiększając ryzyko infekcji – mówi dietetyczka. Jego niedobory występują najczęściej u kobiet w wieku rozrodczym, szczególnie w ciąży, u dzieci, osób z problemami żołądkowo-jelitowymi oraz wegan. – Dieta uboga w mięso, rośliny strączkowe i owoce morza, a także brak witaminy C, która wspomaga wchłanianie żelaza, są częstymi przyczynami deficytów tego pierwiastka – mówi dr Dąbrowska-Molenda.

Podobnie jak na świecie, również w Polsce poziom ważnych pierwiastków w organizmie różni się w zależności od płci. Kobietom w wieku reprodukcyjnym częściej niż mężczyznom brakuje żelaza, a w wieku menopauzalnym – wapnia. – Z kolei mężczyźni częściej borykają się z niedoborem cynku, który jest niezbędny do produkcji testosteronu i zdrowia reprodukcyjnego. Cynk wpływa na spermatogenezę, a jego niedobory mogą obniżać płodność – mówi dr Dąbrowska-Molenda. Podobne działanie ma selen. – To pierwiastek kluczowy dla jakości spermy, a jego niedobory – powszechne w Polsce – mogą być bardziej problematyczne dla mężczyzn niż dla kobiet – przestrzega dr Dąbrowska-Molenda.

Często brakuje nam również magnezu, a jego niedobór jest mocno odczuwalny. – Może prowadzić do skurczów mięśni, przewlekłego zmęczenia, problemów ze snem, osłabienia odporności i arytmii serca. Szczególnie narażone są osoby poddane dużemu stresowi, spożywające duże ilości kawy i alkoholu, osoby starsze, kobiety w ciąży oraz ludzie z cukrzycą typu 2 – mówi dr Dąbrowska-Molenda. Z kolei cynk jest istotny dla prawidłowego funkcjonowania układu odpornościowego i gojenia się ran, jego niedobór często występuje u dzieci, osób starszych, wegan oraz osób cierpiących na choroby przewodu pokarmowego, takie jak choroba Leśniowskiego-Crohna. – Ale również z powodu diety ubogiej w białko, mięso, ryby i orzechy – mówi dr Dąbrowska-Molenda.

NIE ZAPOMNIJ O WITAMINACH!

SPORA CZĘŚĆ POPULACJI POLSKI ma również niedobory witamin. – Głównie mówimy tutaj o witaminie D, której poziom zależy od szerokości geograficznej naszego kraju i słabego nasświetlenia w miesiącach jesienno-zimowych – zauważa prof. Sylwia Małgorzewicz z Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego. A niedobór tej witaminy może mieć również bardzo negatywne konsekwencje. – Witamina D jest kluczowa dla zdrowia kości i układu odpornościowego, ponieważ pomaga wchłaniać wapń. Jej brak może prowadzić do osłabienia kości (osteoporozy, osteomalacji), zwiększonej podatności na infekcje oraz zaburzeń nastroju, takich jak depresja sezonowa – mówi dr Dąbrowska-Molenda. Dlatego rekomendacje medyczne w tym przypadku są jasne. – Witaminę D trzeba suplementować w okresie jesienno-zimowym, a niektóre osoby, na przykład seniorzy, powinny to robić przez cały rok – podkreśla prof. Małgorzewicz.

Nie bez powodu Polacy mają również niedobór kwasu foliowego, czyli witaminy B9, który jest dostarczany do organizmu głównie dzięki owocom i warzywom – ich spożycie jest ciągle zbyt małe w Polsce i ze względu na procesy przechowywania mogą zawierać mało tej witaminy, kluczowej dla procesów krwiotwórczych oraz prawidłowego działania układu nerwowego. – Jeśli do tego doloży się monotonna, uboga w świeże owoce i warzywa dieta, którą na przykład często mają osoby starsze albo młodzież, łatwo o powstanie niedoboru tej witaminy – mówi prof. Małgorzewicz.

Generalnie wszystkie osoby, które jedzą mało owoców i warzyw, są w grupie ryzyka niedoboru witaminy C i kwasu foliowego. – Z prowadzonych w naszym kraju badań populacyjnych, np. PolSenior, wynika, że zwłaszcza wśród osób starszych ta korelacja niedoborów witamin z płcią jest widoczna, prawdopodobnie ze względu na to, że kobiety jednak bardziej dbają o zdrowie i lepiej się odżywiają, a mężczyźni piją więcej alkoholu, który bardzo sprzyja niedoborom, głównie witamin z grupy B – mówi prof. Małgorzewicz.

ŁYKAĆ CZY NIE

PROBLEM RÓŻNYCH BRAKÓW w diecie nie jest wyłącznie problemem osób dorosłych. Występuje powszechnie już w wieku dojrzewania. Jak wykazało opublikowane w 2012 r. badanie naukowców z Narodowego Instytutu Żywności i Żywnienia w Warszawie, u młodzieży w wieku 11-15 lat najczęściej brakującejmi w organizmie witaminami i minerałami są wapń, witamina D, potas, magnez i kwas foliowy. Ich niedobory autorzy badania wykryli u 74-98 proc. młodzieży. Nieco rzadziej, ale wciąż w znaczącym stopniu występowały wśród nastolatków niedobory witamin A, E, C, witamin z grupy B, żelaza, jodu, cynku i fosforu. Co szczególnie niepokojące, te niedobory z wiekiem rosły. Naukowcy przeprowadzili badania laboratoryjne

” Polacy najczęściej borykają się z niedoborami magnezu, wapnia, żelaza, jodu, potasu, cynku i selenu

DR MONIKA DĄBROWSKA-MOLENDA, DIETETYK KLINICZNY

w grupie młodzieży dwukrotnie w odstępnie pięcioletnim. Okazało się, że im starsze dzieci, tym niższe miały poziomy kluczowych witamin i mikroelementów w organizmach.

Dietetycy wyróżniają wiele grup osób o szczególnym zapotrzebowaniu na konkretne witaminy. – Kobiety w ciąży mają większe zapotrzebowanie na kwas foliowy, witaminę D i witaminę B12, aby zapewnić prawidłowy rozwój płodu. Osoby na dietach restrykcyjnych, takich jak weganizm, muszą zwracać szczególną uwagę na uzupełnianie witamin B12, D oraz kwasu foliowego. Palacze i osoby narażone na duży stres mają zwiększone zapotrzebowanie na witaminę C, która jest

szybko zużywana w procesach obronnych organizmu – wymienia dr Dąbrowska-Molenda.

Jak podkreśla prof. Małgorzewicz, sytuacja w Polsce i tak nie jest najgorsza, bo wręcz pokochaliśmy najróżniejsze suplementy diety. – Jesteśmy w czołówce europejskiej sprzedaży najróżniejszych witamin, minerałów, preparatów z magnezem, wapniem itd. Bardzo często łykamy je niepotrzebnie, ale u osób ze stwierdzonymi niedoborami konieczna jest podaż odpowiednich preparatów – mówi prof. Małgorzewicz.

Czy warto zażywać witaminy tak na wszelki wypadek? – W przypadku osób zdrowych nie ma takiej potrzeby, najlepiej gdyby wszystkie potrzebne organizmowi składniki były dostarczane razem z jedzeniem – mówi prof. Małgorzewicz. Ale nie zawsze da się szybko dostarczyć organizmowi dużą ich ilość tylko w jedzeniu. – Niektóre składniki odżywcze, takie jak witamina D, B12, kwas foliowy, żelazo, magnez, jod oraz kwasy omega-3, bywają trudne do uzupełnienia wyłącznie poprzez dietę, zwłaszcza na określonych etapach życia lub w sytuacjach zwiększonego zapotrzebowania. W takich przypadkach suplementacja jest często niezbędna, aby uniknąć poważnych konsekwencji zdrowotnych – dodaje dr Dąbrowska-Molenda.

Trzeba też jednak pamiętać o możliwości przedawkowania tych, zdawałoby się, tak potrzebnych składników. – Nie musimy obawiać się przedawkowania witamin rozpuszczalnych w wodzie, np. witamin C, B, kwasu foliowego. Ich nadmiar zostanie wydalony z moczem – mówi prof. Małgorzewicz. – Ale uważać trzeba na witaminy rozpuszczalne w tłuszczach, czyli A, D, E i K. Mają ustalone wartości referencyjne, a ich nadmiar może być szkodliwy dla zdrowia. Podobnie jest z mikroelementami takimi jak żelazo, cynk czy selen. Zwłaszcza nadmiar tego ostatniego może być dla organizmu toksyczny i spowodować zatrucie – ostrzega prof. Małgorzewicz. **N**

katarzyna.burda@newsweek.pl

ODLOT KULTURALNY

Katarzyna Janowska

Tylko tak znaczy tak



To nie ofiara powinna się wstydzić! To nie ofiara jest winna! Chce mi się krzyczeć po obejrzeniu na Festiwalu Filmowym w Gdyni obrazów Kamili Tarabury „Rzeczy niezbędne” i Justyny Mytnik „Lany poniedziałek”. Reżyserki w swoich debiutach fabularnych przejmująco opowiadają o przemocy seksualnej i dramacie ofiar mierzących się z traumą.

Tarabura, współreżyserka „Zielonej granicy” oraz serialu „Absolutni debiutanci”, wraz z Katarzyną Warnke napisała scenariusz zainspirowana reportażem „Mokraderko” Katarzyny Surmiak-Domańskiej. To historia dziewczynki molestowanej przez ojca, która jako dorosła kobieta wydała pod pseudonimem wspomnienia. W trakcie promocji książki ujawnia swoją tożsamość. Udziela wywiadów, występuje w telewizji. Jej matka i sąsiedzi są oburzeni – ofiara się tak nie zachowuje. Roksa, główna bohaterka filmu, wraz z dziennikarką, w tej roli znana z serialowej „Sukcesji” Dagmara Domińczyk, wraca do rodzinnego miasteczka, żeby spojrzeć matce w oczy. Wspaniała Małgorzata Hajewska-Krzysztofik w roli matki nie chce kontaktu z córką, nie chce pamiętać.

Tarabura koncentruje się na psychologicznych skutkach molestowania. Wykreowana przez Katarzynę Warnke bohaterka (ważna rola aktorki) kipi seksem, jest nieobliczalna, prowokująca, niezdolna do trwałych relacji. Bywa odpychająca. Ciało staje się dla niej narzędziem odwetu i potwierdzania własnej wartości. Wchodzi w ryzykowane relacje seksualne. Przeszłość powraca do niej w strzępach obrazów. Koleżanka z klasy beztrudno pędząca na rowerze, śmiech matki zza ściany w wakacyjnym domu. To wtedy Roksa przypomina sobie, co robił z nią ojciec. Szuka śladów w starych zdjęciach, ale matka mówi twardo: poskładaj to wszystko. Ofiara nie ma prawa mówić o tym, co ją spotkało, a tym bardziej krzyczeć ani domagać się zadośćuczynienia. Wstyd skutecznie potrafi stłumić ból.

Widać to w filmie „Lany poniedziałek” Justyny Mytnik (w kinach w grudniu). Małe miasteczko, kochające się nastoletnie siostry, czas przed Wielkanocą. Film zaczyna się od pogańskiego rytuału topienia marzanny. Zło ma odejść. Lokalna wiedźma, młodziutka dziewczynka, hołdująca starym obyczajom, nie może dokończyć ceremonii. Przegania ją grupa nastolatków. Klara, jedna z sióstr, stara się pomóc dziewczynie. Chciałaby przepędzić zło, ale rytuał się nie dopełnia. Im bliżej świąt, tym bardziej Klara zapada się w sobie. Odsuwa się od siostry.

Popada w apatię. Woda budzi w niej paniczny lęk. Podejrzewamy, co się wydarzyło w lany poniedziałek. Siostra nie chce słuchać, co spotkało Klarę. Boi się, że dziewczyna stanie się obiektem plotek. Ofiara próbuje sobie przypomnieć, co się wydarzyło i kto jej wyrządził krzywdę. Ma tylko kluczyczek z breloczkiem, który wypadł sprawcy. Obraz zanurzony jest w obrzędowości pogańsko-chrześcijańskiej. Bohaterka w snach, w podświadomości, mierzy się z tym, czego doświadczyła. Krok po kroku dociera do prawdy o tym, co ją spotkało. Film nasycony jest symbolami, ma aurę baśni, ale jednocześnie dziewczyna tkwi w realnym świecie, w którym dekolt traktuje się jako zachętę i usprawiedliwienie przemocy. Julia Polaczek i Nel Kaczmarek grają perfekcyjnie.

Każdy z nas w każdym momencie ma prawo powiedzieć „nie” i ta decyzja powinna być przez drugą osobę uszanowana

Reżyserki obu filmów dają głos ofiarom. Sugestywnie portretują objawy traumy, lęk przed ostracyzmem własnego środowiska. Bliscy wolą nie widzieć, nie wierzyć, a nawet stanąć po stronie sprawcy lub dobrej pamięci o nim. Wpychają ofiary w poczucie winy. Ze statystyk wynika, że tylko 8 proc. kobiet zgwałconych zgłasza w Polsce sprawę do organów ścigania. 67 proc. zgłoszonych spraw zostaje umorzonych. Do więzienia trafia zaledwie 2,5 proc. gwałcieli.

Filmy wchodzą do kin w ważnym momencie. W Polsce znacznie obowiązywać rozszerzona definicja gwałtu. Do tej pory ofiary musiały udowodnić, że stawały czynny opór. W znowelizowanym kodeksie karnym obowiązuje zasada suwerenności seksualnej. Tylko „tak” znaczy „tak”. Kobieta, ale też mężczyzna, osoby LGBT+ muszą być pełnoletnie, muszą świadomie wyrazić zgodę na zbliżenie seksualne, bez nacisków zewnętrznych, bez wpływu środków odurzających. Nie muszą stawiać czynnego oporu. Odczuwanie przyjemności podczas gwałtu jest reakcją fizjologiczną i nie może być usprawiedliwieniem dla przemocy. Zdjęcie prezerwatywy bez poinformowania o tym drugiej osoby jest także gwałtem. Każdy z nas w każdym momencie ma prawo powiedzieć „nie” i ta decyzja powinna być przez drugą osobę uszanowana. Tarabura i Mytnik pokazują w swoich filmach, jak zmienia się życie osób, których granice zostały brutalnie podeptane. **N**

Forbes

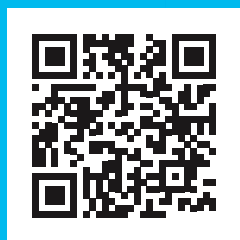
● onet AUDIO

Szczere rozmowy z młodymi liderkami i liderami polskiego biznesu. O ich firmach, karierach, sukcesach, porażkach i marzeniach. Prowadzi redaktor magazynu „Forbes” i twórca polskiej edycji listy „30 przed 30”

PODCAST

30 PRZED 30

Krzysztof
Domaradzki



Zeskanuj
kod QR
i słuchaj w aplikacji
Onet Audio

Premiera w każdy czwartek




JUŻ WKRÓTCE NA EKRAMACH!

PISOWATE SZCZĘŚCIE





N

Od 2 października szukaj w salonach prasowych
lub zasubskrybuj  **onet premium**



wydanie specjalne

Newsweek

STUHR

W numerze m. in:

- Scena była sensem jego życia – Maciej Stuhr o podglądaniu ojca na scenie, apodyktyczności w domu i o czym nie lubił rozmawiać.
- „Fajny jest chłopak, trochę brzydki, może być u mnie suflerem” – o początkach kariery Jerzego Stuhra opowiada Jerzy Fedorowicz.
- Wspominamy najlepsze wywiady Jerzego Stuhra dla „Newsweeka”.

Dziennikarstwo do potęgi

Newsweek

JB
1735
BLANCPAIN
MANUFACTURE DE HAUTE HORLOGERIE

×

swatch+



BIOCERAMIC
SCUBA *Fifty Fathoms*
COLLECTION
ARCTIC OCEAN

Dostępne wyłącznie w wybranych salonach Swatch

Zakupiono w NEXTO: 4070766